

KRONIKI
PRADAWNEGO
MROKU



ZŁAMANA
PRZYSIĘGA

MICHELLE PAVER

PAVER MICHELLE

Kroniki pradawnego mroku V

Złamana przysięga

MICHELLE PAVER

Przełożył Krzysztof Mazurek

Tytuł oryginału: *Oath Breaker*

Copyright

Warszawa 2009

Rozdział 1

Bywa i tak, że pojawia się bez ostrzeżenia. Zupełnie znienacka.

Twój kajak z foczej skóry sunie nad falami jak kormoran, wiosło rozbryzguje srebrzyste kropelki wody nad łamiącymi się grzywaczami i wszystko jest dokładnie tak, jak być powinno – rozkołysane morze, słońce rażące w oczy, chłodny wiatr bijący w plecy. I wtedy z wody nagle wyłania się góra większa niż wieloryb, a ty pędzisz wprost na nią, za chwilę się rozbijesz...

Torak rzucił się na bok i pociągnął mocno wiosłem wzdłuż burty. Jego kajak wyrwał do przodu, mało co się nie wywrócił i z szumem przemknął obok góry lodowej, mijając ją o grubość palca.

Cały mokry, kaszląc morską wodą, Torak z trudem odzyskiwał równowagę.

–Wszystko w porządku? – krzyknął Bale, zawracając.

–Nie zauważyłem tej góry – mruknął pod nosem Torak. Czuł się głupio.

Bale uśmiechnął się od ucha do ucha.

–Mamy w obozowisku kilku żółtodziobów. Chcesz zawrócić i ustawić się z nimi w jednym szeregu?

–Powiedział, co wiedział! – odciął się Torak, uderzając wiosłem w wodę i ochlapując Bale'a. – Kto pierwszy za przyładkiem Crag!

Chłopiec z klanu Foki krzyknął wesoło i w tej samej chwili ruszyli – drżeli z zimna, byli mokrzy, ale przepęlniała ich radość. Wysoko nad głową Torak ujrział dwie czarne kropki. Gdy gwizdnął, Rip i Rek puściły się w dół i przeleciały tuż obok niego, a końce ich skrzydeł niemal dotykały fal. Zawrócił ostro, żeby ominąć krę kołyszącą się

na wodzie, a kruki zrobiły to samo. Słońce połyskiwało purpurą i zielenią na ich gładkich, czarnych piórach. Wyrwały się do przodu. Torak przyspieszył, żeby nie zostawać w tyle. Czuł, że jego mięśnie są gorące od wysiłku, a sól wżera się w policzki. Roześmiał się w głos. To było świetne, prawie tak dobre jak latanie.

Bale – dwie wiosny starszy od niego, najlepszy wioślarz na wyspach – wysunął się naprzód i zniknął w cieniu wysokiego cypla zwanego Crag. Morze rozkołysało się potężnie, kiedy wypłynęli z zatoki, i wysoka fala runęła na łódź Toraka od dziobu. Szarpnęło kajakiem, który nieomal przewrócił się do góry dnem.

Kiedy Torak opanował łódź, okazało się, że dziób jest skierowany w złą stronę. Zatoka Fok wyglądała pięknie w słońcu i Torak na chwilę zapomniał o wyścigu. Wodospad na jej południowym krańcu otaczał woal mgły, a wokół klifów krążyły mewy. Nad plażą unosił się dym snujący się spomiędzy przygarbionych szalasów klanu Foki, a długie rzędy solonych dorszy połyskiwały w słońcu, jak gdyby pokryte szronem. Torak zobaczył Fin-Kedinna, jego ciemnorude włosy wśród jasnowłosych Fok świeciły jak ognista latarnia na brzegu; ujrzał też Renn, która udzielała lekcji strzelania z łuku grupce dzieci stojących wokół niej z otwartymi z podziwu buziami. Torak uśmiechnął się. Foki znacznie lepiej posługiwały się harpunem niż łukiem i strzałą, a Renn nie była zbyt cierpliwą nauczycielką.

Bale zawołał do niego, żeby się z nim zrównał, więc Torak zawrócił kajak i przyłożył się do wiosła.

Kiedy minęli Crag, zdali sobie sprawę, że są straszliwie głodni, więc zawinęli do małej zatoczki, gdzie rozniecili ogień, zebrawszy uprzednio suche wodorosty i drewno wyrzucone przez morze. Zanim zaczęli jeść, Bale rzucił kęs suszonego dorsza na płyciznę Matki Morze, opiekunki jego klanu, a Torak, który nie miał opiekuna klanu, wetknął kawałek kiełbasy z łosia w krzak jałowca, jako ofiarę dla Lasu. Czuł się trochę dziwnie, bo Las był o dzień żeglugi łodzią na wschód, ale czułby się jeszcze dziwniej, gdyby tego zaniechał.

Później Bale podzielił się z nim resztą suszonego dorsza – słodkiego, twardego i zadziwiająco słabo smakującego rybą, Torak zaś zaczął odrywać od skały przyczepione do niej małże. Jedli je na surowo, odłamując połówki muszli i wygrzebując nimi cudownie sycące, śliskie, pomarańczowe mięso. Na zakończenie posiłku Bale pomógł mu się rozprawić z kiełbasą z łosia. Podobnie jak reszta klanu nie miał już takich oporów przed mieszaniem Lasu z Morzem, dzięki czemu wszystkim żyło się łatwiej.

Chłopcy wciąż byli głodni, postanowili więc ugotować sobie potrawę jednogarnkową. Torak napełnił naczynie do gotowania wodą ze strumienia, zawiesił je na skrzyżowanych patykach blisko ognia i wrzucił do środka parę kamyczków ogrzanych w ognisku. Bale dorzucił kilka garści purpurowego mchu morskiego,

który znalazł w wodzie płytkiego zagłębienia skały, i kilka sporych garści skorupiaków, które wykopał z piasku. Torak dodał trochę wodorostów, bo tęsknił za czymś zielonym, co by mu przypominało Las.

Podczas gdy potrawa się gotowała, Torak kucnął przy ogniu, wyciągnął dłonie i czekał, aż wróci mu czucie w zziębniętych palcach. Bale zrobił łyżkę, wciskając pół muszli małża w kawałek twardej łydygi wodorostu, i połączył obie części ścięgnem fok, które wyjął z woreczka do szycia.

–Dobrych połowów! – usłyszeli głos z Morza, który rozległ się tak nagle, że obaj aż podskoczyli.

To był rybak z klanu Kormorana, siedzący w kajaku z foczej skóry. Jego sieć ze skóry lwa morskiego była pękata od śledzi.

–I tobie dobrych połowów! – Bale pozdrowił go tak, jak to było w zwyczaju klanów Morza.

Kiedy mężczyzna wpływał na płyciznę, spojrzął z ukosa na Toraka i na jego delikatne, czarne tatuaże na policzkach.

–Kim jest twój przyjaciel z Lasu? – spytał Bale’a. – A te tatuaże? To klan Wilka?

Torak już miał odpowiedzieć, ale Bale go uprzedził.

–To mój krewniak. Przybrany syn Fin-Kedinna. Poluje z Krukami.

–Nie jestem z klanu Wilka – powiedział Torak. – Jestem bezklanowcem. – Jego spojrzenie mówiło zaś, żeby mężczyzna na łodzi rozumiał to tak, jak chce.

Dłoń rybaka uniosła się bezwiednie ku piórom ptaka – opiekuna klanu, przyczepionym do ramienia.

–Słyszałem o tobie. Jesteś tym wyrzutkiem. Równie bezwiednie Torak dotknął czoła. Tam, pod opaską, krył się tatuaż. Fin-Kedinn zmienił ten rysunek tak, by już nie oznaczał wyrzutka, ale nawet sam przywódca klanu Kruka nie potrafił zmienić jego wspomnień.

–Klany przyjęły go z powrotem – rzekł Bale.

–Tak mówią – odparł mężczyzna. – No cóż, w każdym razie dobrych połowów. – Mówił teraz tylko do Bale’a. Zanim zanurzył wiosło w wodzie, rzucił na Toraka spojrzenie pełne powątpiewania.

–Nie przejmuj się nim – powiedział Bale po chwili ciszy.

Torak milczał.

–Masz. – Bale rzucił mu łyżkę. – Zostawiłeś swoją w obozowisku. I uszy do góry! To Kormoran. A co oni wiedzą o życiu?

Torak czuł, że uśmiech powraca na jego twarz.

–Tyle samo, co Foki.

Bale rzucił się na niego i przez chwilę mocowali się rozeźmiani, przetaczając się po kamyczkach, aż Torak pochwycił przeciwnika i nie puszczał, dopóki ten nie zaczął błagać o litość.

Jedli w ciszy, wypluwając resztki przeznaczone dla Ripa i Rek. Później Torak położył się na boku i grzał się w ciepłe ogniska, a Bale dokładał suchego drewna znalezione na plaży. Chłopiec z klanu Foki nie zauważył Ripa, który podchodził do niego na sztywnych nogach. Oba kruki były zafascynowane długimi, jasnymi włosami Bale'a, w które chłopiec wplótł paciorki z błękitnego kamienia i maleńkie, delikatne kostki gromadnika.

Rip chwycił jedną z nich w potężny dziób i pociągnął. Bale wrzasnął. Ptak puścił zdobycz i skulił się z na wpół rozłożonymi skrzydłami – niewinny kruk niesłusznie oskarżony. Bale zaśmiał się i rzucił mu kawałek małża.

Torak uśmiechnął się do siebie. Dobrze było znów wypuścić się z Bale'em na Morze. Był dla niego jak brat. Cieszyli się tym samym, śmiali się z tych samych żartów. A jednak bardzo się różnili. Bale miał prawie siedemnaście wiosen, wkrótce znajdzie kobietę i zbuduje własny szałas. Jako że Foki nigdy nie przenosiły się z obozowiskiem, oznaczało to, że nie licząc wypraw handlowych do Lasu, będzie żyć do końca swoich dni na wąskiej plaży w Zatoce Fok.

Nigdy nie zmieniać miejsca obozowania. Na samą myśl o tym Torakowi brakowało tchu i czuł, że łapią go skurcze w żołądku. A jednak – to piękne mieć taką pewność. Całe życie człowieka jest jasno nakreślone. Czasami się zastanawiał, jakie to uczucie.

Bale wyczuł u niego jakąś zmianę i zapytał go, czy tęskni za Lasem.

Torak wzruszył ramionami.

–A za Wilkiem?

–Zawsze. – Wilk zdecydowanie odmówił wejścia do łodzi, więc byli zmuszeni go zostawić. *Niedługo wracam* - powiedział Torak swojemu wilczemu bratu w wilczej mowie. Nie był jednak pewien, czy zwierzę zrozumiało.

Myśl o Wilku sprawiła, że nie mógł sobie znaleźć miejsca.

–Robi się późno – powiedział. – Przed zmierzchem musimy być przy urwisku Crag.

Właśnie z tego powodu on, Renn i Fin-Kedinn przybyli do Zatoki Fok. Niepokoje na wyspie zaczęły się znowu pod koniec zimy – podejrzewali, że to Pożeracze Dusz szukają ostatniego kawałka opalu ognia, który był ukryty od śmierci Czarownika Fok. Już przez pół księżycy wystawiano strażę. Dzisiaj przypadała kolej Toraka i Bale’a.

Bale wyglądał na bardzo zaabsorbowanego, kiedy szorował naczynie do gotowania piaskiem. Otworzył usta, żeby coś powiedzieć, po chwili potrząsnął głową i zmarszczył brwi.

Takie wahanie było dla niego nietypowe, więc to, co miał do powiedzenia, było z pewnością ważne. Torak bawił się źdźbłem morskiej trawy, przesuwał je między palcami, i czekał.

–Kiedy wrócisz do Lasu – powiedział Bale, nie patrząc mu w oczy – poproszę Renn, żeby tu została. Ze mną. Chcę wiedzieć, co o tym myślisz.

Torak znieruchomiał.

–Toraku?

Torak wrzucił źdźbło do ognia i patrzył w płomienie, które na chwilę rozbłysły purpurą. Czuł się tak, jak gdyby dotarł do końca urwiska, nie wiedząc, że tu właśnie jest krawędź.

–Renn może robić to, co jej się podoba – powiedział w końcu.

–Ale ty. Co ty o tym sądzisz?

Torak zerwał się na równe nogi. Czuł, że dostaje gęsiej skórki z wściekłości, serce waliło mu nieprzyjemnie w piersi. Patrzył z góry na Bale’a, który był przystojny, starszy i należał do klanu. Wiedział, że jeżeli zostanie, będą musieli walczyć, ale tym razem naprawdę.

–Odchodzę – powiedział.

–Z powrotem do obozowiska? – spytał Bale, nagle bardzo spokojny.

–Nie.

–Więc dokąd?

–Po prostu odchodzę.

–A co z trzymaniem warty?

–Ty się tym zajmiesz.

–Toraku. Nie bądź...

–Powiedziałem: *ty się tym zajmiesz!*

–Dobrze, już w porządku. – Bale wpatrywał się w ogień.

Torak odwrócił się na pięcie i pobiegł do łodzi.

Ruszył w kierunku północnego wybrzeża, by uciec jak najdalej od Zatoki Fok. Gniew już wyparował, on jednak nadal był zdezorientowany, czuł chłód i kręciło mu się w głowie. Tęsknił za Wilkiem, ale ten był daleko stąd. Wypatrzył na brzegu miejsce, gdzie będzie mógł przybić i skierował tam łódź. Przeniósł ją w kierunku karłowatych drzew rosnących na niższej części zbocza, czuł, że potrzebuje zapachów brzozy i jarzębiny, ale nawet tutaj były one przytłumione zapachem morza i soli, nie takie, jak te rosnące w Lesie. Nie mógł wrócić do Zatoki Fok, nie tej nocy. Zostanie tutaj.

Nie miał przy sobie plecaka ani śpiwora, ale od czasu, kiedy go wyrzucono poza obręb klanów, zawsze nosił ze sobą wszystko, co mogłoby mu się przydać – toporek, nóż, woreczek z krzesiwem. Odwrócił łódź z foczej skóry do góry dnem i ustawił na grubych drągach, wokół porozstawiał patyki z wyschniętych zarośli z zeszłej jesieni i większe gałęzie, robiąc sobie schronienie na noc. Następnie rozniecił ogień z drewna wyrzuconego przez morze, a za ogniskiem poustawiał kamienie, żeby odbijały ciepło. Wokół było pełno suchych gałęzi i wodorostów na legowisko, na razie nie czuł zimna w kurtce ze skóry renifera i w spodniach. Jeżeli zmarznie, to trudno.

Noc była jasna, kończył się okres Księżyca Brzozowej Żywicy. Foki nazywały go Księżycem Uciekających Dorszy. Z płycizny dobiegł go odgłos maleńkiej kry lodowej uderzającej o skałę. Gdzieś w mroku, za światłem ogniska, Rip i Rek spały przytulone do siebie na gałęzi jarzębiny, dzioby miały schowane pod skrzydłami.

Torak leżał na boku, wpatrując się w ogień. Już dziewięć miesięcy minęło, odkąd wyrzucono go poza obręb klanów, ale wciąż czuł się dziwnie, kiedy rozpałał ognisko na otwartej przestrzeni, nie próbując ukryć dymu.

Powinien wracać.

Nie mógł jednak spojrzeć w twarz Bale'owi. Ani Fin-Kedinnowi. Ani Renn.

Kiedy otulał się szczelniej kurtką, poczuł, że coś go dźga w bok. To łyżka Bale'a; pewnie wsunął ją sobie za pas, zanim wstał od ogniska. Obracał ją w palcach.

Była zrobiona precyzyjnie, ścięgnięto foki zostało mocno zaciśnięte, jego wolny koniec starannie przepleciony i związany.

Torak westchnął głęboko. Wróci rano i powie, że mu przykro. Bale zrozumie. To była jego dobra cecha – nigdy z żadnego powodu się nie obrażał.

Torak źle spał. We śnie słyszał krzyk sowy, słyszał Renn, która mówiła mu o czymś, czego nie rozumiał.

Było już po północy, kiedy się obudził. Nastął czas Ciemnego Księżyca, którego na niebie zjadał Niebiański Niedźwiedź, od powierzchni gładkiego morza odbijały się tylko połyskujące gwiazdy. Torak pomyślał, że pora ruszać – dobić do Zatoki Fok, wspiąć się na urwisko Crag i odnaleźć Bale'a.

Był niewyspany, nie potrafił zebrać myśli. Rozebrał szalas i zalał ogień wodą, żeby go uśpić. Rip i Rek niechętnie rozpościerały skrzydła i stroszyły pióra na głowie, chcąc pokazać, że nie podoba im się tak wczesna pobudka, ale kiedy Torak zaciągnął łódź na płyciznę i ruszył, usłyszał za sobą silne, równomierne bicie kruczych skrzydeł rozganiających powietrze.

Słońce na wschodzie było jak szkarłatne rozcięcie między Morzem a niebem, ale Zatoka Fok leżała w cieniu, urwisko Crag odbijało się ciemnym zarysem od nieba na tle gwiazd. Słysząc było krzyki mew, jednak w szalaszach z foczej skóry panowała cisza. Zakłócał ją tylko odgłos wodospadu, morze nieubłaganie biło o brzeg, a suszący się dorsz trzeszczał na mrozie. Rek zakrakała, wyraźnie czymś podekscytowana – okazało się, że ptak zauważył padlinę i oba kruki pofrunęły do skały u stóp urwiska. Było za ciemno i Torak nie widział, co znalazły, ale czuł, że napina mu się skóra na karku i ramionach.

Nie wiadomo, co tam było, więc Rip i Rek podchodziły ostrożnie, tak jak to robią kruki, skacząc sztywno coraz bliżej, co chwilę podfruwając i odlatując.

Torak usiłował przekonać siebie, że to może być cokolwiek. Ale teraz już biegł, potykając się o stosy gnijących wodorostów. Kiedy się zbliżał, poczuł w nozdrzach mdlący, słodkawy zapach, który trudno z czym innym pomylić. Upadł na kolana. Nie.

Nie.

Musiał to wykrzyczeć, bo kruki odfrunęły, kracząc, czymś zaalarmowane.

Nie.

Podczołgał się bliżej. Jego palce dotknęły czegoś mokrego i zobaczył na nich czerwień. Widział odłamki białych kości i plamy tłustej, szarej substancji. Ogarniała go ciemność, która wychynęła z długich, jasnych włosów, przeplecionych koralikami

z błękitnego kamienia i kostkami gromadnika. Dostrzegł znajomą twarz, wpatrującą się pustym wzrokiem w niebo.

Bywa i tak, że to przychodzi bez ostrzeżenia. Zupełnie znienacka.

Rozdział 2

To nie może być prawda – pomyślał Torak. To nie on patrzy na palce podobne teraz do szponów, na krew czerniejącą pod paznokciami. To nie może być prawda.

Jakaś mewa rozwrzeszczała się na klifie. Chłopak uniósł głowę. Wysoko ponad nim, na samej krawędzi urwiska zobaczył zwisający w dół krzak jałowca. Wyobraził sobie Bale'a na kolanach, wychylającego się zbyt daleko, a później desperacko próbującego chwycić się gałęzi, spadającego w dół, kiedy gałąź nie wytrzymała. W dół, prosto na skały.

Bale! Dlaczego podszedłeś tak blisko krawędzi urwiska?

Mroźny wiatr mocno dmuchnął, Torak poczuł jego liźnięcie na karku i zatrząsł się z zimna. Dusze Bale'a były jeszcze bardzo blisko, straszliwie rozzłoszczone. Wściekłe na niego. *Gdybyś był ze mną, nie umarłbym.* Torak zacisnął mocno powieki.

Symbole Śmierci. Tak. Dusze muszą trzymać się razem, w przeciwnym razie Bale może stać się demonem albo zjawą.

Tylko tyle mogę dla ciebie zrobić – pomyślał Torak.

Drżącymi palcami rozwiązał rzemień woreczka i potrząsnął nim. Wypadł z niego należący kiedyś do jego matki róg z lekami i maleńka łyżeczka z muszli małża. Torak zamrugał. Nawet mu za nią nie podziękował. Jedli w milczeniu. Później zaczęli się kłócić. Nie – poprawił się Torak. – Bale się z tobą nie kłócił. To ty się na niego wydarłeś. Ostatnia rzecz, jaką od ciebie usłyszał, została wypowiedziana w gniewie.

Symbole Śmierci.

Wcisnął łyżeczkę z powrotem do skózanego mieszka. Wytrząsnął na dłoń trochę czerwonej glinki, próbował na nią napluć, ale miał sucho w ustach. Potykając się, podszedł do zagłębienia z wodą i zmoczył czerwoną ochrę, by zrobić z niej pastę. Wracając, owinął sobie palec trawą morską, żeby barwnik nie dotknął ciała.

Bale leżał na plecach. Na jego twarzy nie było śladu urazów, ale czaszka z tyłu popękała jak rozbita skorupka jajka. Torak, otępiąły, malował palcem umoczonym w czerwonej mazi koła na jego czole, piersi i piętach.

Kiedyś malował takie koła na ciele ojca. Najtrudniej było zrobić ojcu znak na piersi,

bo miał tam bliznę po wycięciu tatuażu Pożeraczy Dusz. Na piersi Toraka była podobna blizna, więc kiedy nadejdzie jego czas, ten znak też będzie trudno namalować. Klatka piersiowa Bale'a była gładka. Bez skazy.

Kiedy skończył, przysiadł na piętach. Wiedział, że jest zbyt blisko ciała, że to najbardziej niebezpieczny okres, kiedy dusze wciąż są blisko i mogą próbować wdrzeć się w ciało żyjących, żeby je opętać. Ale nie ruszał się z miejsca.

Ktoś szedł po suchych wodorostach, wołając go po imieniu.

Odwrócił się. Renn zobaczyła jego twarz i zatrzymała się w pół kroku.

–Nie zbliżaj się – jego głos był szorstki, jakby należał do kogoś innego.

Podbiegła do niego. Zobaczyła, co się stało. Zbladła nagle, jej twarz stała się biała jak śnieg.

–Spadł – powiedział Torak.

Kręciła głową, jej usta powtarzały bezgłośnie: nie, nie. Torak widział, jak przygląda się jego pustemu spojrzeniu, rozbryzganym fragmentom mózgu, krwi pod paznokciami. Ten obraz zostanie z nią na zawsze, a on nie mógł zrobić nic, żeby ją chronić.

Krew pod paznokciami.

Znaczenie tego faktu odebrało mu siły, było jak lodowata fala morska. To nie krew Bale'a. Ktoś tam z nim był na krawędzi urwiska. Bale nie spadł. Został zepchnięty.

Za plecami Renn pojawił się Fin-Kedinn. Zaciśnął palce na kosturze, skulił ramiona, ale z jego twarzy nie można było nic wyczytać.

–Renn – powiedział cichym głosem. – Idź i przyprowadź przywódcę klanu Foki.

Musiał to powtórzyć dwa razy, zanim usłyszała, ale choć raz się z nim nie spierała. Poszła w kierunku obozowiska jak lunatyczka, wlokąc nogę za nogą.

Fin-Kedinn odwrócił się do Toraka.

–Jak to się stało?

–Nie wiem.

–Dlaczego? Nie byłeś z nim? Torak się skrzywił.

–Nie. Ja... Powinienem być. Ale nie byłem. – Gdybym z nim był, Bale by nie zginął.

To moja wina. *Moja wina.*

Ich spojrzenia skrzyżowały się i w ostrym, błękitnym wzroku Fin-Kedinna Torak dostrzegł zrozumienie i smutek. Smutek z jego powodu.

Przywódca klanu Kruka podniósł głowę i przyglądał się uważnie krawędzi urwiska.

–Idź na górę – powiedział. – Dowiedz się, kto to zrobił.

Poranne słońce nieśmiało oświetlało kolce jałowca, kiedy Torak wspinał się stromą ścieżką w kierunku urwiska. Bez trudu rozpoznawał ślady butów Bale'a – znał je tak dobrze jak swoje, Renn czy Fin-Kedinna – to były jedyne ludzkie ślady na ścieżce. A więc ten, kto go zabił, nie przyszedł tędy; nie od strony obozowiska Fok.

***Ten, kto go zabił.* Ta myśl wciąż nie była rzeczywista. Jeszcze wczoraj wspólnie patroszyli dorsza na brzegu morza; Rip i Rek szybowaly ponad ich głowami, zataczając łagodne łuki coraz bliżej parujących wnętrzności, a Bale od czasu do czasu rzucał krukowi ochłapy. I w końcu ostatni dorsz zawisł na kiju powieszony za ogon, a oni byli wolni i mogli iść popływać kajakami. Asrif pożyczył Torakowi swoją łódź, a Detlan i jego mała siostrzyczka wyszli ich pożegnać; Detlan, poruszający się o kulach, machał im tak zapamiętale, że mało co się nie wywrócił.**

Zaledwie wczoraj.

Wąski odcinek prowadzący do urwiska był porośnięty jarzębiną i jałowcem, ale po chwili rozszerzał się na kształt płaskiej łodzi skierowanej ku Morzu. Dawno temu na kamiennej powierzchni skały wykuto rysunki przedstawiające srebrzystą sieć myśliwych i zwierzynę. Na samym środku, jakby przycupnięty, stał szary, granitowy ołtarz w kształcie ryby.

Torak przełknął ślinę. Dwie wiosny temu Czarownik Fok przywiązał go do tego ołtarza i przygotowywał się do wycięcia mu serca z piersi. Chłopak wciąż czuł granit wrzynający się w jego łopatki, wciąż słyszał postukiwanie pazurów tokorogów.

Gdzieś z dołu dobiegł okrzyk, który brzmiał jak gdyby wydawało go stworzenie rozdzierane na strzępy. Torak wstrzymał oddech. Ojciec Bale'a znalazł ciało syna.

Nie myśl o tym. Myśl o czymś innym. Zrób to dla Bale'a.

Urwisko lśniło od porannej rosy. Była to naga skała porośnięta jedynie górkim mchem i kolczastym rozchodnikiem. Odnalezienie tropów będzie trudne, ale jeżeli zabójca zostawił jakikolwiek ślad, Torak go znajdzie.

Przeszukiwał wzrokiem urwisko Crag, stojąc na samym przewężeniu. Coś było nie tak, ale nie potrafił stwierdzić co. Postanowił, że pomyśli o tym później i ruszył

naprzód. Jego ojciec mawiał, że aby wytropić zwierzynę, trzeba myśleć jak ona i wejść w jej duszę. Teraz te słowa nabierały straszliwego znaczenia. Torak musiał zobaczyć Bale'a żywego na skale. Musiał również ujrzeć jego bezimiennego zabójcę.

Napastnik był z pewnością silny, jeżeli pokonał Bale'a, ale była to jak dotąd jedyna rzecz, którą Torak o nim wiedział. Musiał nakłonić te skały, żeby opowiedziały mu resztę. Odnalezienie pierwszego znaku nie zajęło mu dużo czasu. Przykucnął, patrząc raz w lewo, raz w prawo, mrużył oczy w świetle poranka. Słońce stało nisko. Odcisk buta, bardzo słaby. I jeszcze jeden, a raczej coś, co sugerowało odcisk. Starsi mężczyźni chodzą od pięty, młodszy stawiają stopę od palców. Bale wszedł na urwisko lekko.

Torak śledził w wyobraźni jego kroki. Zapomniał o głosie Morza i słonym wietrze wiejącym w twarz. Zatracił się w poszukiwaniach.

Wrócił do rzeczywistości, czując, że ktoś go obserwuje. Zatrzymał się. Serce zaczęło mu walić młotem. Czy zabójca Bale'a wciąż ukrywał się gdzieś w gęstwinie?

Błyskawicznie wyciągnął nóż i odwrócił się w tamtym kierunku.

–Toraku, to ja! – krzyknęła Renn.

Głośno wypuścił powietrze z płuc i opuścił nóż.

- *Nigdy więcej* tego nie rób!

–Sądziłam, że mnie słyszysz!

–Co tu robisz?

–To samo, co ty! – Była wściekła, że ją przestraszył, ale szybko się uspokoiła. – On nie upadł. Pod paznokciami... – Patrzyli na siebie. Torak zastanawiał się, czy na jego twarzy również widniał wyraz pustki i cierpienia.

–Jak to się stało? – spytała. – Sądziłam, że z nim byłeś. – Nie.

Popatrzyła mu prosto w oczy. Torak odwrócił wzrok.

–Ty pierwszy – powiedziała.

Pochylony, z głową przy ziemi, rozpoczął poszukiwania. Renn była tuż za nim. Rzadko się odzywała, kiedy Torak tropił i szedł po śladach; twierdziła, że chłopak wchodzi w jakiś trans i nie chce go przerywać. Torak był teraz za to wdzięczny. Niekiedy za dużo dostrzegała tymi ciemnymi oczami, a on nie mógł jej opowiedzieć o kłótni z Bale'em. Za bardzo mu było wstyd.

Kilka kroków dalej odnalazł kolejne znaki. Skrawek porostu oderwany przez kogoś w biegu; a za ołtarzem liść rozchodnika wciśnięty w skałę. W pęknięciu kamienia włos renifera. Torak poczuł gęsią skórę. Bale chodził w kurtce ze skóry foki. Ten włos należał do zabójcy. Oczywiście wyobraźni zobaczył postać łowcy wyłaniającego się z mgły. Wielki, ciężki mężczyzna ubrany w zwierzęcą skórę.

W umyśle Toraka natychmiast pojawiło się imię, ale odsunął od siebie tę myśl. Nie zgaduj. Niech twój umysł będzie otwarty. Znajdź dowody.

Wyobraził sobie Bale'a wychodzącego z kryjówki w zaroślach, biegnącego w kierunku postaci klęczącej przy ołtarzu. Zabójca wstał. Krążyli wokół siebie, zbliżając się coraz bardziej do brzegu przepaści.

Było takie miejsce, w którym krawędź urwiska pękła, a tam, gdzie wiatr nawiał ziemi w szczelinę skały, wyrósł jałowiec. Roślina została wyrwana z korzeniami i wciąż sączyła się z niej żywica. Torak widział oczywiście wyobraźni Bale'a, który za wszelką cenę chce się utrzymać, ściska gałąź, jego dłoń wpija się w nią jak szpon ptaka w błoto. Tak zaciekle walczył o życie. A zabójca przygniótł mu palce butem.

Wzrok Toraka przysłoniła czerwona mgiełka. Poczuł, że pocałował mu się dłoń. Kiedy go złapie, to...

–Kimkolwiek byłby ten ktoś – powiedziała Renn drżącym głosem – musiał być strasznie silny, skoro pokonał B... – Zasłoniła usta krawędzią dłoni. Przez kolejnych pięć wiosen nie wolno będzie wypowiadać imienia Bale'a, w przeciwnym razie jego duch mógłby powrócić, i nękać żyjących.

–Patrz – powiedział Torak. Podniósł maleńką kropelkę wysuszonej żywicy. – I tutaj – odsunął gałąź i odkrył odcisk dłoni.

Renn wciągnęła powietrze w płuca.

Zabójca Bale'a oparł się na dłoni i patrzył, jak jego ofiara spada. Ta dłoń miała tylko trzy palce.

Torak zacisnął powieki. Znowu był w jaskiniach Dalekiej Północy, stał twarzą w twarz z Pożeraczem Dusz. Wilk skoczył, by go obronić, rzucił się na napastnika i odgryzł mu dwa palce.

–Więc teraz wiemy na pewno – powiedziała Renn chłodnym głosem.

Spojrzeli na siebie. Oboje przypomnieli sobie okrutne zielone oczy, osadzone w twarzy chropawej jak spękana od słońca ziemia.

Torak zacisnął pięść na zaschniętej kropelce żywicy.

–Thiazzi – powiedział.

Rozdział 3

Czarownik Dębu nie próbował zacierać za sobą śladów. Znalazł drogę na stromej północnej części urwiska, prowadzącą do niewielkiej plaży wysypanej kamyczkami, spuścił kajak na morze i powiosłował w dal.

Torak i Renn szli jego tropem tak długo, aż urwał się u brzegu Morza.

–Mogłem go zobaczyć stamtąd, gdzie byłem – powiedział Torak.

–Dlaczego rozbiłeś tam obóz? – spytała Renn.

–Ja... Ja musiałem być sam.

Spojrzała na niego przenikliwie, ale nie spytała o przyczynę. To było jeszcze gorsze. Może już zgadła, że Torak popełnił straszliwy błąd; tak okropny, że i ona nie potrafiła zmusić się do rozmowy na ten temat.

–On może być teraz gdziekolwiek – powiedziała, odwracając się plecami do fal. – Mógł dotrzeć do wyspy Kelp albo do jednej z pomniejszych wysepek. Lub wrócić do Lasu.

–I ma nad nami przewagę czasu – powiedział Torak. – Chodźmy.

Aby wrócić do obozowiska Fok, musieli ponownie wspiąć się na urwisko. Ołtarz ciągle wyglądał jakoś nie tak. Inaczej. Ale Renn zauważyła dlaczego.

–Rysunki na skale. Szczyt ołtarza leży na głowie tego łosia. Coś tu jest nie tak.

–Ktoś go przesunął – Torak był zdumiony, że nie zauważył tego wcześniej. Ślady zadarć na skale były tak oczywiste jak czerń kruka na lodowej krze. Wyobraził sobie Czarownika bębu – najsilniejszego człowieka w Lesie, który napiera ramieniem na ołtarz, żeby go przesunąć, ‘a następnie przemieszcza go na właściwe miejsce, ale zostawia go w innym stanie, niż zastał.

Pod szczytem ołtarza Torak zobaczył to, co odkrył Thiazzi – małe wgłębienie wykute w powierzchni skały. Było puste.

–Znalazł to, po co przyszedł – powiedział Torak.

Żadne z nich nie wypowiedziało *tych* słów, ale oboje poczuli strach. W jarzębinach na przewężeniu Torak znalazł dowód – resztki maleńkiego mieszka uszytego z wyprawionej foczej skóry. Rozpadająca się skóra wciąż miała na sobie odcisk czegoś twardego, wielkości mniej więcej owocu tarniny, co ukryte było w środku.

Torak poczuł, jak serce mu wali, niemal słyszał jego uderzenia. Głos Renn dobiegał jakby z olbrzymiej odległości.

–Znalazł go, Toraku. Thiazzi znalazł opał ognia.

–Nikommu nie mówcie – powiedział Fin-Kedinn. – Ani o tym, że został zamordowany, ani kto to zrobił, ani dlaczego.

Torak zgodził się bez protestu, ale Renn nie mogła uwierzyć własnym uszom.

–Nawet jego ojcu?

–Nikommu – potwierdził przywódca klanu Kruka. Siedzieli przykucnięci przy brzegu strumienia na południowym skraju zatoki, rysując sobie wzajemnie gliną znaki żałoby na twarzach. Ryk wodospadu tłumił ich głosy. Nie bali się, że podsłuchają ich kobiety klanu Foki, które w dolnej części strumienia przygotowywały stypę, ani mężczyźni szykujący łódź Bale'a na Podróż Śmierci. Foki pracowały w milczeniu, żeby uniknąć obrażania dusz zmarłego chłopca. Torak miał wrażenie, że widzi ludzi we śnie.

Pracowali cały dzień, a on pomagał. Teraz już zmierzchało, a wszystkie szałas, wszystkie łodzie, wszystkie, co do ostatniego, drewniane wieszaki, na których suszyły się dorsche, były przesunięte i przeniesione na tę stronę zatoki, jak najdalej od urwiska Crag. Na północy został tylko szałas, w którym Bale mieszkał ze swoim ojcem. Polano go foczym tłuszczem i podpalono. Wyglądał jak czerwone oko patrzące na Toraka z gęstniejącej ciemności.

–Ale tak nie powinno być – zaprotestowała Renn.

–To jest konieczne. – Wuj spojrzał jej w oczy i nie spuszczał z niej wzroku. – Pomyśl, Renn. Gdyby jego ojciec wiedział, chciałby się zemścić.

–Tak. I co z tego? – odcięła się.

–Nie byłby sam – rzekł Fin-Kedinn. – Cały klan chciałby pomścić jednego ze swoich.

–No i? – powtórzyła Renn.

–Znam Thiazzię – powiedział Fin-Kedinn. – Nie będzie się chował na wyspach, ruszy z powrotem do Lasu, gdzie jego moc jest największa. Najszybsza droga to ścieżka prowadząca obok miejsca, gdzie ludzie handlują ze sobą na wybrzeżu...

–A jeżeli Foki ruszyłyby za nim – włączył się Torak – Thiazzi skłóciłby je z innymi klanami i uciekł.

Przywódca klanu Kruka skinął głową.

–Właśnie dlatego milczymy. Klany Morza i klany Lasu nigdy nie żyły ze sobą w przyjaźni. Thiazzi by to wykorzystał. To jego siła, bo on żeruje na nienawiści. Przysięgnijcie mi oboje, że nie powiecie nikomu.

–Przyrzekam – powiedział Torak. Nie chciał, żeby Foki ruszyły w pościg za Thiazzim. Zemsta to jego sprawa. Tylko jego.

Renn obiecała niechętnie.

–Ale jego ojciec na pewno się dowie – powiedziała. – Z pewnością zobaczył to, co my widzieliśmy. Na przykład... krew pod paznokciami.

–Nie – powiedział Fin-Kedinn. – Zadbalem o to.

–Na twarzy miał namalowane grube szare kreski z gliny i wyglądał, jakby był teraz kimś zupełnie innym.

–Chodźcie – dodał, wstając. – Czas wracać do reszty.

Foki ułożyły na wybrzeżu krąg z łuczyw zrobionych z wysuszonego morszczyku – pomarańczowy krąg ognia bijącego prosto w granatowe niebo. Pośrodku położono Bale'a w jego łodzi. Gęsty, czarny dym szczypał Toraka w oczy, a płuca wypełnił mu smród płonącego foczego tłuszczu. Czuł, jak glina, którą miał przyozdobioną twarz, zastyga i wysycha.

Pogrzeb Bale'a – pomyślał. – To niemożliwe.

Najpierw ojciec Bale'a ruszył w kierunku łodzi i delikatnie nakrył ciało śpiworem należącym do zmarłego. Stracił obu synów, obu zabili Pożeracze Dusz. Patrzył nieobecny wzrokiem. Jakby spoczywał już na dnie Morza – pomyślał Torak.

Później wszyscy członkowie klanu, jeden po drugim, składali dary na Podróż Śmierci. Asrif dał miskę, Detlan haczyki na ryby, a jego mała siostrzyczka, która bardzo lubiła Bale'a, powstrzymywała się od łez na tyle długo, by zdążyć włożyć do łodzi maleńką kamienną lampkę. Inni darowali ubrania, suszone mięso wieloryba lub dorsza, sieci na foki, dzidy, liny. Fin-Kedinn dał harpun, a Renn trzy najlepsze strzały. Torak włożył do łodzi amulet ze szczęki szczupaka, zapewniający szczęście w polowaniu.

Stojąc z boku, przyglądał się, jak mężczyźni biorą łódź z foczej skóry na ramiona i niosą ją w kierunku płycizny. Tam wkładają dwa ciężkie kamienie na dziób i rufę, a ojciec Bale'a wsiada do własnej łodzi i zaczyna odholowywać syna na Morze. Reszta klanu w milczeniu zawróciła, udając się na stypę, ale Torak został na miejscu i przyglądał się, jak dwie łodzie niktą i zamieniają się w maleńkie, czarne punkty na wodzie. Kiedy będą poza zasięgiem wzroku, ojciec Bale'a weźmie w dłoń oszczep i

podziurawi łódź pogrzebową, wysyłając ciało syna do Matki Morze. Ryby zjedzą jego mięso tak, jak za życia on jadł ich mięso; a kiedy jego szalasa zamieni się w pył, który wiatr rozwieje na cztery strony świata – zniknie wszelki ślad po Bale'u, jak maleńka falka na Morzu.

Ale on tu powróci – pomyślał Torak. Tu się urodził. Tu był jego dom. Będzie się czuł bardzo samotny na Morzu.

Fin-Kedinn zawołał Toraka.

–Chodź. Musisz wziąć udział w uczcie.

–Nie mogę – powiedział, nie odwracając się.

–Musisz.

–Nie mogę! Muszę ruszać za Thiazzim.

–Toraku, jest ciemno – powiedziała Renn stojąca u boku wuja. – Nie świeci księżyc, teraz nie możesz nigdzie iść. Ruszamy o świcie.

–Musisz uczcić pamięć swojego krewniaka – powiedział Fin-Kedinn poważnym głosem.

Torak stracił panowanie nad sobą.

–Mojego krewniaka? Teraz będziemy go tak nazywać? Mój krewniak. Chłopiec z klanu Foki. Przez całe pięć wiosen zapomnimy, jak się naprawdę nazywał.

–Nigdy nie zapomnimy – odparł Fin-Kedinn – ale tak jest lepiej, sam wiesz.

–Bale – powiedział Torak bardzo wyraźnie. – Nazywał się Bale.

Renn aż westchnęła.

Fin-Kedinn patrzył spod zmarszczonych brwi.

–Bale – powtórzył Torak. – Bale. Bale. Bale! Przeszedł, ocierając się o nich ramieniem, a później ruszył biegiem i biegł przez całą długość zatoki. Zatrzymał się dopiero przy szczątkach szalasu Bale'a.

Bale! – krzyknął ku zimnemu Morzu. Jeżeli to sprawi, że duch Bale'a wróci, żeby się na nim zemścić, niech tak będzie. To jego wina, że Bale leży teraz na dnie Morza. Gdyby się nie pokłócili, Bale nie zostałby sam na urwisku Crag. Razem stawiliby czoła Czarownikowi Dębu, a Bale wciąż by żył.

To jego wina.

– Toraku! – Renn stała po drugiej stronie dogasającego ognia, płomienie oświetlały jej bladą twarz.

–Przestań go wołać po imieniu! Przywołasz jego ducha!

–Niech przyjdzie! – krzyknął rozzłoszczony. – Tylko na to zasługuję!

–Przecież go nie zabiłeś.

–Ale to była moja wina! Jak mam to znosić? Na to nie dała żadnej odpowiedzi.

–Fin-Kedinn ma rację! – krzyknął Torak. – Foki nie będą mogły pomścić Bale’a, to jest moje zadanie!

–Przestań go nazywać po imieniu.

–Zemsta należy *do mnie!* - zawołał. Wydobył nóż, wyjął róg z lekami z mieszka i uniósł je ku niebu. – Przymierzam ci to, Bale. Przymierzam na ten nóż i róg, i na moje trzy dusze – będę ścigał i tropił Czarownika Dębu, aż go dopadnę, a później zabiję. Później go zabiję. *Pomszczę cię.*

Rozdział 4

Wilk stoi w Jasnym Miękkim Chłodnym u stóp góry, patrząc wzwyż na Ciemnofutrą. Jest oddalona o wiele wilczych skoków, spogląda w dół, na niego.

Wilk chwyta w nozdrza jej zapach, słyszy wiatr przesuwający się szeptem przez jej piękne, czarne futro. Macha ogonem i wyje.

Ciemnofutrą też merda i odpowiada mu wyciem. Ale to jest Góra Gromowładnego. Wilk nie potrafi się na nią wspiąć, a wilczyca nie umie zejść.

Przez cały Długi Chłód tęsknił za nią, nawet kiedy polował z Wysokim Bezogonem i siostrą z jego stada albo bawił się w Złap Leminga, a zwłaszcza wtedy, bo Ciemnofutrą świetnie potrafi się w to bawić. Ze wszystkich wilków ze stada z Góry Wilk najbardziej tęsknił za nią. Są jednym oddechem, jedną kością. Czuje to w swoim futrze.

Ciemnofutrą schodzi w dół, opierając się na przednich łapach, i szczeka.

Chodź! Polowanie jest dobre, a stado silne!

Wilk smętnie opuszcza ogon.

W jej poszczekiwaniu słycać zniecierpliwienie.

Nie mogę - odpowiada.

Długimi skokami wilczyca zbiega z Góry. Jasne Miękkie Chłodne ucieka spod jej łap, kiedy biegnie ku niemu, a serce Wilka unosi się z radości. Szczęśliwy leci w jej kierunku tak szybko, że...

Wilk się obudził.

Był gdzieś poza Teraz, tam, gdzie chodził w snach, z powrotem w innym Teraz, leżał na skraju Wielkiego Mokrego. Sam. Tęsknił za Ciemnofutrą. Tęsknił za Wysokim Bezogonem i siostrą z jego stada. Tęsknił nawet za tymi krukami, tylko trochę. *Dlaczego Wysoki Bezogon go zostawił i odpłynął w skórze pływającej po wodzie?*

Wilk nie znosił tego miejsca. Ostra, zmarznięta ziemia gryzła go w poduszki łap, rybie ptaki atakowały, kiedy zbliżał się do ich gniazd. Przez jakiś czas badał Jamy bezogonów, rozstawione wzdłuż Wielkiego Mokrego, obserwował Szybką Wilgoć, która spływała z gór, ale teraz był znudzony. Bezogony nie polowały, stały tylko i paplały coś, gapiąc się na kamyczki. Dla nich chyba niektóre kamyczki były ważniejsze niż inne. Chociaż Wilk uważał, że pachną tak samo, to jednak kiedy bezogony dawały je sobie nawzajem, kłóciły się zawzięcie. Kiedy normalny wilk daje prezent – kość albo interesujący patyk – robi to dlatego, że lubi innego wilka, nie dlatego, że jest na niego zagniewany.

Przyszło Ciemne i bezogony ułożyły się do swojego niekończącego się snu. Wilk podniósł się i poszedł powęszyć wokół szałasów. Starając się unikać psów, zjadł kilka ryb zwisających z patyków i pyszny kawałek mięsa rybiego psa. Później, przed Jamą, znalazł łapę rybiego psa i ją też zjadł. Kiedy przyszła Jasność, pobiegł do Lasu, udeptał zarośla, robiąc w ten sposób wygodne legowisko, i uciął sobie drzemkę.

Zapach obudził go w mgnieniu oka.

Czuł, że pazury wbijają mu się w ziemię. Zjeżył się na karku. Znał ten zapach. Teraz znowu przypomniały mu się złe rzeczy. Zabolał go koniec ogona.

Trop był silny, prowadził w górę Mokrego. Wilk zawarczał, jednym skokiem poderwał się na nogi i ruszył tym śladem.

–Mówiłem ci już – powtórzył myśliwy z klanu Orła Morskiego, związując poroża jelenia. – Widziałem wielkiego męczyznę wychodzącego na brzeg. I to wszystko.

–A dokąd poszedł? – spytał Torak. Renn, ogrzewająca dłonie kubkiem gorącej żywicy brzozonej, zastanawiała się, ile jeszcze zniesie myśliwy z klanu Orła

Morskiego.

–Nie wiem! – rzucił ostro rozmówca. – Byłem zajęty, chciałem handlować!

–Chyba poszedł w górę rzeki – wtrąciła jego kobieta.

–W górę rzeki – powtórzył Torak.

–To może oznaczać gdziekolwiek – powiedziała Renn. Torak jednak biegł już w kierunku obozowiska Kruków i łodzi obciążonych skórą jelenia.

Była druga noc po pogrzebie Bale'a, a oni po wyczerpującej przeprawie dotarli do punktu na wybrzeżu, w którym klany handlowały między sobą. Mgła osiadła na obozowiskach rozbitych wzdłuż brzegu i przy ujściu Rzeki Łosi. Klany Jaskółki, Orła Morskiego, Wodorostu, Kruka, Kormorana, Żmii – wszystkie zjawily się tu, by wymieniać poroża na skórę foczą i krzemień. Fin-Kedinn wrócił, żeby oddać pożyczone od klanu Wieloryba kajaki, a kruki przysiadły na sośnie. Nie było ani śladu Wilka.

Renn podbiegła, by dogonić Toraka, który przedzierał się przez kolczaste zarośla, i rzucała na niego poirytowane spojrzenia, jednak on ich nie zauważał.

–Toraku, zaczekaj! – Rozejrzała się dookoła, żeby się upewnić, że nikt nie podsłuchuje, i powiedziała przyciszonym głosem. – Nie myślałeś o tym, że to może być zasadzka? Przecież Pożeracze Dusz już nieraz zastawiali na ciebie pułapki.

–Nic mnie to nie obchodzi – odparł Torak.

–Ale pomyśl! Gdzieś tam jest Thiazzi i Eostra, dwoje pozostałych przy życiu Pożeraczy Dusz, oboje obdarzeni największą mocą ze wszystkich.

–Nic mnie to *nie obchodzi* Zabił mojego krewniaka. A ja zabiję jego. I nie mów mi, że ruszymy o świcie. Nie mów mi, że muszę się przespać.

–Wcale nie miałam takiego zamiaru – odgryzła się, już sprowokowana. – Chciałam powiedzieć, że pójde po zapas żywności.

–Nie traćmy czasu. On ma nad nami już dwa dni przewagi.

–A będzie miał więcej – odparła – jeżeli będziemy musieli się zatrzymać i coś upolować.

Kiedy dotarła do szałas, który dzieliła z Saeunn, widok znajomych, rzuconych byle jak skór łosia zatrzymał ją w miejscu. Niecały miesiąc temu porzuciła szałas i obozowisko i pobiegła w kierunku kajaków, nie mogła się doczekać, żeby mieć dla

siebie Fin-Kedinna, Toraka, nie mogła się doczekać widoku Bale'a.

Zacisnęła mocno powieki. Wtedy, nie wierząc w to, co widzi, wpatrywała się w jego okaleczone ciało. To puste, błękitne spojrzenie. Szara maź na skałach. To są jego myśli, tak sobie mówiła. Jego myśli wtapiające się w mchy i porosty na skale.

Ten obraz miała przed oczami w dzień i w nocy. Nie wiedziała, czy Torak również to widzi, bo jeżeli w ogóle o czymś rozmawiał, to tylko o odnalezieniu Thiazzięgo. Wydawało jej się, że nie pozostało w nim nic prócz rozżalenia.

Skroplona mgła spływała po jej szyi i Renn zadrżała z zimna. Była zmęczona, zeszywniała po przeprawie, pusta w środku z żalu i smutku i samotna. Nie wiedziała, że można być tak samotnym wśród ludzi, których się kocha.

Wokół niej myśliwi i łowcy pojawiali się i znikali w mroku. Myślała o Thiazzim, który z radością i rozkoszą patrzy na opal ognia. O człowieku, któremu sprawia radość zadawanie bólu innym, który żył tylko po to, by rządzić. Czarownica klanu Kruka siedziała w rogu szałas okutana cuchnącą skórą renifera. Zimą skurczyła się i pomarszczyła tak, że przypominała Renn pusty skórzany bukłak na wodę. Rzadko wychodziła na zewnątrz, poruszała się wtedy kołyszącym krokiem, a gdy klan przenosił obozowisko, nieśli ją na noszach. Renn zastanawiała się, co utrzymuje to skurczone serce przy życiu i jak długo jeszcze będzie biło. W oddechu Saeunn już pojawiła się nuta zapachu cmentarzyska klanu Kruka. Próbuje jej nie budzić, Renn zabrała swoje rzeczy i wciskała zapasy do toreb z żołądka tura. Pieczone orzechy laskowe, wędzone w dymie końskie mięso, mąkę z utłuczonego korzenia srebrnika; suszone czerwone jagody leśne dla Wilka. Coś poruszyło się pod skórą łosia.

Renn czuła, że serce podchodzi jej do gardła.

Spod futra wynurzyła się usiana brązowymi plamami dłoń starej kobiety, a jej świdrujące oczka wbiły się w twarz Renn.

–A więc – powiedziała Saeunn głosem przypominającym szelest wyschłych liści – wyjeżdżasz. Pewnie wiesz, dokąd on poszedł.

–Nie – odparła Renn. Saeunn zawsze potrafiła uderzyć swoim szponem w najczulsze miejsce.

–Ale Las jest olbrzymi... Pewnie próbowałaś zobaczyć, dokąd uciekł.

Stara kobieta miała na myśli magię. Renn czuła, że dłonie same zaciskają się jej na skórzanym worku.

–Nie – mruknęła.

–Dlaczego?

–Nie mogłabym.

–Ale przecież potrafisz.

–Nie, nie umiem. – Poczula nagle, że zbiera jej się na płacz. – Mam niby widzieć przyszłość – powiedziała gorzko – ale nie byłam w stanie przepowiedzieć jego śmierci. Po co być szamanką, jeżeli nie potrafi się przewidzieć takich rzeczy?

–Być może znasz się na rytuałach magicznych – mówiła chropawym głosem Saeunn – ale szamanką jeszcze nie jesteś.

Renn zamruwała powiekami.

–Będiesz wiedziała, kiedy staniesz się szamanką. Chociaż może to twój język będzie wiedział wcześniej.

Zagadki – pomyślała z goryczą Renn. – Dlaczego zawsze mówi zagadkami?

–Tak, zagadki – powiedziała Saeunn, wyduszając z siebie powietrze tak, że niemalże przypominało to śmiech. – Zagadki, które musisz rozwiązywać! – Przerwała, żeby złapać oddech. – Rzucałam kości.

W wejściu pojawił się Torak i posłał Renn niecierpliwe spojrzenie. Uciszyła go gestem dłoni.

–Co zobaczyłaś? – spytała Czarownicę.

Saeunn oblizwała bezzębne dziąsła językiem szarym jak glina.

–Szkarłatne drzewo. Myśliwego o włosach koloru popiołu, który płonął w środku. Demony. Drapiące pod gorącymi kamieniami.

–Widziałaś, dokąd poszedł Thiazzi? – wtrącił się obcesowo Torak.

–Tak... Widziałam.

Obok Toraka pojawił się Fin-Kedinn. Miał ponury wyraz twarzy.

–Idzie w kierunku Głębokiego Lasu.

–Głęboki Las – powtórzyła jak echo Saeunn.

–Tak...

–Pojawiła się właśnie grupka z klanu Niedźwiedzia – powiedział Fin-Kedinn. – Szli wzdłuż Szerokiej Rzeki. Przy brodzie widzieli wielkiego mężczyznę w dłubance, płynącego w górę Czarnej Wody. Torak skinął głową.

–On jest z klanu Dębu, a to w Głębokim Lesie. Oczywiście, właśnie tam pójdzie.

–Weźmiemy dwie łodzie. Powiedziałem wszystkim w klanie, że mają tu poczekać, podczas gdy my ruszymy w górę rzeki.

- My? - spytał Torak ostrym tonem.

–Idę z tobą – rzucił Fin-Kedinn.

–Ja też – dorzuciła Renn, ale nikt jej nie słuchał.

–Dlaczego? – spytał Torak Fin-Kedinna. Z bólem w sercu, Renn zdała sobie sprawę, że Torak ich nie potrzebuje. Chciał to załatwić sam, bez niczyjej pomocy.

–Znam Głęboki Las – rzekł Fin-Kedinn. – Ty go nie znasz.

–Nie! – w głosie Saeunn coś zapłonęło. – Fin-Kedin-nie, nie wolno ci tam iść!

Patrzyli na nią szeroko otwartymi oczami.

–Jeszcze jedno powiedziały mi kości, ale to jest *pewne*. Fin-Kedinnie, nie dotrzesz do Głębokiego Lasu.

Renn czuła, że coś ściska jej serce.

–W takim razie... pójdziemy bez niego. Tylko Torak i ja.

Na twarzy wuja pojawił się jednak wyraz, który dobrze знаła – mówiący, że nie ma sensu się z nim spierać.

–Nie – powiedział przerażająco spokojnie. – Nie poradzicie sobie beze mnie.

–Damy radę – upierała się. Fin-Kedinn westchnął głęboko.

–Wiecie, że klany Tura i Leśnego Konia kłócą się między sobą i spierają od zeszłego lata. Nie wpuszczą nikogo obcego. A mnie znają.

–Nie! – wykrzyknęła Renn. – Saeunn mówi poważnie. Ona się nigdy nie myli.

Czarownica klanu Kruka pokręciła głową i raz jeszcze westchnęła.

–Fin-Kedinnie...

–Toraku, powiedz mu! – błagała Renn. – Powiedz mu, że damy sobie radę bez niego.

Torak tylko podniósł z ziemi torbę z zapasami żywności i unikał jej spojrzenia.

–Chodźcie – mruknął. – Tracimy czas. Fin-Kedinn wziął drugą torbę z jej rąk.

–Ruszajmy – powiedział.

Rozdział 5

Wilk pędził śladem zapachu. Wokół niego Las budził się z długiego snu. Zwierzyny łownej próbującej wskrobać pożywienie spod zamarzniętych kamieni i śniegu było mało. Przestraszył łosia gryzącego soczystą korę sykomory. Stado saren i jeleni wyczuło, że Wilk nie poluje, uniosły głowę i patrzyły, jak przebiega.

Nienawistny zapach drażnił jego nos. Wiele Światła i Ciemności temu zły bezogon zamknął go w pułapce małej kamiennej Jamy i związał mu pysk tak, że Wilk nie mógł wyć. Zły bezogon głodził go i deptał mu po ogonie, a kiedy Wilk piszczął z bólu, bezogon się śmiał. Później zaatakował wilczego brata. Wilk skoczył wtedy na złego bezogona, zaciskając szczęki na włochatej przedniej łapie, miażdżąc kości i soczyste mięso.

Wilk biegł coraz szybciej. Nie wiedział, dlaczego goni Ugryzionego – wilki nie polują na bezogony, nawet na te złe – ale wiedział, że nie wolno mu stracić tego śladu.

Zapach był coraz silniejszy, gęstniał. Poprzez głosy wiatru, brzozy i ptaków Wilk słyszał bezogona mieszającego Wilgoć kijem. Wyczuł po zapachu, że bezogon nie ma psa.

I wtedy go zobaczył.

Ugryziony ślizgał się w górę Mokrego w pniu dębu. Wilk zobaczył odbłask światła w wielkim kamiennym szponie wiszącym u boku bezogona. Czuł zapach żywicy sosnowej i skóry renifera oraz dziwnej, strasznej Jasnej-Bestii-która-Kąsa-Chłodem.

Strach chwycił Wilka za szczęki. Ugryziony siedział bez lęku, delektując się swoją mocą. Był bardzo, bardzo silny. Nawet Jasna-Bestia-która-Kąsa-Gorąco nie śmiała go zaatakować. Wilk to wiedział, bo widział, jak ten bezogon wsadza przednią łapę prosto w pysk bestii – i wyciąga ją nienaruszoną.

Gdzieś z daleka, z odległości wielu wilczych skoków, usłyszał wysoki dźwięk ptasiej kości, którą zazwyczaj przyzywał go Wysoki Bezogon i jego wilcza siostra.

Wilk nie wiedział, co robić. Tęsknił za nimi, chciał tam biec, ale to oznaczało, że

musi zawrócić.

Znów usłyszał odgłos ptasiej kości. Ugryziony ciągle ślizgał się w górę Mokrego. Wilk nie wiedział, co robić.

–Pozwoliłeś mu uciec! – krzyczał Torak. Z wściekłości zapomniał, by mówić do niego w wilczym języku. – Był tu, a ty mu pozwoliłeś uciec!

Wilk podkulił ogon i skoczył za Fin-Kedinna, który klęczał, budząc ogień.

–Toraku, przestań! – krzyknęła Renn.

–Ale on był tak blisko!

–Wiem, ale to nie jego wina. To przeze mnie! Torak odwrócił się do niej.

–To ja przywołałam Wilka – powiedziała mu. – To moja wina, że Thiazzi nam uciekł.
– Otworzyła zaciśniętą dłoń i Torak zobaczył maleńki gwizdek z kości pardwy, który dał jej dwie wiosny temu.

- *Dlaczego?* – spytał ją.

–Bałam się o niego. A ty... wydawało mi się, że nic cię to nie obchodzi.

To jeszcze bardziej go rozwścieczyło.

–Oczywiście, że mnie obchodzi. Jak mógłbym się nie martwić o Wilka?

Stojący za Fin-Kedinnem Wilk opuścił uszy i niepewnie machał ogonem. Toraka dręczyły wyrzuty sumienia. Co mu się stało?

Wilk wpadł do obozowiska pełen radości, z dumą opowiadając Torakowi, że odpuścił śledzenie Ugryzionego, jak tylko usłyszał ich wołanie. Zdumiało go, że Torak stracił panowanie nad sobą. Nie miał pojęcia, co zrobił źle.

Torak opadł na kolana i pomrukiwał. Wilk podbiegł do niego. Chłopak zanurzył twarz w wilczej sierści. *Przepraszam.* Wilk polizał go w ucho. *Wiem.*

–Co się ze mną dzieje? – mruczał Torak.

Fin-Kedinn, który zignorował jego napad, kazał mu iść po wodę. Renn jedynie patrzyła gniewnie.

Torak chwycił bukłak i pobiegł w kierunku płycizny.

Przez następną noc i ranek szli w górę Rzeki Łosi, przystając tylko na krótko, i teraz

byli niedaleko wodogrzmotów, gdzie Szeroka Woda i Czarna Woda zlewały się z hukiem. Dwa razy spotkali łowców, którzy widzieli olbrzymiego mężczyznę płynącego w górę nurtu.

On ucieka – pomyślał Torak. Usiadł bez sił na zwałonym pniu drzewa i patrzył niechętnie na rzekę.

Był mglisty, pochmurny dzień i Las nie mógł dojść sam z sobą do ładu. Porzucony łoś beczał żałośnie. Po drugiej stronie rzeki, w wyschniętym tataraku, dwa zajęce waliły w siebie przednimi łapami.

Torak poczuł zapach dymu z ogniska i usłyszał zachęcające skwierczenie smażonych podpłomyków. Był głodny, ale nie potrafił usiąść z pozostałymi. Czuł się od nich odcięty, jak gdyby stał za niewidzialną ścianą – nie mógł jej dostrzec, ale była twarda jak zimowy lód. Dręczyła go przepowiednia Saeunn dotycząca przybranego ojca. Jeżeli Renn ma rację i Thiazzi zastawia pułapkę? Co, jeżeli on, Torak, prowadzi Fin-Kedinna na śmierć?

A jednak nie miał wyboru i musiał iść dalej.

Wilk przybiegł wzdłuż brzegu rzeki i upuścił u stóp Toraka kij jako prezent.

Torak podniósł go i obracał w palcach.

– Jesteś smutny – powiedział Wilk, unosząc jedno ucho. – Dlaczego?

– Biała Skóra, która pachnie rybim psem - powiedział Torak w wilczej mowie. – Bez Oddechu. Zabity przez Ugryzionego.

Wilk ocierał się bokiem o ramię Toraka, który oparł się o niego, czując spokojne, futrzaste ciepło.

- Polujesz na Ugryzionego – powiedział Wilk.

- Tak – odparł Torak.

- Bo jest zły?

–Bo zabił mojego wilczego brata.

Wilk przypatrywał się ważkom muskającym powierzchnię wody.

- A kiedy Ugryziony będzie Bez Oddechu, czy Biała Skóra znów zacznie oddychać?

- Nie – odparł Torak.

Wilk przechylił głowę na bok i patrzył na Toraka zdziwiony, swoimi bursztynowymi oczami.

- *W takim razie... Dlaczego?*

–Bo – Torak chciał mu powiedzieć – muszę pomścić Bale’a. – Ale nie wiedział, jak to wyrazić w wilczej mowie. A nawet gdyby potrafił, Wilk chyba i tak by nie zrozumiał. Może wilki nie szukają zemsty.

Siedzieli obok siebie, patrząc, jak owady na cienkich nóżkach biegają po powierzchni wody. Torak dostrzegł błysk łososa i sięgnął wzrokiem głębiej.

Zawsze wiedział, że między nim a Wilkiem są spore różnice, ale Wilk nie potrafił tego pojąć. Czasem Wilk był zdezorientowany i zły, zwłaszcza wtedy, kiedy Torak nie potrafił zrobić czegoś, co z łatwością przychodzi prawdziwemu wilkowi. Myśl o tym napawała Toraka smutkiem i niepewnością.

Odwrócił się i zobaczył, że Wilka nie ma. Niebo zaciągnęło się chmurami. Ktoś stał w tataraku po drugiej stronie rzeki i patrzył prosto na niego.

To był Bale.

Woda spływała bez szmeru po jego ubraniu. W długich włosach miał wodorosty. Twarz Bale’a przybrała kolor zielony, podwodny, oczy miał ciemne, jak ślady po uderzeniach. Był zły. Oskarżał.

Torak próbował krzyknąć. Nie mógł. Język przykleił mu się do podniebienia.

Bale uniósł ociekające wodą ramię i wskazał na niego. Torak zobaczył ruch ust. Nie wydobył się z nich żaden dźwięk, ale znaczenie było jasne. *Twoja wina.*

– Toraku?

Mara zniknęła. Torak odwrócił się gwałtownie.

–Wołałam cię! – powiedziała stojąca za nim Renn, która wyglądała na zagniewaną. Bale’a nie było. Po drugiej stronie rzeki wyschnięte pałki tataraku skrzypiały cicho na wietrze.

–Co się dzieje? – spytała Renn.

–N... Nic – powiedział łamiącym się głosem.

- *Nid* Twarz masz szarą jak popiół.

Pokręcił głową. Nie potrafił się zmusić, żeby jej o tym powiedzieć.

Wzruszyła ramionami, wyraźnie urażona.

–Masz, zostawiłam dla ciebie podplomyk. – Podała mu jedzenie, które wcześniej zawinęła w liść, żeby nie wystygło. – Możesz jeść po drodze.

Siedząca w kajaku Renn patrzyła na Wilka biegnącego między drzewami – raz po raz unosił pysk, żeby zwęszyć trop, a potem buszował w zaroślach.

Zbyt wiele razy znajdował miejsca, w których Czarownik Dębu zatrzymywał się, żeby coś zjeść albo rozbić obóz.

Wydawało się, że Thiazzi wcale się nie spieszy do Głębokiego Lasu i to właśnie niepokoiło Renn, chociaż nie wspominała o tym pozostałym. Fin-Kedinn był wiecznie zajęty, a Torak...

Żałowała, że z nią nie porozmawiał. Siedział z przodu, wyprostowany, w ogóle się nie odwracał, przeszukiwał wzrokiem brzegi rzeki, próbując dostrzec ślady Thiazziego.

Ze złością cięła wiosłem wodę. Nic go nie obchodziło prócz tego, żeby znaleźć Czarownika Dębu. Nie obchodziło go nawet to, że Fin-Kedinn jest w niebezpieczeństwie.

Kiedy dotarli do wodospadu i wyszli na brzeg, żeby przenieść kajak w dolny bieg rzeki, Wilk biegał już tam i z powrotem przy brzegu Czarnej Wody.

–Jak daleko jeszcze do Głębokiego Lasu? – spytał Torak, kiedy stawiali na wodę drugi kajak.

–Dzień – powiedział przywódca klanu Kruków.

–Może więcej.

Torak zacisnął zęby.

–Jeżeli tam dotrze, nigdy go nie znajdziemy.

–Kto wie – odparł Fin-Kedinn. – Nie spieszy mu się.

–Szkoda, że nie wiemy dlaczego – wtrąciła się Renn.

–Może to rzeczywiście jest pułapka. A nawet jeśli nie, wkrótce będzie wiedział, że na niego polujemy.

Fin-Kedinn skinął głową, ale nie odpowiedział. Cały dzień był myślami gdzie indziej, nie dało się z nim nawiązać kontaktu. Od czasu do czasu mrużył oczy, jak gdyby

Czarna Woda wzbudzała w nim wspomnienia, które ranią zbyt głęboko.

To też nie podobało się Renn. Nie знаła tej rzeki, bo Fin-Kedinn nigdy nie prowadził klanu Kruka na obozowiska przy jej brzegach, ale pomyślała sobie, że ktoś ją nazwał odpowiednio. Rzeka była ocieniona zwisającymi ku wodzie drzewami i tak zamulona i mroczna, że nie dało się dojrzeć dna. Kiedy Renn wychyliła się za burtę, poczuła kwaśny zapach gnijących liści.

Gdy znowu zwodowali swoje kajaki, uparła się, że będzie siedziała z przodu. Miała serdecznie dosyć wpatrywania się w plecy Toraka i zastanawiania się nad tym, co mu się roi w głowie. Z pewnością rozmyślał o tym, jak znaleźć Thiazzię. Chociaż – zastanawiała się – co zrobi, kiedy go znajdzie? Prawa klanowe zabraniały zabijania człowieka bez ostrzeżenia, więc będzie musiał wyzwać Czarownika Dębu na pojedynek. Aż wzdrygnęła się na tę myśl. Torak był silny i dobrze się bił, ale nie miał nawet piętnastu lat. Jak może wyzwać do walki najsilniejszego mężczyznę w Lesie?

–Renn? – odezwał się tak niespodziewanie, że aż podskoczyła.

Odwróciła się, żeby na niego spojrzeć.

–Kiedy ktoś śpi, czy da się rozpoznać, że śni? To znaczy, czy można to stwierdzić, przyglądając się komuś śpiącemu?

Patrzyła na niego. Miał zaciśnięte usta i unikał jej spojrzenia.

–Jeżeli śniesz – odparła – oczy ci się poruszają. Tak mówi Saeunn. Skinął głową.

–Jeżeli zobaczysz, że śnię, zbudzisz mnie?

–Dlaczego, Toraku? Co zobaczyłeś?

Potrząsnął głową. Był jak wilk – jeżeli sam nie chciał czegoś zrobić, nikt nie mógł go do tego zmusić.

Jednak Renn podjęła próbę.

–O co chodzi? Dlaczego nie możesz mi powiedzieć? Otworzył usta i przez chwilę miała nadzieję, że wszystko jej powie. Ale nagle rozszerzył oczy, chwycił ją za kaptur i pociągnął w dół z taką siłą, że uderzyła głową o burtę kajaka.

–Aua! – krzyknęła. – Co ty...

–Fin-Kedinnie, pochyl się! – krzyknął w tym samym momencie Torak.

Kiedy Renn próbowała się wyprostować, coś świsnęło nad jej głową. Widziała, jak Fin-Kedinn sięga po nóż i to coś przecina – ujrzała Wilka, który głośno szczeknął i

podskoczył do góry, jak gdyby go ugryzł trzmiel. Zobaczyła linę cienką jak nić babiego lata, która pękła i teraz niegroźnie płynęła po powierzchni wody.

Zapadła cisza. Renn usiadła i masowała czoło. Torak posterował kajakiem na środek nurtu i złapał koniec liny.

–Była naciągnięta jak cięciwa łuku – powiedział.

Nic więcej nie musiał mówić. Kajak pędzący w kierunku mocnej linki zrobionej ze ściągna, rozciągniętej pomiędzy drzewami po obu stronach rzeki. Na wysokości głowy.

Renn uniosła dłoń do szyi. Gdyby Torak nie pociągnął jej w dół, lina przecięłaby gardło.

–On wie, że na niego polujemy – powiedział Fin-Kedinn, podpływając do nich swoim kajakiem.

–Ale... Może nie wie, że poluje na niego Torak – odparła Renn.

–Skąd ta myśl? – spytał Torak.

–Gdyby wiedział, że to ty – odparła – czy ryzykowałby, że zginiesz? Przecież chce twojej mocy.

–Może tak, a może nie – odparł Fin-Kedinn. – Thiazzi jest arogancki. Przede wszystkim wierzy we własną siłę. I ma opal ognia. Może wcale nie uważa, by potrzebna mu była siła chodzącego z duchami. Wszystko mu jedno, kogo zabije.

Rozdział 6

Ściągnęto wciągnęło się w przednią łapę Wilka. Prawie nie krwawiła i Wilka nic nie bolało, ale Torak uparł się, by wetrzeć w skaleczenie sok ze zgniecionych liści babki pomieszany ze szpikiem. Kazał Renn wyjąć wszystko ze swojego woreczka z lekami.

–On to zaraz zliże – powiedziała, a Wilk natychmiast tak zrobił.

Toraka nic to nie obchodziło. Uspokoił trochę wyrzuty sumienia, chociaż nie zrobił dla Wilka zbyt wiele.

Jeszcze chwila i nie zauważyłby tej cienkiej linki. A gdyby tak było i Renn albo Fin-Kedinn ucierpieliby przez jego błąd? Poczł, że wszystko mu się przewraca w żołądku. Wystarczy jedna pomyłka, jedna, jedyna, a później trzeba będzie ponosić jej konsekwencje przez resztę życia.

Przykucnąwszy na brzegu rzeki, odgarniał z powierzchni wody zieloną rzęsę i mył

ręce.

Rzucił okiem na Fin-Kedinna, który patrzył na niego z góry. Byli sami. Wilk pił wodę na płyciźnie, a Renn siedziała już w kajaku.

Fin-Kedinn wylał zawartość bukłaka z wodą na ręce Toraka.

–Nie martw się o mnie – powiedział.

–Ale nie potrafię – powiedział Torak. – Saeunn mówiła wszystko bardzo poważnie.

Przywódca klanu Kruka wzruszył ramionami.

–Omeny. Nie można żyć, myśląc o tym, co *mogłoby* się zdarzyć. – Zarzucił bukłak na ramię. – Chodźmy.

Płynęli za Wilkiem w górę Czarnej Rzeki jeszcze długo w noc, później spali pod przewróconymi kajakami, by wyruszyć znów przed świtem. W miarę jak zbliżało się popołudnie, Las zamykał się nad ich głowami. Nigdy niezasypiające świerki rosły jak cokół wzdłuż brzegu rzeki, z ich gałęzi zwisał ku wodzie brodaty mech, nawet drzewa, na których jeszcze nie pojawiły się zalążki liści, były czujne. Na wietrze szeleściły dębowe liście z zeszłej jesieni, pączki jesionu świeciły jak maleńkie, czarne włócznie.

W końcu przed ich oczami pojawiły się wzgórza stanowiące granicę Głębokiego Lasu. Torak był tu już dwie wiosny temu, ale nigdy nie zapuścił się dalej na północ. Widzieli granitowe strome góry, pnące się ku niebu ściany szarej skały, połupanej i spękanej, jak gdyby po uderzeniach olbrzymiego topora. Od kamiennych ścian odbijały się krzyki czarnej pardwy i spadały ku wodzie jak kamienie.

Kiedy zaczęło się ściemniać, Wilk wskoczył do wody i przepłynął na drugą stronę. Wyszedł na północny brzeg, otrząsnął się dokładnie i już był z powrotem. Później zrobił pętlę, nawrócił i węszył w błocie.

Zatrzymali się na płyciźnie i Torak wyszedł z kajaka, żeby przyjrzeć się plątaninie tropów. Nic dziwnego, że Wilk był dezorientowany – śladów niemal nie dało się rozpoznać, jakby przed chwilą przebiegła tędy grupa rozjuszonych zwierząt.

–To nie tylko Thiazzi – powiedział Torak. – Widzicie ten ślad? Nie jest tak głęboki i ciężar ciała opiera się bardziej na wewnętrznej stronie stopy.

–Więc ktoś z nim był? – zapytała Renn. Torak żuł kciuk.

–Nie. Jego ślady są ciemniejsze. Widzę żuka, który wszedł na ten drugi ślad, ale to nie ślad Thiazzi. Ten, kto tu przyszedł, był w tym miejscu przed nim.

Wilk coś zwęszył. Zostawili kajaki i poszli za nim nad rozlewisko wycięte przez strumyk, który dopływał do Czarnej Wody.

Dwadzieścia kroków dalej Torak się zatrzymał. Odcisk stopy krzyczał do niego z błota. Jasny, wyraźny, szyderczy. *Jestem tu*. Thiazzi odciskał swój ślad, żeby wszyscy mogli go zobaczyć.

–Czarownik Dębu – powiedział Fin-Kedinn. Torak dowiedział się z tego śladu znacznie więcej. Jeden jedyny odcisk stopy może opowiedzieć całą historię, jeżeli wie się, jak ją odczytać. On wiedział. Kiedy wyruszyli z Wyspy Fok, bacznie przyglądał się śladom Thiazziego, aż nauczył się każdego ich szczegółu.

Znalazł jeszcze więcej. Dopływ rzeczki ujawnił wszystkie swoje tajemnice.

–Thiazzi zostawił dłubankę na płyciźnie – powiedział w końcu – a później się tu wspiął. Niósł coś ciężkiego na lewym ramieniu, może topór. Następnie wrócił po własnych śladach, wsiadł do dłubanki i odpłynął. – Zacisnął pięści. – Jest dobrze odżywiony i wypoczęty, ma świetne tempo. Nieźle się bawi.

–Ale dlaczego dobił akurat tutaj?

–Nie podoba mi się to – powiedział Fin-Kedinn. – Ta linka przeciągnięta przez rzekę... Wracajmy do łodzi.

–Nie – powiedział Torak. – Chcę wiedzieć, co tu robił.

Fin-Kedinn westchnął ciężko.

–Nie zapuszczaj się za daleko.

Niepewnie ruszyli przed siebie – na początku Torak, później Renn, pochod zamykał Fin-Kedinn.

Drzewa zrobiły się rzadsze, Torak wszedł między masywne, rzucone niby bezładnie głązy, a Wilk, stawiając lekko łapy, biegł naprzód. Ślad prowadził w prawo.

Skończyła się ściana drzew. Torak znalazł się na olbrzymim opuszczonym pagórku z nagiej skały. Sto kroków wyżej korona pagórka była osmalona, jakby przez pożar. Przed sobą widział chaos powalonych drzew, które zmiotła powódź, między nimi głązy, jak połamane zęby. Pod nimi Czarna Woda wiła się zakosami wzdłuż stóp kamiennego wzgórza i znikła między dwoma, strzelistymi jak wieże, skałami pochylonymi ku sobie pod dziwacznym kątem. Za tymi olbrzymimi kamiennymi szczękami wyrastały potężne dęby i postrzępione sosny Głębokiego Lasu.

Wilk nadstawił uszu. Hau! – szczechnął cicho. Torak spojrział tam, gdzie patrzył

przyjaciel. Pod wierzbami wiszącymi nad powierzchnią wody dostrzegł błysk wiosła.

Wilk ruszył pędem w dół zbocza. Torak pobiegł za nim, tracąc w pewnej chwili przyczepność, kiedy obsunął mu się pod stopą pień zwalonego drzewa.

–Toraku! – szepnęła Renn gdzieś za jego plecami.

–Zwolnij! – krzyknął ostrzegawczo Fin-Kedinn. Torak nie słuchał. Teraz nie może pozwolić, żeby zdobycz mu uciekła.

I nagle go zobaczył, zaledwie pięćdziesiąt kroków stąd, płynącego dłubanką – ciągnął długie, silne uderzenia wiosła po wodzie, udając się w kierunku Głębokiego Lasu.

Torak, nie mogąc złapać równowagi, biegł przed siebie. Potykał się o leżące pnie drzew, a jednocześnie wyciągał strzałę z kołczana i zakładał ją na cięciwę. Nie słyszał już ani Renn, ani Fin-Kedinna. Słyszał tylko uderzenia wiosła Thiazziiego o wodę, widział długie, zmierzwione włosy unoszące się na wietrze. Zapomniał o prawie klanowym, zapomniał o wszystkim. Pamiętał tylko o zemście.

Leżący na skale pień drzewa usunął mu się spod nóg. Coś pękło przy jego kostce. Uwolnił się kopnięciem. Usłyszał za sobą głośnie pęknięcie. Spojrzał w tył. Serce mu zamarło, kiedy ujrział linę pułapki przyczepioną do pnia, którego koniec był zaostrowany i pobrudzony błotem, żeby ukryć kolor świeżo ciosanego drewna.

Wzgórze zwalonych drzew ruszyło. *Ty głupcze. To kolejna pułapka.* Pnie drzew runęły na niego, a on krzyczał, żeby ostrzec pozostałych i skakał w kierunku najbliższego głazu, wciskając się w maleńkie zagłębienie za skałą; toczące się pnie drzew podskakiwały nad nim i uderzały w powierzchnię wody, rozbryzgując ją i burząc. Przycupnięty za głazem, Torak usłyszał głośny śmiech odbijający się od skał. Wyobraził sobie dłubankę Thiazziiego, przemykającą między olbrzymimi kamiennymi szczękami i znikającą w Głębokim Lesie.

I wtedy ruszyło całe wzgórze, a Fin-Kedinn krzyczał:

–Renn! Renn!

Rozdział 7

W uszach Toraka dźwięczała cisza. Gardło zatykał mu kurz.

–Renn? – zawołał.

Żadnej odpowiedzi.

–Fin-Kedinnie? Wilku?

Od skał odbił się dźwięk jego przerażonego głosu.

Przyciskała go plątanina gałęzek i młodych drzew, które spadły na głaz chroniący go przed śmiercią. Poczuli atak paniki. Był w pułapce. Walczył dziko, żeby się wydostać. Młode drzewka poddały się w końcu, a on wydobył się bezpiecznie na zewnątrz, łapczywie chwytając powietrze.

–Renn! – krzyczał. – Fin-Kedinnie! U szczytu wzgórza pojawił się Wilk i biegł ku niemu, a Torak słyszał uderzenia jego pazurów o skały. Torak nie musiał nic więcej mówić. Z nosami przy ziemi, obaj zaczęli szukać. Pnie drzew przesuwwały się, poddawały stopom i groźnie skrzypiały. Ktoś prosił jękliwym głosem:

–Nie, nie oni, proszę, tylko nie oni.

Po chwili Torak zdał sobie sprawę, że to jego własny głos.

Usłyszał furkot skrzydeł. Rek usiadła na gałęzi dziesięć kroków od nich. Wilk pobiegł do kruka i zaszczekał. Torak poszedł w tamtym kierunku chwiejnym krokiem.

Przez gałęzie zobaczył kosmyk ciemnorudych włosów.

–Renn?

Odrywał gałęzie, odciągał młode drzewka na bok. Wsadził ramię przez szczelinę i chwycił dziewczynę za bark.

Jęknęła.

–Wszystko w porządku?

Odkaszlnęła. Mruknęła pod nosem coś, co mogło oznaczać „tak”.

–Tu jest szczelina, a ja ją powiększę. Daj mi rękę, to cię wyciągnę.

***Cała Renn* – najpierw podała mu swój łuk, a później sama się stamtąd wyplątała. W oczach miała strach, ale oprócz zadrapań nic jej nie było.**

–Fin-Kedinn – powiedziała.

–Nie mogę go znaleźć. Krew odpłynęła jej z twarzy.

–Uratował mi życie. Odrzucił mnie na bok.

Wilk stał pod suchym świerkiem ze wzrokiem utkwionym między przednimi łapami.

Uszy miał nastawione. Spojrzał znacząco na swojego wilczego brata.

Świerk leżał na większym buku, a ten z kolei na innych świerkach. Pod nimi leżał Fin-Kedinn.

–Fin-Kedinn? – głos Renn był roztrzęsiony. – Fin-Kedinnie!

Przywódca klanu Kruka nie otwierał oczu.

Jak szaleni odrzucali gałęzie i odciągali pnie. Usłyszeli, że coś trzeszczy, i cały stos zwalonych pni się zatrzęsł. Nie odezwali się ani słowem, bo bali się kolejnego nieszczęścia.

Słońce już zaszło, a oni nie ustawiali w pracy. W końcu oczyścili drogę do buku. Drzewa nie dało się ruszyć z miejsca. Torak wcisnął pień młodego drzewka pod spód i pchnął z całej siły. Buk poruszył się nieznacznie.

–Musimy go stamtąd wyciągnąć – powiedziała Renn.

Wspólnymi siłami uwolnili Fin-Kedinna spod drzewa. Wciąż się nie ruszał. Renn przytknęła wewnętrzną część nadgarstka do jego ust, żeby sprawdzić, czy oddycha. Torak zobaczył, jak dziewczyna ciężko przelęka ślinę.

Na wpół go niosąc, na wpół ciągnąc, przetransportowali Fin-Kedinna w końcu na litą skałę, patrzącą na wschód w kierunku Głębokiego Lasu. Torak znalazł w niej wycięcie, które było na tyle duże, żeby ochronić ich od deszczu i wiatru, ale nie na tyle wysokie, żeby można było w nim stanąć.

Renn uklękła obok wuja. Usłyszeli nad sobą trzepot skrzydeł i krakanie Ripa i Rek. Wilk obwąchał skroń przywódcy klanu Kruka. Później zaczął wyć tak wysokim tonem, że Torak ledwo to słyszał. Wilk nie przestawał wyć.

Fin-Kedinn zamrugał powiekami.

–Gdzie jest Renn? – wyszeptał.

Biorąc na siebie ciężar innych drzew, buk uratował Fin-Kedinnowi życie, ale zmiążdżył mu lewą stronę klatki piersiowej.

Renn zabrała się do pracy. Zdjęła mu kurtkę i przecięła rzemienie kaftana. Starła się robić wszystko jak najdelikatniej, ale mimo to Fin-Kedinn omdlewał z bólu.

–Trzy żebra są złamane – powiedziała, naciskając delikatnie palcami.

Fin-Kedinn syknął. Oczy miał zamknięte, skórę spoconą i szarą. Oddychał płytko. Torak widział, że każdy oddech jest jak nóż wbijany między żebra.

–Będzie żył? – spytał Torak cichym głosem. Renn spojrzała na niego niechętnie.

–Krwawi wewnątrz? – szepnął.

–Nie wiem. Jeżeli będzie krwawił z ust... Wargi Fin-Kedinna wykrzywiły się w uśmiechu.

–Wtedy będzie po wszystkim. Saeunn miała rację. Nie dotrę do Głębokiego Lasu.

–Nic nie mów – przestrzegala Renn.

–Mówienie boli mniej niż oddychanie – odpowiedział. – Gdzie jesteśmy?

Torak opowiedział mu, dokąd dotarli. Fin-Kedinn jęknął.

–Tylko nie tutaj! Nie na tym wzgórzu!

–Nie możemy cię przenieść, nie dzisiaj – odparła Renn.

–To jest niedobre miejsce – mruknął Fin-Kedinn pod nosem. – Nawiedzane przez duchy. Złe.

–Żadnego więcej gadania! – ostrzegła go Renn, wycinając skórzane paski z obrzeża swojej kurtki, by wykorzystać je jako bandaż.

Wilk leżał obok niej, pysk trzymał między łapami. Rip i Rek chodziły sztywnym kruczym krokiem po skale. Torak patrzył, jak Fin-Kedinn obraca głowę na wszystkie strony. Nigdy w życiu nie czuł się tak bezradny.

Renn kazała mu nanieść drewna na ognisko i Torak ruszył pędem. Ręce mu się trzęsły i co chwila, upuszczał patyki. Pomyślał, że jeżeli to drzewo upadłoby pod nieco innym kątem, zmiażdżyłoby wujowi mostek i teraz nakładaliby mu na twarz Znaki Śmierci. *To byłaby moja wina, myślał. Mogłem nas wszystkich pozabijać.*

Z miejsca, gdzie stał, widział zbocze wzgórza biegnące ku Czarnej Wodzie. Wzdłuż rzeki wila się ścieżka wydeptana przez sarny i jelenie, która przechodziła obok kamiennych szczęk, znikając w Głębokim Lesie. Wyobraził sobie, jak Czarownik Dębu chowa się w jego cieniach. A był tak blisko.

Fin-Kedinn spał na półce skalnej płytkim, niezdrowym snem, zaś Renn klęczała, trzymając w rękach brzożową podpałkę, i z ponurą miną bezskutecznie próbowała wykrzesać iskrę i rozpalić ogień.

–W takim razie ruszaj – rzuciła, nie patrząc na niego.

–Co chcesz przez to powiedzieć? – spytał Torak.

–Ruszaj za nim. Przecież tego chcesz. Popatrzyl na nią przeciągle.

–Nie zostawię was.

–Ale jednak chcesz. Torak się wzdrygnął.

–Miną całe dni, zanim Fin-Kedinn będzie w stanie wrócić do klanu – powiedziała, nadal bezskutecznie krzesząc ogień. – A Thiazzi wciąż ucieka. O tym myślisz, prawda?

–Renn...

–Od początku nie chciałeś, żebyśmy z tobą poszli! – wybuchła. – To teraz masz szansę, żeby się nas pozbyć.

–Renn!

Stali naprzeciw siebie bladzi i roztrzęsieni.

–Nie zostawię was – powiedział Torak. – Rano sprowadzę kajaki. Później zastanowimy się, co robić.

Renn wściekle uderzyła kamieniem o krzesiwo. Usta jej się trzęsły, kiedy rozdmuchiwała ogień.

Torak ukląkł i pomógł jej ożywić ogień podpałką, a później patyczkami. Kiedy płomień był już dość mocny, wziął ją za rękę, a ona ścisnęła go tak mocno, że aż zabolalo.

–On nas pokonał – powiedziała.

–Tylko na razie – odparł Torak.

Noc gęstniała, a niebo srebrzyło się od księżycowej poświaty. Renn powiedziała, że powinni z tego czerpać pocieszenie i siłę – księżyc będzie rósł i potężniał, podobnie jak Fin-Kedinn. Torak pomyślał, że bardzo się stara samą siebie o czymś przekonać.

Kiedy Renn zajmowała się Fin-Kedinnem, on przyniósł wszystkie rzeczy z kajaka i za pomocą gałęzi zmienił półkę skalną w prymitywny szałas, zostawiając u góry otwór na dym. Znalazł kępę żywokostu przy brzegu rzeki. Renn rozbijała korzeń na miazgę, podczas gdy Torak parzył w prowizorycznym naczyniu z brzozonej kory przywracający siły napar z liści. Wspólnie bandażowali żebra Fin-Kedinna. Bandaże musiały być zaciśnięte mocno, w przeciwnym razie złamane żebra się nie zrosną. Kiedy skończyli, wszyscy troje byli spoceni i bladzi. Później Renn ożywiła ognisko gałązkami jałowca i wachlowała dym do środka, żeby odpędzić robactwo choroby.

Torak wetknął pasek suszonego końskiego mięsa w szczelinę głazu, żeby podziękować Lasowi za to, że pozwolił żyć jego przybranemu ojcu. Później, jako że oboje byli wygłodniali, podzielili się resztą mięsa. Fin-Kedinn nie chciał jeść.

Księżyc zaszedł, a wuj był coraz bardziej niespokojny.

–Nie pozwólcie zgasnąć ognisku – mruczał. – Renn, Renn. Narysuj linię mocy wokół szałas.

Renn spojrzała na Toraka zaniepokojona. Jeżeli majaczy, to zły znak.

Torak zauważył, że kruki nie wymościły sobie miejsca na noc, ale niespokojnie przeskakiwały z kamienia na kamień, podczas gdy Wilk leżał z pyskiem wystawionym przed wejściem do szałas, wpatrując się w ciemność rozciągającą się poza światłem ogniska. Torak miał wrażenie, że zwierzęta czuwają, jakby wystawiły wartę.

Renn wyjęła woreczek z lekami i poszła narysować linię.

–Nie idź za daleko – ostrzegł ją Fin-Kedinn. Torak dołożył do ogniska.

–Mówiłeś, że to złe miejsce. Co to znaczy? Fin-Kedinn patrzył w płomienie.

–Teraz nic tu nie rośnie. Nic, od czasu kiedy demony zostały wepchnięte z powrotem w skały. – Przerwał. – Ale są blisko, Toraku. Chcą się wydostać na zewnątrz.

Chłopak zanurzył kępkę mchu w wodzie i otarł rozpalone gorączką czoło przybranego ojca. Renn byłaby zła, gdyby wiedziała, że pozwolił Fin-Kedinnowi mówić, ale Torak musiał wiedzieć.

–Opowiedz mi o tym – powiedział. Fin-Kedinn zaczął kaszleć, a Torak przytrzymał go za ramiona. Kiedy skończył się kaszel, skóra wokół oczu przywódcy klanu Kruka zrobiła się bladą.

–Wiele wiosen temu – zaczął – na tym wzgórzu było gęsto od drzew. Rosły tu brzozy i jałowce w szczelinach między skałami. Nie wypuszczały demonów na zewnątrz. – Przesunął się lekko i zmarszczył twarz. – Noc duchów. To dawno minęło. Potem zjawili się ludzie, żeby je wypuścić.

Renn wróciła i uklękła u jego boku.

–Ale demony nie potrafiły się wydostać, prawda? – spytała. – Czuję je pod skałami, są bardzo blisko.

–Zatrzymał je pewien człowiek – powiedział Fin-Kedinn. – Podpalił drzewa na

wzgórzu. Wygnał demony z powrotem pod skały. Ale ogień wymknął się spod kontroli – Fin-Kedinn oblizał wargi. – To było straszne... Ogień potrafi skoczyć na drzewo szybciej niż ryś, a kiedy skoczy – kiedy dostanie się na gałęzie – wędruje tam, gdzie mu się żywnie podoba. Nie uwierzylibyście, jak szybko. Ogień pożarł całą dolinę.

Torak zaczął się bać.

–Czy ktoś ucierpiał? Fin-Kedinn skinął głową.

–Ludzie w pułapce. Straszliwe poparzenia. Jedna osoba zginęła. – Wykrzywił twarz, jak gdyby poczuł zapach przypalonej skóry.

Torak wyjrzał w ciemność.

–Co to za miejsce? – spytał szeptem.

–Nie wiesz? – rzucił Fin-Kedinn. Torak poczuł gęsią skórę na ramionach.

–Czy to właśnie tu...

–Tak. Tutaj twój ojciec rozbił na części opał ognia. Tutaj rozproszył moc i siłę Pożeraczy Dusz.

Gdzieś w Lesie, w ciemnościach usłyszeli płacz lisicy. Z oddali dochodziło pohukiwanie sowy. Torak i Renn spojrzeli na siebie. To był puchacz.

–Kiedy rysowałam linię mocy, poczułam czyjąś obecność. Nie tylko demonów, czegoś innego, zagubionego. Szukającego.

–Tu są duchy – powiedział Fin-Kedinn. – Duch tego, który zginął.

W ciemnych oczach Renn rozblił się płomień.

–Siódmego Pożeracza Dusz. Przywódca klanu Kruka nie odpowiedział. Rozpalony do czerwoności węgielek w ognisku pękł, buchając fontanną iskier. Torak aż podskoczył.

–Byłeś tu tamtej nocy? – spytał.

–Nie – twarz Fin-Kedinna wykrzywił ból. Torak miał wrażenie, że to nie z powodu połamanych żeber.

–Po wielkim pożarze – Fin-Kedinn mówił dalej – twoja matka i ojciec mnie szukali. Błagali, żebym pomógł im się stąd wyrwać.

Renn położyła mu rękę na ramieniu.

–Musisz odpocząć. Już nic więcej nie mów.

–Nie! Muszę o tym powiedzieć!

Mówił zadziwiająco dobitnie, nie spuszczał rozpalonych błękitnych oczu z oczu Toraka.

–Byłem wściekły. Chciałem się na nim zemścić za... Za to, że zabrał mi twoją matkę. Odtrąciłem ich.

Torak usłyszał postukiwanie szponów kruka na skale. Spojrzał w twarz przybranego ojca i chciał, żeby to nie była prawda, ale wiedział, że tak było.

–Następnego dnia – ciągnął Fin-Kedinn – uległem. Ruszyłem, żeby ich odnaleźć. Uciekli do Głębokiego Lasu. – Zamknął oczy. – Już ich więcej nie widziałem. Gdybym im wtedy pomógł, ona mogłaby dzisiaj żyć.

Torak dotknął jego dłoni.

–Nie mogłeś przewidzieć, co się stanie. Uśmiech na twarzy przywódcy klanu Kruka był pełen gorzkości.

–Wmawiasz sobie. I co, pomaga?

Wilk skoczył z gardłowym warknięciem i ruszył za zwierzyną, którą tylko on wyczuł. Węgielek potoczył się daleko od ogniska. Torak butem zawrócił go do ognia. Nagle wydało mu się, że światło to bardzo krucha tarcza przed ciemnością.

–Niech się pali jasnym płomieniem – powiedział Fin-Kedinn. – I nie zasypiajcie. Demony. Duchy. Wiedzą, że tu jesteśmy.

Wybraniec patrzy na śpiących niedowiarków i czuje głód ukarania ich, głód uwolnienia ognia.

Dziewczyna, która roznieciła ogień, zrobiła to nieodpowiednio i bez szacunku. Jest niedowiarkiem. Nie idzie Ścieżką Prawdy.

Chłopiec wrzucił do ogniska gałąź i kopnął ją. On również zszedł z Drogi.

Mistrz o wszystkim się dowie. Mistrz czci ogień, a ogień czci jego. Mistrz ukarze niedowiarków.

Ogień jest uświęcony. Trzeba mu oddawać cześć, bo jest samą czystością i prawdą. Wybraniec kocha ogień za jego straszliwy blask i za głód Lasu, za jego okropne

pieszczoły. Wybraniec tęskni, by stać się jednością z ogniem.

Wiatr się zmienia i Wybraniec przesuwa się, by przykucnąć w oddechu ognia, by pić z jego uświęconej goryczy. Dłoń Wybrańca sięga po popiół. Popiół jest gorzki na języku, ciąży na żołądku. Jest mocą i prawdą.

Ranny mężczyzna jęczy, śniąc boleśnie. Sen chłopca również jest niespokojny, ale dziewczyna śpi jak zabita. Czuwają nad nimi wilk i kruk, podczas gdy ogień przygasa, bo nikt na niego nie zwraca uwagi. Nikt nie oddaje mu czci.

Gniew rozpała się w piersiach Wybrańca. Niedowiarkowie są źli. Należy ich ukarać.

Rozdział 8

Torak obudził się przed świtem. Ogień przygasał. Oboje spali – Renn leżała na boku, z jednym ramieniem wyciągniętym, a Fin-Kedinn marszczył czoło, jak gdyby nawet przez sen, odczuwał ból. Oboje wyglądali niepokojąco bezbrannie.

Torak bezgłośnie wysunął się ze śpiwora i wyczołgał z szałas.

Gdzieś niżej, na zboczu góry, rosomak podniósł się na tylnych nogach i węszył, a po chwili pobiegł przed siebie. Torak wiedział już, że Wilk musiał ruszyć na polowanie. Gdyby był blisko, rosomak trzymałby się z dala. Z niepokojem pomyślał, co jeszcze mogło podczołgać się tak blisko.

Niżej, pod stromizną, dolina Czarnej Wody pławiła się we mgle. Las rozbrzmiewał ptasimi głosami, ale kruków nie było.

Na wzgórzu nie widział niczego prócz gołej skały. Wspiął się aż na szczyt góry i znów nic. Tylko pradawny kikut drzewa na zachodnim zboczu, którego korzenie wciąż wpijały się w szczeliny skały nawiedzanej przez demony. Pomyślał o swoim ojcu, który zapoczątkował wydarzenia, które z kolei jego tu przywiodły. Ze zdziwieniem zdał sobie sprawę, że ledwo pamięta jego twarz.

Kiedy światło poranka powoli wypełzało na niebo, Torak ujrzał delikatny odcisk stóp na mokrej skale. Wyciągnął nóż i szedł za śladem do przewieszki nad półką skalną. Niedaleko jej skraju znalazł maleńki stożek delikatnego szarego popiołu. Zmarszczył brwi. Ktoś wysypał popiół ostrożnie, jakby na ofiarę. Ktoś, kto przyglądał im się nocą.

Kątem oka dostrzegł ruch we mgle przy brzegu rzeki. Serce mu się ścisnęło.

Ktoś stał nad rzeką i patrzył na niego. Twarz trudno było rozpoznać; włosy miał długie i białe. Uniósł ramię. Palec wskazywał na niego. Oskarżał.

Torak dotknął woreczka z lekami na biodrze i wyczuł palcami kształt zamkniętego tam i zaciśniętego rzemieniem rogu. Wsunął nóż do pochwy i ruszył z boczem. Odczuwał strach przed staniem twarzą w twarz z duchem Bale'a, ale może ten w końcu do niego przemówi. Może sam też powie Bale'owi, jak mu przykro.

Ptaki zamilkły. Po obu stronach ścieżki z liści szczywołu unosił się trujący biały opar.

Usłyszał kroki podążające w jego stronę.

Mężczyzna o przerażonych, dzikich oczach wyłonił się z mgły i wpadł na niego.

–Pomóż mi! – jęknął, chwytając Toraka za kurtkę i oglądając się przez ramię.

Zgięty pod jego ciężarem Torak wyczuł zapach krwi i strachu.

–Pomóż mi! – błagał mężczyzna. – Oni... Oni...

–Kto? – zapytał Torak.

–Głęboki Las! – Torak poczuł krople krwi na twarzy, kiedy mężczyzna machnął kikutem. – *Odcięli mi rękę!*

–Chyba oszaleliście, skoro chcecie tam iść – warknął mężczyzna, kiedy Renn skończyła obwiązywać kikut. Przestał się trząść, ale kiedy tylko trzasnął węgielek w ognisku, znów się wzdrygnął.

Powiedział, że ma na imię Gaup i jest z klanu Łososia. Miał kurtkę i spodnie z szarej, rybiej skóry obszytej wiewiórczym futrem, a na policzku łukowaty tatuaż swojego klanu. Na szyi nosił opaskę ze skóry łososia, poczerniałą od potu, a w jasne włosy wplótł paciorki z rybich kostek. Tym przypominał Torakowi Bale'a.

–I to ludzie z Głębokiego Lasu ci to zrobili? – spytał Fin-Kedinn. Siedział oparty o skałę, wyczerpany, oddychał przez zaciśnięte zęby.

–Przysięgali, że jeżeli jeszcze raz mnie tam zobaczą, utną mi głowę.

–Ale zrobili wszystko tak, żebyś przeżył – powiedziała Renn. – Przypalili ranę gorącymi kamieniami, żebyś nie wykrwawił się na śmierć.

–Więc mam im dziękować? – zripostował Gaup.

–A może byś podziękował Renn, że zaszyła ci kikut? – rzucił Torak.

Gaup patrzył na nich niechętnie. Torakowi również nie podziękował za pomoc, a przecież to on pomógł mu się wspiąć do szałas, dał coś do jedzenia i wodę. Nie przegapił odcisku popiołu na obcasie jego buta.

–Kiedy byłeś w Głębokim Lesie, czy widziałeś mężczyznę z dłubanką? Dużego, bardzo silnego? – zapytał.

–A co mnie to może obchodzić? – warknął Gaup. – Szukałem swojego dziecka! Dziewczynka miała cztery wiosny. Zabrali ją!

Torak spojrział na Renn. Przez głowy obojga przemknęła ta sama myśl. Pożeracze Dusz porywali dzieci, których ciała miały być gospodarzami dla demonów. Robili z nich tokorogi.

Fin-Kedinn przesunął się nieco. Torak widział, że jego myśli biegną jedna za drugą.

–Odcięcie ręki – powiedział – to kara jeszcze ze starych, złych czasów sprzed Wielkiej Fali. Klany dawno temu tego zabroniły. Kto ci to zrobił?

–Klan Tura.

- *Co takiego?* – przywódca Kruków nie wierzył własnym uszom.

–Sądziłem, że mi pomogą – powiedział Gaup. – Dali mi jedzenie. Powiedzieli, żebym odpoczął przy ognisku. Później powiedzieli, że jestem w zмовie z klanem Leśnego Konia. *Mnie* oskarżyli o kradzież jednego z *ich* dzieci.

Kolejne porwane dzieci – pomyślał Torak. Ucieczka Thiaziego do Głębokiego Lasu przeradzała się w coś zupełnie nowego.

–Mówili, że wszystko rozpętali ludzie z klanu Leśnego Konia – opowiadał dalej Gaup. – Że wetknęli w ziemię kij zakłęcz i twierdzili, że tereny między Czarną Wodą a Wietrzną Rzeką należą do nich. Klan Tura spalił kij zakłęcz. I wtedy Czarownik klanu Leśnego Konia zmarł na jakąś chorobę, a nowy Czarownik znalazł w ciele wbitą lotkę. Teraz wszystkie klany opowiadają się po czyjejś stronie. Każdy musi nosić opaskę na czole. Zieloną – popiera klany Tura i Rysia, brązową, jeżeli wspiera klany Leśnego Konia i Nietoperza. – Spojrzął podejrzliwie na opaskę ze skóry jelenia na głowie Toraka.

–A kiedy byłeś z ludźmi z klanu Tura – powiedział Torak – czy widziałeś wśród nich tego olbrzymiego mężczyznę?

–Dlaczego wciąż o to pytasz? – spytał Gaup. Niepewnie przesunął się w kierunku wyjścia z szałas.

–Straciłem już dość czasu. Idę po ludzi ze swojego klanu. *Zmusimy* ich, żeby oddali mi córkę!

–Gaup, poczekaj – rozkazał Fin-Kedinn. – Pójdziemy razem. Ty i ja.

Renn i Torak patrzyli na niego zdziwieni. Gaup też nie mógł oderwać od niego wzroku.

–Odnajdziemy twój klan – mówił dalej przywódca klanu Kruka. – Odnajdziemy mój klan. Odzyskamy twoją córkę, nie będzie więcej rozlewu krwi.

–Ale jak? – dziwił się Gaup. – Nie będą słuchać, nie są tacy jak my!

–Gaup – powtórzył Fin-Kedinn stanowczo. – Postąpimy właśnie tak.

Okaleczony opuścił ramiona. Nagle stał się tylko rannym mężczyzną, potrzebującym przywódcy, który podejmie za niego decyzję.

Później wszystko potoczyło się bardzo szybko. Torak poszedł po kajak i razem z Renn pomogli Fin-Kedinnowi zejść do rzeki. Renn ułożyła go jak najwygodniej się dało, dała mu witki wierzbowe do żucia na gorączkę i orzechy laskowe, żeby nie tracił sił. Torak widział, że jest chora z niepokoju.

–Jak sobie poradzicie? – spytała wuja, upewniwszy się, że Gaup jej nie słyszy.

–Płyniemy w dół rzeki – powiedział Fin-Kedinn. – Prąd nas będzie popychał.

–A jeżeli Gaup zachoruje i będzie zbyt słaby, żeby wiosłować?

–Da sobie radę – odparł Torak. – Jesteś lepszą uzdrowicielką, niż myślisz.

–Mówisz to tylko dlatego, że chcesz takiego biegu wydarzeń – odparła. – Bo będziesz wolny i sam zapolujesz na Thiazzięgo.

Torak nie odpowiedział. Renn miała rację. Rzuciła mu gniewne spojrzenie i pomaszerowała do kajaka.

–Płynę z wami – powiedziała Fin-Kedinnowi.

–Nie – zaproponował. – Torak bardziej cię potrzebuje.

–Pozwoliłbyś jej pójść ze mną? Po tym, jak o mały włos was wszystkich nie pozabijałem, bo nie zauważyłem pułapki? – Torak był zdumiony.

–Popełniłeś błąd – powiedział Fin-Kedinn. – Następnym razem nie popełniaj.

–Ale ty ledwo chodzisz! – krzyknęła Renn. – A jeżeli coś ci się stanie? A jeżeli... – nie potrafiła wydobyć z siebie słowa.

–Renn – rzekł Fin-Kedinn. – Nie widzisz, że chodzi o coś więcej niż o mnie, o ciebie czy o Toraka? Thiazzi nie tylko ukrywa się w Głębokim Lesie. On coś knuje.

Przeznaczeniem Toraka jest go powstrzymać. Będzie potrzebował twojej pomocy.

Mówił tonem nieznoszącym sprzeciwu, a Renn przestała protestować. Odwróciła się jednak na pięcie i uciekła w przeciwnym kierunku, by nie patrzeć, jak odpływają.

–Co zamierzacie? – spytał Torak przybranego ojca, kiedy Renn już z nimi nie było.

–Będziemy próbowali powstrzymać wybuch wojny

–odrzekł Fin-Kedinn.

Wojna. Torak właściwie nie wiedział, co to znaczy.

–Jest aż tak źle?

–A jak myślisz? Klany Głębokiego Lasu już nie ufają klanom spoza swoich terenów, nie z powodu zarazy, nie po tym, jak w ciele niedźwiedzia był demon. Jeżeli ruszy przeciwko nim klan Łososia, to może być iskra, która stanie się zarzewiem konfliktu.

– Nagle skulił się z bólu i chwycił za burtę kajaka. – Posłuchaj mnie, Toraku. Znajdź klan Czerwonego Jelenia. Pomogą ci w imię twojej matki. Jeżeli nie będziesz mógł ich znaleźć, znajdź Czarownika klanu Tura. Jego klan postąpił brutalnie, ale jestem pewien, że on tego nie sankcjonował. Znam go. To dobry człowiek.

Gaup wrócił. Niecierpliwiał się, chciał już ruszać, więc Torak pomógł mu wejść do kajaka.

–Znajdź klan swojej matki – powtórzył Fin-Kedinn.

–Dopóki ich nie odnajdziesz, nie wychodź do ludzi, chowaj się. Wspinaj się na drzewa, jeśli będziesz musiał; ludzie Głębokiego Lasu są jak sarny i jelenie, rzadko patrzą w górę. Nie rób krzywdy czarnym leśnym koniom. Czarne konie są uświęcone. Nie wolno ich nawet dotykać. – I wtedy zrobił coś, czego nigdy nie robił. Chwycił Toraka za rękę.

Torak nie mógł wydobyć z siebie ani słowa. Jego ojciec zrobił to samo, kiedy leżał umierający.

–Toraku... – Błękitny wzrok wpił się w jego oczy. – Szukasz zemsty. Ale nie pozwól, żeby zabrała ci duszę.

Gaup odepchnął wiosłem kajak od brzegu, zmuszając Toraka do puszczenia dłoni przybranego ojca.

–Chęć zemsty pali, Toraku – powiedział Fin-Kedinn, kiedy zabierała ich rzeka. – Pali serce. Ból jest znacznie trudniejszy do wytrzymania. Nie pozwól, żeby ciebie to

dotknęło.

Renn biegła z boczem w kierunku szałasu. Nie mogła patrzeć na to, jak Czarna Woda zabiera jej wuja.

Po chwili zmieniła zdanie i znów zbiegła na dół. Za późno. Fin-Kedinna już nie było.

Wracała do szałasów jak zamroczona. Zrzuciła na ramię śpiwór, kołczan i łuk i zdeptała ognisko. Mówiła sobie, że Gaup dowiezie Fin-Kedinna bezpiecznie do obozowiska klanu. Prawda jednak była taka, że wszystko mogło się wydarzyć. Fin-Kedinna mógł zacząć gorączkować albo krwawić od wewnątrz. Gaup mógł go opuścić. Być może Renn już nigdy go nie zobaczy.

Kiedy dotarła nad rzekę, Toraka nie było, prawdopodobnie poszedł po drugi kajak. Trudno jej było czekać beczynn timer, więc rzuciła śpiwór na ziemię i ruszyła szlakiem prowadzącym do Głębokiego Lasu.

Zatrzymała się w sporej odległości od rozwartych kamiennych szczęk. Mgła już się uniosła, a skały lśniły w słońcu. Po lewej stronie kępy olsz i brzoź szeptały do siebie sekrety. Po prawej Czarna Woda wiała się, płynąc leniwie zakosami. Dwadzieścia kroków przed nią świerki Głębokiego Lasu zagradzały drogę. Były wyższe niż ich bracia i siostry z Otwartego Lasu, a pod ich omszałymi ramionami nieustannie przemykały cienie.

Torak już kiedyś dotarł do granicy Głębokiego Lasu, ale Renn nigdy nie podeszła tak blisko. Ten widok napawał ją strachem.

Głęboki Las był inny. Rosnące w nim drzewa zdawały się bardziej ożywione, klany podejrzliwe; mawiano, że daje schronienie stworzeniom, które z innych miejsc dawno już poznikały. A latem Duch Świata chodzi po jego dolinach pod postacią wysokiego mężczyzny z rogami jelenia na głowie.

Znikąd pojawiły się Rip i Rek i wystraszyły ją trzepotaniem skrzydeł. Po chwili poderwały się do lotu i znikły na niebie, kracząc niespokojnie.

Renn nie dostrzegała niczego niepokojącego, ale na wszelki wypadek zeszła ze ścieżki i ukryła się za krzewem jałowca.

Na skraju Głębokiego Lasu cienie pod olbrzymimi świerkami gęstniały, później zamieniły się w mężczyznę. Potem w następnego i jeszcze jednego.

Renn wstrzymała oddech.

Myśliwi wyłaniali się bezgłośnie. Ich ubrania utkane z kory były upstrzone plamami zieleni i brązu, w kolorach liści leśnego poszycia; trudno stwierdzić, gdzie kończy się

człowiek, a zaczyna drzewo. Każdy z nich miał na czole zieloną przepaskę – nie potrafiła sobie przypomnieć, po czyjej są stronie – ich głowy przykrywały delikatne zielone siatki. Myśliwi nie mieli twarzy. To nie byli ludzie.

Jeden z nich uniósł dłoń, a jego pokryte zielonymi plamami palce poruszyły się, dając skomplikowany sygnał, który dla Renn nic nie znaczył. Pozostali ruszyli z boczem gdzieś po jej lewej stronie.

Jeden z łowców przeszedł kilka kroków obok miejsca, gdzie przykucnęła. Zobaczyła toporek z cienkiego łupku i długi zielony łuk. Czowała zapach łoju i popiołu drzewnego, gdzieś za siatką dostrzegła przebłysk oczu. Widziała, jak wdychał i wydychał powietrze tą częścią twarzy, w której powinny znajdować się usta.

Z Głębokiego Lasu wyłonił się kolejny łowca bez twarzy, ten niósł dzidę. Kiedy był pięć kroków od Renn, cisnął ostrze w ziemię z taką siłą, że dziewczyna zadrżała.

Trzon włóczni był pogrubiony na wysokości głowy pękiem liści, które Renn rozpoznała jako trującą psiankę. Zwisало z niej coś ciemnego wielkości pięści.

Łowca potrząsnął włócznią, żeby upewnić się, że dobrze siedzi w ziemi, odwrócił się i ruszył w kierunku Głębokiego Lasu.

Renn poczuła, że żołądek podchodzi jej do gardła.

Ta rzecz zwisająca z włóczni to rzeczywiście była pięść. Odcięta dłoń Gaupa.

Znaczenie kija zaklęć było jasne. *Ta droga jest zamknięta.*

Renn nie mogła oderwać oczu od dłoni. Pomyślała, jak by to było żyć przez resztę życia tak, jak musi żyć Gaup. Już nigdy nie mogłaby strzelić z łuku...

Jakiś ruch z prawej strony.

Jej serce zabiło szybciej.

Ścieżką, w jej kierunku, szedł Torak.

Rozdział 9

Pot lał się Renn po żebrach. Torak kroczył ścieżką, szukając jej. Nie widział łowców na zboczu góry, bo widok zasłaniały mu drzewa i dlatego łowcy nie widzieli też jego. Zobaczą go jednak za jakieś piętnaście kroków, kiedy dotrze do oświetlonego kawałka ścieżki, gdzie brzoza, która upadła, zostawiła miejsce dla słońca.

Szybcy jak chmury łowcy rozpiezchli się po zboczu, wtapiając się w cienie rzucane przez liście. Renn nie odważyła się krzyknąć ani wydać ostrzegawczego dźwięku,

podobnego do krzyku kopciuszka. Nie potrafiłaby rzucić w Toraka kamieniem, nie wstając z miejsca. Nagle przystanął. Zobaczył kij zakłęcz.

Natychmiast zszedł ze ścieżki, ale posuwał się wciąż do przodu, był coraz bliżej oświetlonego miejsca.

Renn nie miała wyjścia. Musiała go ostrzec pomimo ryzyka. Gwizdnęła sygnałem kopciuszka.

Torak znikł w krzakach.

Poczuła bardziej, niż zobaczyła, jak łowcy odwracają się w jej kierunku. Na podobieństwo dobrze wymierzonych dzid, ich wzrok skupił się na miejscu, gdzie się ukrywała. Skąd wiedzieli, że to nie prawdziwy ptak? Dodała na końcu wysoką nutę, dzięki której Torak i ona rozpoznawali akurat to zawołanie, ale nikt inny jeszcze tego nie zauważył. Muszą być niewiarygodnie czujni. I podejrzliwi.

Łowcy ruszyli z boczem w dół, w jej kierunku.

Tysiące myśli przemykały jej przez głowę. Świerzbili ją nogi, żeby uciekać, ale wiedziała, że jedynie pozostając nieruchomo, ma jakieś szanse. Stój spokojnie, nie ruszaj się, poczekaj, aż będą tuż przy tobie – i wtedy pobiegnij jak zając, wskocz do rzeki i módl się do opiekuna klanu.

Rozchodzili się, żeby ją otoczyć. Renn napięła mięśnie do biegu.

Jeszcze jedno gwizdnięcie kopciuszka, tuż za nimi, na wzgórzu.

Twarze bez wyrazu zwróciły się w tamtym kierunku.

I znowu podobne gwizdnięcie. To musiał być Torak. Renn rozpoznawała wysoką nutę na końcu ptasiego zawołania. Jakoś udało mu się znaleźć drogę. Wstrzymując oddech, Renn patrzyła, jak wspinają się w kierunku dźwięku.

Znów ten sam sygnał, ale tym razem w tataraku nad rzeką. Jak to możliwe? Torak nie mógł poruszać się aż tak szybko.

Nagle przemknął nad nią jakiś cień i Rek wylądowała na gałęzi niedaleko kija zakłęcz, gwizdząc jak kopciuszek.

Łowcy zamarli. Pomalowane palce migotały w bezgłośnej mowie. Ruszyli w dół, w kierunku drzewa, na którym usiadł kruk. Przeszli trzy kroki od krzaków jałowca, gdzie była ukryta Renn, nie wyczuwając jej obecności. Ich gorączkowe skupienie parzyło ją jak żywy ogień.

Rek, znów idealnie naśladowując głos kopciuszka, wydała z siebie gwizd, a kiedy się zbliżyli, odleciała, śmiejąc się charkotliwym, kruczym śmiechem.

Łowcy bez twarzy w milczeniu patrzyli, jak odlatuje. Następnie ruszyli ścieżką i znikli w Głębokim Lesie.

–Wszystko w porządku? – spytał Torak, chwytając ją za ramię.

Renn skinęła głową. Trzęsa się cała i zaciskała zęby, żeby przestały szczekać.

–Chodźmy stąd – mruknął Torak. Wrócili do zagajnika.

–Na pewno znaleźli nasze ślady – powiedziała Renn, kiedy mogła już swobodnie się odezwać. – Będą wiedzieli, że tu jesteśmy.

Torak pokręcił głową.

–Pomyślą, że popłynęliśmy z Fin-Kedinnem. – Opowiedział jej o tym, że zostawił drugi kajak w dolnym biegu rzeki, bo branie łodzi do Głębokiego Lasu naraziłoby ich na niebezpieczeństwo. Ukrył również ich rzeczy i zatarł ślady.

–Skąd wiedziałeś, że się zjawia? – spytała Renn.

–Nie wiedziałem. Nie miałem nawet pojęcia, że tu są, zanim nie zagwizdałaś. Ale kiedy byłem wyrzutkiem, przyzwyczailem się do tego, żeby zacierać po sobie ślady. Chodź. Jestem głodny. Ostatnia szansa na coś ciepłego do zjedzenia...

Renn nie przyszło do głowy, że kiedy znajdą się w Głębokim Lesie, nie będą mogli korzystać z ognia. Czuła się przy nim głupio, jak małe dziecko, które nic nie wie. Wyruszyła w poszukiwaniu pożywienia. Zapasy powinni zachować na przyszłość; chociaż o tym pomyślała.

Kiedy wróciła, okazało się, że Torak już rozniecił ognisko. Paliło się pod skałą dzielącą ich od Głębokiego Lasu. Użył tylko małych, suchych kawałków brzozy pozbawionych kory, więc płonęło prawie bez dymu.

Renn pomyślała, że nauczył się tego wszystkiego, kiedy był wyrzutkiem. Miała wrażenie, że w ogóle go nie zna. Jedzenie trochę ją uspokoiło. Zrobiła potrawę z leśnych astrów, gwiazdnicy i młodych pęków blanduli, dodała mięsiste grzyby, jaja leśnych gołębi, a do tego ślimaki upieczone na węgielkach ogniska. Były przepyszne, bo żywiły się dzikim czosnkiem.

Kiedy jedli, Rip i Rek kąpały się na płyciźnie rzeki, ochlapwały wodą i skrzydłami pryskały na Wilka, który dopiero co wrócił z polowania i leżał na brzegu, udając, że tego nie zauważa.

Renn dała Rek obrane jajko i podziękowała szeptem. Później powiedziała do Toraka:

–Kim właściwie byli ci ludzie?

–Są chyba z klanu Tura. Zielone przepaski na czołach. A jeden z nich miał amulet z rogu tura. – Zapytał ją o włócznię wbitą w ścieżkę, a ona odpowiedziała, że to kij zaklęć.

–Jeżeli minie się go bez wypowiedzenia odpowiedniego zaklęcia, człowiek choruje i umiera. *Nie widać przekleństwa, ale na pewno tam tkwi. Ściąga demony gorączki, jak ćmy do ognia.*

Torak przez chwilę nad czymś się zastanawiał.

–Przeprowadzisz nas obok tak, żebyśmy mogli go minąć?

Renn poczuła ściskanie w żołądku.

–Może. – Tak naprawdę wątpiła w to. Czarownicy w Głębokim Lesie byli najlepsi. Nie mogła się z nimi równać. – Ale przecież nie będą polegać tylko na kijach zaklęć – dodała. – Postawią wartę.

Torak nie odpowiedział. Bardzo często, gdy coś planował i nad czymś rozmyślał, przeciągał kciukiem po bliźnie na przedramieniu. Teraz też tak robił.

–Renn...

- *Nie mów o tym* - przerwała mu w pół słowa.

–O czym?

–Ze nie był moim krewnym, więc nie muszę iść z tobą, że to zbyt niebezpieczne. Ze mogę zginąć.

Torak zacisnął szczęki. Po chwili się odezwał.

–*To jest* zbyt niebezpieczne. I nie chodzi tylko o nich, raczej o mnie. Popatrz, co stało się z Fin-Kedinnem. Następnym razem to możesz być ty. – Zaczęła już protestować, ale ją przegadał.

–Chodzi o coś jeszcze. Ktoś nas nocą obserwował. Znalazłem ślady i kupkę popiołu.

- *Popiołu?* – próbowała nie okazywać zdenerwowania. – Myślisz, że to był Gaup?

–Na początku też tak sądziłem. Teraz nie jestem pewien.

Zdała sobie sprawę, co Torak próbuje robić.

–Chcesz mnie zniechęcić. Dlaczego zawsze musisz się tak zachowywać? Uważasz, że to podziła? Ze powiem: dobrze, w takim razie wracam do obozowiska klanu?

–Tak. Tak właśnie powinnaś powiedzieć.

–No to wiedz, że tak się nie stanie!

Popatrzył na nią niechętnie. W świetle poranka jego twarz wyglądała starzej. Była bardziej bezwzględna.

–Renn. Ostrzegam cię. Żeby dopaść Thiaziego, zrobię wszystko, co będzie trzeba.

–W porządku – odparła. – W takim razie zaczynamy. Będziemy musieli się przebrać. Jesteśmy po stronie rzeki należącej do Turów, więc upodobnijmy się do nich.

Torak skinął uprzejmie głową.

–Dobrze – powiedział.

– Masz – powiedziała Renn. – Twierdzą, że nawet Tur cię teraz nie wypatrzy. – Zachowywała się bardzo praktycznie, poruszała się i mówiła szybko, ale Torak nie dał się oszukać. Była równie przerażona jak on.

Zimą Fin-Kedinn pokazał im kilka sztuczek. Nauczył ich, jak się maskować, i całe popołudnie ćwiczyli, żeby wszystko dobrze wyszło. Okazało się, że Renn jest w tym bardzo dobra, co Toraka niezmiernie irytowało. Niczym czarownik, jakoś tak wszystko mieszała, że pewne rzeczy wydawały się zupełnie inne niż w rzeczywistości.

Najpierw zrobiła zielonobrazową maść koloryzującą z porostów i gliny rzecznej, nabierając ją spod linii wody, żeby nikt się nie zorientował. Zmieszała to wszystko z popiołem z ogniska i tłuszczem wytopionym ze szpiku kostnego, żeby zamaskować ich zapach i by farby nie zmyła woda. Następnie zdjęła widoczne pióra opiekuna klanu, które miała na sobie, i wcisnęła je w kaftan. Później malowali sobie twarze, szyje, ręce i ubrania – niektóre były jaśniejsze, inne zaś przyciemnione węglem drzewnym.

Wiedzieli ze spotkań z klanem Tura, że jego członkowie nakładali sobie na włosy żółtą glinę, która miała przypominać korę drzew, więc schowali włosy pod kołnierkami kurtek i zrobili to samo. Nie mieli czasu na uplecenie siatek na twarze, więc po prostu zafarbowali opaskę na czoło Toraka na zielono i zrobili taką samą dla Renn. Później wetknęli mech w kołczany, żeby strzały nie obijały się o siebie, i ustalili nowy sygnał ostrzegawczy. W końcu Torak wyciął rurki do oddychania z łodyg

tataraku, na wypadek gdyby musieli ukrywać się pod wodą.

Kiedy skończyli, Wilk podszedł ostrożnie do Toraka, podejrzliwie go obwąchał i wycofał się zaniepokojony.

To ja – powiedział mu Torak w wilczej mowie.

Wilk położył uszy po sobie i zawarczał.

To ja. Chodź tu.

Wilk niechętnie i ostrożnie zbliżył się do Toraka.

Chłopiec przemawiał do niego cicho, trzymając twarz tuż przy pysku, posługując się raz wilczą mową, a raz ludzką. Potrwało to dłuższą chwilę, nim Wilk upewnił się, że wszystko jest w porządku.

–Nie rozpoznał cię – powiedziała Renn stłumionym głosem.

Torak próbował się uśmiechnąć, ale twarz miał sztywną od gliny.

–Wyglądam inaczej?

–Wyglądasz przerażająco. Popatrzył jej prosto w oczy.

–Ty też.

Jej gładka, zielona twarz była niepokojąco podobna do twarzy jej matki. Renn nawet poruszała się inaczej. Jej ciało, dłonie były jakby naładowane tajemniczą energią. Pomyślał, że gdyby jej dotknął, mógłby sobie poparzyć palce.

–Sądysz, że tak wystarczy? – spytała. Torak odchrząknął.

–Z pewnej odległości trudno będzie nas rozpoznać, ale nie z bliska. Najlepszą obroną będzie...

–Nie dać się złapać. – Uśmiechnęła się do niego szeroko i znów była starą, dobrą Renn.

Zapadł zmierzch, a nad drzewami uniół się na wpół zjedzony księżyc. Wokół białych lepnic krążyły chmary owadów i ciem. Torak usłyszał głodne popiskiwanie siedzących wysoko na sośnie piskląt dzięcioła.

–Torak, musimy się zająć tym urokiem – powiedziała Renn.

W słabym świetle księżycy widzieli uciętą rękę Gaupa, która powoli kręciła się na

sznurku. Powinno po niej chodzić mnóstwo mrówek i much, ale nie widzieli ani jednej. Siła przekleństwa była tak wielka, że żadna żywa istota nie chciała jej dotknąć.

Torak stanął na warcie z Wilkiem, podczas gdy Renn podeszła do kija zaklęć, trzymając się w cieniu, stawiając stopy na liściach, żeby nie zostawić śladów. Zaciskała w dłoni gałązki jarzębiny i piołunu, a kiedy przykucnęła obok kija, mruzczała zaklęcia pod nosem i raz po raz dotykała kija przekleństw obiema gałązkami.

Rzeka płynęła ciszej. Drzewa zamilkły, żeby posłuchać. Torak czuł, że przekleństwo wisi w powietrzu, jak ciężka chmura. Bał się, że klątwa jest za blisko, że może się przedostać na jej skórę.

Oderwała się, ciężko wzdychając.

–Nie potrafię – szepnęła.

–Nieprawda, potrafisz! – mówił niecierpliwie.

–Nie mam dość siły. Torak czekał.

Spróbowała jeszcze raz. W końcu ostatni raz westchnęła i rzuciła gałązki do rzeki.

–Poskutkowało? – spytał Torak.

–Nie wiem. Wkrótce się dowiemy.

Wycofali się, ostrożnie zacierając za sobą ślady. Torak miał wrażenie, że napięcie w gęstej ciemności zelżało.

Wilk ostrożnie podszedł do kija zaklęć i usiadł, wpatrując się w zakrwawioną dłoń. Bez ostrzeżenia chwycił ją w szczęki, przygryzł, żeby na pewno okazała się zdechła, i odbiegł spokojnie, żeby na boku ją zjeść. Wkrótce usłyszeli w poszyciu trzepotanie skrzydeł i poirytowane warknięcie. Zobaczyli odlatujących Ripa i Rek, każdy z ptaków trzymał w dziobie palec.

Torak rozwarł zaciśnięte pięści.

–Chyba poskutkowało.

–Może – powiedziała Renn. Zeszli w dół po swoje rzeczy.

–Ruszamy, kiedy zajdzie księżyc – powiedział Torak. Renn nie odpowiedziała, ale wiedział, co myśli.

Wciąż nie mieli planu, jak obejść trzymających straż członków klanu Tura.

Gdzieś ponad głową Toraka piskłeta dzięcioła wołały głośno, domagając się jedzenia. Torak stwierdził, że ich rodzice byli bardzo sprytni, bo wydziobali dziurę pod hubą, która osłaniała małe od deszczu. Wybrali puste drzewo, w którym pełno było innych dziur, tak żeby ptaki miały wiele dróg ucieczki, jeżeli zaatakują je łośca. Torak przypomniał sobie lekcje Fin-Kedinna na temat maskowania się. *Pierwsza rzecz to uczyć się od innych stworzeń.*

Dzięcioł przyfrunął, trzymając w dziobie posiłek dla dzieci, zobaczył Toraka i jak najszybciej odfrunął w kierunku innego drzewa, znajdującego się w bezpiecznej odległości, gdzie przysiadł i głośno zawołał:

–Kik, kik, kik! *Nie na tamtym drzewie, na tymi*

– Chyba – powiedział Torak – mam pewien pomysł.

Księżyc zaszedł i wiatr ustał. Drzewa stały znieruchomiełe. Czekają.

Torak ukląkł obok Wilka i powiedział mu w wilczej mowie, że muszą się ukrywać przed wszystkimi, ale wciąż polują na Ugryzionego. Nie był pewien, czy Wilk zrozumiał wiadomość.

Wstał i skinął na Renn. Ona również dała znak głową.

Trzymając się z dala od ścieżki, ruszyli w górę rzeki. Przeszli obok kija zakłęb. Zrównali się z wielkimi kamiennymi szczękami.

Wiewiórka wdrapywała się pędem po drzewie. Jeleń, tupiąc kopytami, uciekł w las, widzieli tylko jego biały zad.

Dobrze – pomyślał Torak. – Może klan Tura już się oddalił. Może.

Tuż obok szła Renn, cicha jak cień. Spod łap Wilka nie dobiegał żaden dźwięk.

Czekały na nich olbrzymie, obwisłe świerki, z ich gałęzi zwisały ciemne sznury brodatego mchu.

Torak przystanął. Pomyślał o Czarowniku Dębu. Pomyślał o Bale'u. Powoli wziął oddech i ruszył w Głęboki Las.

Rozdział 10

Wilk zjeżył sierść na karku. Torak spojrział na Renn, żeby sprawdzić, czy to widziała. Rzeczywiście. *Ugryziony* – powiedział Wilk. *Blisko?* – spytał Torak. *Wiele wilczych skoków stąd.* Torak pochylił się i szepnął Renn do ucha:

–Wilki zwęszyły trop Thiazzięgo, ale on jest jeszcze daleko stąd.

–I ani śladu po Turach? Pokręcił głową.

Renn była zadziwiona. On również. Już nie pamiętali, jak długo przemykali się między cienistymi drzewami wzdłuż rzeki, ale trzymając się z dala od jej brzegów. Jak dotąd ani śladu po Turach.

Chociaż te drzewa... Torak zahaczał butami o korzenie. Palce gałęzek ocierały się o jego twarz. Tu, w Głębokim Lesie, było cieplej. Powietrze pachniało zielenią, zdawało się bardziej ożywione. Nad ich głowami nietoperze trzepotały skrzydłami, a w poszyciu coś szeptało i przemykało się tajemniczo. Z każdej gałęzi i pnia powalonego drzewa, z każdego głązu spływał mech, jak gdyby olbrzymia zielona fala zatopiła las, a później się wycofała. A z tyłu, gdzieś za plecami, Torak czuł olbrzymią, czuwającą i przyglądającą mu się obecność drzew.

Wilk skręcił w bok i podbiegł ku jesionowi. Oparł się na tylnych łapach, przednimi zaś wdrapał się na pień drzewa i obwąchiwał jakąś nisko zwisającą gałąź.

***Coś dziwnego* – powiedział Torakowi poruszeniem wąsów.**

Chłopak dotknął gałęzi. Na palcach miał coś śliskiego, co pachniało ziemią.

Renn wskazała palcem na gałąź. *Co to jest?*

Pokręcił głową, wytarł ręce w spodnie i żałował, że tego dotknął. Klany Głębokiego Lasu były znane z umiejętności robienia trujących mieszanek.

Dotarli do zagajnika pomrukujących olsz. Kiedy tam weszli, drzewa umilkły, jak gdyby nie chciały, żeby ktoś je podsłuchiwał. Wilk przystanął i węszył.

Ugryziony. Tam, za Wilgocią.

Torak wciąż próbował zrozumieć, co Wilk chce mu powiedzieć, kiedy ten opuścił głowę. *Jama.*

Za drzewami Torak dostrzegł cienie przesuwane się w ciemności. Pękate kształty, które mogły być szalaszami.

–Obozowisko! – szepnęła mu do ucha Renn.

–A Wilk mówi, że Thiazzi jest po drugiej stronie rzeki, na terytorium Leśnego Konia.

–Trzeba wracać – powiedziała tonem nieznoszącym sprzeciwu. – Musimy przejść przez rzekę w dolnym biegu.

To niosło ze sobą ryzyko zdezorientowania Wilka i zgubienia tropu Thiazzi, ale nie mieli wyboru. Zawrócili i ruszyli z powrotem.

A przynajmniej próbowali, ale Torak zrozumiał, że zgubili drogę. Plusk i pomruki rzeki wydawały mu się słabsze, czuł w nozdrzach bardzo wyraźny zapach dzikiego czosnku, a idąc w tamtą stronę, takiego zapachu nie spotkał.

Wytężał oczy, żeby przeniknąć wzrokiem ciemność. W świetle gwiazd zobaczył liść szczawiu nabity na gałązkę. Szept powietrza chłodził mu policzek, kiedy tuż obok powoli przesunęła się sowa lub nietoperz.

Ten liść.

Zatrzymał się tak gwałtownie, że Renn wpadła na niego.

–Co się dzieje?

–Nie jestem pewien. *Nie ruszaj się.*

To niemożliwe, żeby gałązka przypadkiem przekłuła gruby liść. Przebiła go jak igła, wzdłuż, aż do nasady. To musiał być jakiś sygnał.

Aż do nasady.

Spojrzał w prawo, ale zobaczył tylko niewyraźnie plątaninę ciemnych gałęzi. *Tam.*

Omiótł to miejsce wzrokiem i z prawej strony dojrzał młode drzewko wygięte ku ziemi i umocowane przemyślnym układem skrzyżowanych patyków.

Na jego końcu ktoś przymocował ostro zakończony kij. Od skrzyżowanych patyków przez sam środek ścieżki szła niemal niewidoczna linka, zamocowana na wysokości klatki piersiowej. Jeszcze krok i uruchomiłby pułapkę, linka by puściła, a naprężone drzewko, prostując się, wbiłoby mu kij prosto w bok.

Torak oblizał wargi. Na języku poczuł kredowy smak farby, którą oboje byli pomalowani. Pokazał Renn zasadzkę. Jej dłoń powędrowała do ramienia, gdzie przedtem wisiały pióra kruka, opiekuna klanu.

Musieli się przedzierać przez gęste zarośla, żeby obejść pułapkę, sprytnie ustawioną między ciernistymi krzewami tak, żeby właśnie tam zapędzić ofiarę. Kiedy już byli daleko, Renn syknęła mu do ucha:

–Nie tędy przyszliśmy.

–Wiem. Miałem szczęście, że zauważyłem tę pułapkę. – Nie musiał dodawać „Ile jeszcze takich na nas czeka?” Wilk odwrócił głowę w kierunku rzeki. Podążyli wzrokiem za jego spojrzeniem. Czy ten cień przed momentem się poruszył?

Po chwili w ostrzu dzidy odbiło się światło gwiazdy.

Łowca z klanu Tura był nie mniej niż dwadzieścia kroków od nich. Szedł w górę rzeki. Torak i Renn zanurzyli się w zarośla – powoli, żeby nie zwracać jego uwagi gwałtownymi ruchami. Myśli w głowie Toraka pędziły w szalonym tempie. Gdzieś tam, w górze rzeki, było obozowisko klanu Tura. W dole rzeki, bliżej Otwartego Lasu, zastawiono być może więcej śmiertelnych pułapek. Na brzegu zaś zaczął się co najmniej jeden łowca z klanu Tura.

Renn głośno wypowiedziała to, o czym myślał Torak.

–Chyba musimy już tu i teraz sprawdzić, czy twój plan działa.

–Dasz radę tak strzelić?

–Chyba tak. Jeżeli wdrapiemy się na drzewo. Skinął głową.

Renn znalazła wysoką lipę, na którą łatwiej było się wspiąć niż na inne drzewa, bo miała dziwne zgrubienia, sznurem ciągnące się wzdłuż rozłupanej kory.

–Uderzenie pioruna – mruknęła. – Ale drzewo przeżyło. Może chociaż to nam przyniesie szczęście.

Będziemy go bardzo potrzebować – pomyślał Torak. Plan był prosty. Jeżeli to, co wymyślili, żeby odwrócić uwagę myśliwych, zadziała, klan Tura skieruje się na północ, daleko od Czarnej Wody, dzięki czemu oboje przemkną się na drugi brzeg.

Jeżeli zadziała. Jego wiara słabła.

Zrobił siodełko z dłoni i podsadził Renn na drzewo. Następnie ukląkł i powiedział Wilkowi, żeby trzymał się blisko nich i wrócił, kiedy przyjdzie Światło, ale by zachował czujność i uważał na pułapki.

Oddech Wilka na jego policzku był ciepły, a pysk zwierzęcia ocierał się o powieki Toraka. *Uważaj na siebie, wilczy bracie* – powiedział do bezogona.

Wilk był taki ufny. A Torak prowadził go wprost w straszne niebezpieczeństwo.

Powodowany impulsem Torak wyjął z torby róg z lekami, wytrząsnął na dłoń trochę czerwonej sproszkowanej glinki i narysował symbol na czole Wilka, tak by ten nie mógł go zlizać.

Uważaj na siebie, wilczy bracie - powiedział w końcu. Kładąc dłoń na spękanej i szorstkiej korze drzewa, błagał Las, żeby chronił Wilka.

Blizna drzewa była grubsza niż nadgarstek, więc Torak wspinał się po niej jak po linie. Miał wrażenie, że drzewo wyczuwa ich obecność. Poprosił je, żeby ich nie

zdradziło. Gdzieś pod nim błyszcząły srebrne oczy Wilka, który po chwili zniknął w ciemnościach.

Torak i Renn, przytuleni do rozgałęzienia grubych konarów, nie rozwijali śpiworów, mając nadzieję, że nie zmarzną w ubraniach ze skóry renifera.

–Przeczekamy tu do rana – szepnął Torak. – Wtedy będzie im trudniej nas zauważyć. – I zmniejszy się szansa na ucieczkę, jeżeli rzeczywiście ich zobaczą, ale żadne z nich nie powiedziało tego głośno.

Renn wskazała ręką wysoki świerk, na północ od obozowiska klanu Tura. Jego górne gałęzie celowały prosto w gwiazdy, powinny złapać wschodzące słońce. Wyjęła strzałę z kołczana i przygotowywała się do jej założenia.

Kiedy celowała, na jej twarzy było widać skupienie. Przebranie sprawiało, że wyglądała jak ktoś zupełnie obcy, jak gdyby – pomyślał Torak – stała się jednością z Głębokim Lasem.

Usłyszeli skrzypienie napinającego się łuku. Jeszcze raz opuściła ramię. Było za cicho. W taką noc myśliwi z klanu Tura mogą usłyszeć dźwięk cięciwy.

W końcu podmuch wiatru obudził drzewa. Renn wymierzyła i wypuściła strzałę, która trafiła w świerk, a jej obciążenie kołysało się swobodnie na lince przymocowanej do końca drzewca. Założyła jeszcze jedną i trafiła w inne drzewo, znajdujące się bardziej na wschód; później jeszcze jedną i jeszcze jedną, za każdym razem czekając, aż podmuch wiatru zagłuszy dźwięk cięciwy.

Teraz muszą dotrzeć do świtu, mając nadzieję, że plan zadziała.

Bo to ich jedyna szansa.

W ciemności zobaczyli rozbłyskujący płomień ogniska.

Renn mocno chwyciła Toraka za ramię. Obozowisko klanu Tura było znacznie bliżej, niż myśleli.

Usadzeni wysoko na konarze drzewa, przyglądali się smukłym, bezgłośnie poruszającym się postaciom. Każdy ich ruch był celowy, jak ruch owadów w kopcu mrówek. Wielu z nich zebrało się wokół drzewa pośrodku obozowiska, smarując czymś ciemnym jego dolne gałęzie. Dwóch uklęknęło, żeby rozpalić jeszcze jedno ognisko.

Torak był zaskoczony. Po co rozpalać kolejne ognisko od początku, skoro można wykorzystać płonąca gałąź z poprzedniego? Nie używali krzesiwa. Jeden z mężczyzn szybko obracał kij otwartymi dłońmi, świdrując nim w kawałku drewna leżącego na

ziemi, które przyciskał stopą, i trzymając jednocześnie w zębach poprzeczkę mocującą obracający się patyk. To działało. Po chwili zobaczyli mały kłębek dymu. Drugi z mężczyzn podsuwał mu wysuszony brodaty mech, a później podpałkę. Kiedy ogień zapłonął intensywnie, wszyscy uklękli i dotknęli czołami ziemi.

Z lasu wyłaniali się kolejni myśliwi z klanu Tura. Torak naliczył pięciu, siedmiu, później dziesięciu. Każdy – a byli tam jedynie mężczyźni – miał topór, łuk, dwa noże i tarczę – długi klin z drewna o szerokości ramienia, którego zaostrzony koniec wbijał w ziemię, dopiero później ściągając kaptur utkany z siatki, by ujawnić pokrytą gliną twarz, dziwacznie spękaną i pomarszczoną.

Torak poczuł na plecach zimny pot. Gaup miał rację. Ci ludzie są inni.

A jednak ustawiali nad ogniskami różna i po chwili Torak czuł wspaniały, dobrze znany zapach piekącej się leśnej pardwy. To wszystko było dziwne i nie pasowało do absolutnej ciszy panującej w obozowisku.

–Dlaczego oni ze sobą nie rozmawiają? – spytał szeptem.

–Chyba dlatego, że chcą się upodobnić do drzew – odpowiedziała, także szeptem, Renn. – Tego nade wszystko chcą ludy Głębokiego Lasu: być jak drzewa.

–Widzę więcej tarcz niż ludzi.

Skinęła głową i wystawiła w górę trzy palce. Trzej łowcy wciąż gdzieś tu są, chodzą ostrożnie po lesie, niewidzialni. Torak i Renn dobrze zrobili, że wspięli się tak wysoko. Spali i czuwali na zmianę. We śnie chłopca pojawił się deszcz, a Las stał się ciemnym, rozkołysanym morzem, w którego odmętach ptaki nocy połyskiwały jak ryby w świetle księżyca. Z dołu dobiegało pohukiwanie sowy.

Renn szarpała go za ramię.

–Zaraz będzie świtać.

Mrugał powiekami, rozcierając łydkę, w którą złapał go skurcz. Dzień był wietrzny, suchy wiatr wiał od południa. Gile i świstunki śpiewały już pełnymi głosami, leśne gołębki dopiero zaczynały koncert.

–Rip i Rek chyba jeszcze śpią – mruknęła pod nosem Renn. – Nie potrzebujemy porannego powitania kruków.

Torak próbował się uśmiechnąć. Jego pewność, że plan zadziała, słabła z każdą chwilą. Nawet gdyby się udało, mieli nikłą szansę na przepłynięcie Czarnej Wody. Jednak gdyby to się powiodło, dostaną się na terytorium Leśnych Koni. A Thiazzi cały czas uciekał.

Szare światło przenikało do obozowiska i Torak dostrzegł przygarbione szałas ustawione wokół drzewa rosnącego na samym środku.

Wytężał wzrok. To nie do wiary. Wszystkie niższe gałęzie były czerwone. I to nie za sprawą porannego słońca. Same gałęzie – kora, cieńsze gałązki i liście – zostały pomalowane czerwoną gliną. Dlaczego – zastanawiał się – ktoś chciałby pomalować całą gałąź na czerwono?

Nie czas na rozmyślanie. Słońce wstawało. Za chwilę muszą ruszać dalej.

Na północ od nich coś zabłysło na wysokim świerku. Po chwili dalej, bardziej na wschód. Renn uśmiechnęła się półgębkiem. Plan działa, jak dotąd. Małe skrawki krzemienia, które przywiązali do jej strzał, połyskiwały i pobrzękiwały na wietrze.

Zauważyli to myśliwi z klanu Tura. Machali rękami, coś pokazywali, biegli po broń i tarcze.

Torak i Renn szybko zeszli z drzewa. Znikąd pojawił się Wilk, futro miał mokre od rosy. Ruszyli ku rzece. Wierzby zwisały nad Czarną wodą, nie dopuszczając do niej światła dnia. Nie było śladu po klanie Tura. Torak modlił się, żeby zwabiły ich przyczepione do strzał migocące kawałki krzemienia. Ściągnęli buty i przywiązali je do zwiniętych śpiworów. Ruszyli w kierunku brzegu rzeki i trzciny. Szli ostrożnie, by nie przestraszyć ptaków wodnych i nie zdradzić swojej obecności. Na płyciźnie unosiło się sporo porośniętych liśćmi młodych drzewek, powalonych w górze rzeki przez silny prąd.

–Można się schować – mruknęła Renn. Zaryzykowali stłumione uśmiechy. Może jednak się uda.

Przygotowując się na odczucie zimna, zaczęli brodzić w wodzie. Torak poczuł, że stopy toną mu w zmrożonej mazi gnijących liści, zobaczył, jak napięte usta Renn wykrzywają się z niechęcią. Chwycił pływające rzeką drzewko i schował się pod nim. Ona zrobiła to samo. Płynęli za Wilkiem, który był już w połowie drogi.

Czarna Woda nie była tak leniwa, jak mogło im się zdawać. Walczyli, żeby pokonać niewidoczny podwodny prąd.

Nagle Wilk zawrócił i zaczął płynąć w ich kierunku, postawił uszy, był czymś wyraźnie zaniepokojony.

–Co to? – spytała szeptem Renn.

Torak czuł, że coś wywraca mu się w żołądku. Te pniaki pływające środkiem. Płynęły w górę rzeki. A niektóre miały oczy.

Jeden z nich uniósł głowę. Torak zobaczył rozzłoszczoną zieloną twarz, wytatuowaną rysunkami liści. Brązowa opaska na czole. Długie włosy z wplecionymi w nie koralikami, jak w końskie ogony.

Grupa zwiadowców klanu Leśngo Konia. Płynęli wprost na nich.

Rozdział 11

Nurkuj pod wodę i szoruj z powrotem do brzegu – tyle Torak zdołał powiedzieć Renn, zanim sam zanurkował. Nie mógł znaleźć za pasem rurki do oddychania. Trudno, będzie musiał wstrzymać oddech. Miał jedynie nadzieję, że Renn go usłyszała.

Usłyszała. Wyłoniła się wkrótce po nim przy tych samych szuwarach. Czekali, szcękając bezwiednie zaciśniętymi zębami.

Leśne Konie ich nie zauważyły. Zieloni mężczyźni leżeli na brzuchach, bezgłośnie odpychając się dłońmi, w przyczernionych węglem drzewnym zębach trzymali noże.

Wilk wy dostał się na brzeg niedaleko od Toraka i otrząsał się głośno z wody.

Kilka par oczu na wytatuowanych w liście twarzach spojrzęło w bok i znów przed siebie. Samotny wilk ich nie interesował.

Torak i Renn znaleźli dobrą kryjówkę w szuwarach, wyczołgali się na brzeg, żeby się zorientować, gdzie są. Torak nie mógł dojść do siebie. Zdradziecka Czarna Woda przyniosła ich *bliżej* obozowiska, nie dalej.

Przemoczony do suchej nitki i drżący zastanawiał się, co robić. Lada moment myśliwi z klanu Tura zdadzą sobie sprawę, że zostali oszukani i ruszą z powrotem do rzeki, rozciągną się wzdłuż jej brzegów, żeby polować na intruzów. On i Renn znajdują się w pułapce, między nimi a łowcami z klanu Leśnych Koni.

Chyba że uda mu się jakoś odciągnąć od siebie i jednych, i drugich.

–Idź w dół rzeki – szepnął do Renn. – Czekał na mnie za zakrętem, tam się spotkamy.

Zrobiła wielkie oczy.

–Dokąd się wybierasz?

–Nie ma czasu na wyjaśnienia! Uważaj na pułapki!

Torak zdążył jeszcze powiedzieć Wilkowi, żeby trzymał się wilczej siostry i ruszył w kierunku obozowiska Turów. Kiedy był na tyle blisko, na ile miał odwagę podejść,

przykucnął i wyjął z kołczana dwie strzały. Następnie znalazł róg z lekami i szybko posmarował drzewce strzał czerwoną gliną. Nie miał pojęcia, co dla Turów oznacza czerwień gałęzi, ale to kolor łatwy do zauważenia, a o to przede wszystkim chodziło.

Wciąż przycupnięty w zaroślach, założył pierwszą strzałę na cięciwę i czekał. Zobaczył kątem oka łowcę z klanu Leśnego Konia, który schodził na brzeg – ostrożnie, trzymał się prosto, żeby woda spływała bezgłośnie po jego ciele, a nie chlapała na liście.

Torak wycelował. Nie strzelał tak dobrze jak Renn, ale wcale nie musiał. Jego strzała z wyraźnym odgłosem uderzyła w ostrokrzew rosnący w sporej odległości od niego.

Wytatuowana głowa odwróciła się, żeby zobaczyć, dokąd leci strzała.

Kątem oka Torak dostrzegł myśliwego z klanu Tura, który ruszał ku rzece. Czuł, jak zaciskają mu się mięśnie brzucha. Łowcy byli szybsi, niż myślał. Wypuścił kolejną czerwoną strzałę i trafił w inne drzewo.

Nie czekał na to, co się stanie, uciekł. Biegł szybko, tuż przy ziemi, tam gdzie czekała Renn. Jeżeli sztuczka zadziała, obie strony pójda zobaczyć, co to za tajemnicze strzały i wtedy...

Gdzieś za nim okrzyki, po chwili uderzenie włóczni o włócznię. Poczuł wybuch dzikiej radości. Myśliwi z klanu Tura walczyli z myśliwymi z klanu Leśnych Koni, zostawiając Renn i jemu czas na przejście przez rzekę i polowanie na Thiazzięgo.

Zanurzona w cieniach Renn wołała do niego z gęstwiny świerków i po chwili Torak chwycił ją za rękę. Jej dotknięcie było gorące jak popiół z ogniska. Doprowadziła go przez mrok lasu do miejsca, w którym się schowała – pustego pnia olbrzymiego dębu.

Torak, dysząc ciężko, runął na ziemię i oparł się o drzewo, a kiedy jej palce wymykały się z jego dłoni, zaśmiał się niepewnie.

–Było za blisko!

Żadnej odpowiedzi. Był sam w pniu ogromnego drzewa.

Dwadzieścia kroków od niego nagle wyłonił się Wilk. Wychynał zza kępy wierzb, za nim szła Renn, mokra i wściekła.

–Gdzie ty – szepnęła – na Ducha, byłeś?

Kto to był? – syknął Torak.

–O co chodzi, a właściwie o kogo? – spytała Renn. Jego zniknięcie bardzo nią wstrząsnęło i walczyła z sobą, żeby tego nie okazać.

–Ktoś mnie złapał za rękę. Myślałem, że to ty.

–Więc wiedz, że to nie ja. Chwylił jej dłoń.

–Ty masz zimne ręce, a tamta ręka była gorąca.

–Oczywiście, jest mi zimno, jestem przemoczona do suchej nitki! Gdzieś ty był?

Od strony obozowiska Turów dobiegały krzyki, usłyszeli jęk bólu.

–Opowiem ci później – odparł Torak. – Chodźmy na drugą stronę, póki jeszcze można.

Renn było tak zimno, że Czarna Woda wydawała jej się niemal ciepła. Przemoczone rzeczy, które niosła na plecach, ciągnęły ją w kierunku dna, prąd rzeczny był silny. Kiedy dotarła do środkowego nurtu, rzeka ją wciągnęła. Machając rozpaczliwie rękami i nogami, Renn wydostała się na powierzchnię, kaszląc i wypluwając liście. Torak i Wilk byli przed nią i niczego nie zauważyli.

Na południowym brzegu gęsto rosły wierzby, a kiedy się do niego zbliżała, poczuła dreszcz lęku. Wyobraziła sobie wytatuowanych we wzory z liści łowców, którzy w nią mierzą.

–Z deszczu pod rynnę – pomyślała.

Jeżeli Wilk i Torak bali się, to nie dali tego po sobie poznać. Wilk wdrapał się na brzeg, otrzepał się solidnie i zaczął krążyć, próbując zwęszyć zapach Thiaziego. Torak bezszelestnie ruszył w kierunku wierzb.

Kiedy Renn przyglądała mu się, jak przeczesuje drzewa, poczuła, że coś nią wstrząsa. Jego przebranie uczyniło z niego stworzenie z Głębokiego Lasu – kogoś obcego o ciemnej twarzy i chłodnych, srebrzystych oczach.

Rzucił jej spojrzenie i skinął głową.

–Czysto – a później zniknął między wierzbami. Kiedy Renn walczyła, żeby wydobyć nogę z płataniny rzecznych roślin, Torak podał jej rękę i wciągnął ją na brzeg.

–Nikogo tu nie ma – powiedział. – Chyba wszyscy przeszli na drugą stronę, żeby zaatakować obozowisko.

Szybko wytarli się trawą, wcisnęli ją też do butów i pod ubrania, żeby się ogrzać. Torak wyciął trochę skrzypu i ścierał zielony barwnik z ich opasek na czoło, podczas gdy Renn zajmowała się swoim zniszczonym, napęczniałym od wody łukiem.

Wilk zwęszył ślad i ruszył na południe, oddalał się od rzeki, biegł w kierunku bagnistych terenów porośniętych olszami wyrastającymi z błotnistych kałuż. Renn myślała o pułapkach, kijach zakłęcz i niewidzialnych łowcach. Zmówiła modlitwę do opiekuna klanu.

Ich oczom ukazała się zupełnie inna kraina. Musieli skakać od jednej olszowej kępy do następnej i posuwać się po pniach zwalonych, porośniętych mchem drzew. Woda była zadławiona rzęsą i żabim skrzekiem. Renn wpadła do niej i wyłoniła się cała oślizgła.

Próbowała samą siebie przekonać, że to zwyczajny las, taki sam, jak ten, w którym wyrosła. Zobaczyła świerk, z szyszkami wbitymi w pień przez dzięcioły. W ten sposób mogły wydziobywać ziarna. Dzięcioły z Otwartego Lasu też tak postępowały. Ujrzała kupkę liści obok borsuczej nory. Zwierzęta wyciągały na zewnątrz stare poślanie, robiąc porządki po zimie. To przecież znany widok, powtarzała sobie. Nie skutkowało. Drzewa mruczały na wietrze, że to nie jej miejsce. Dzięcioły były czarne.

Torak na coś trafił.

Ziemia pod jesionem była rozdrapana, błoto rozchlapane, jak gdyby kąpało się w nim jakieś zwierzę. Powstał kwadrat szeroki na pięć kroków, a tego nie zrobiłby nawet tur. Wilk zaciekle obwąchiwał to miejsce. Torak odepchnął jego pysk i przyglądał się olbrzymiemu odciskowi okrągłego kopyta.

–Jakiś olbrzymi tur? – spytał. Renn kiwnęła głową.

–Fin-Kedinn mówił, że mieszkają tu stworzenia, które przeżyły Wielki Chłód. Ponoć nazywane są żubrami.

Torak zmarszczył brwi.

–Więc się na nie poluje?

–Chyba tak. Ale czasami atakują.

Gdzieś z oddali usłyszeli pohukiwanie puchacza:

–Puhuuu... puhuuu...

Renn wstrzymała oddech. W wyobraźni zobaczyła ohydną, drewnianą twarz Czarownicy klanu Sowy. Torakowi przebiegały przez głowę podobne myśli.

–Czy to możliwe, że są w zмовie? – spytał cichym głosem. – Thiazzi i Eostra?

Renn się zawahała.

–Nie jestem pewna. Thiazzi jest strasznym samolubem. Będzie chciał zatrzymać opal ognia dla siebie. Poza tym, Saeunn mówiła... Oczywiście, nie może być tego całkiem pewna, ale uważa, że Eostra jest gdzieś w Górach.

–A jednak jej puchacz jest w Głębokim Lesie – rzekł Torak.Renn zamilkła. Patrzyła, jak jej towarzysz wstaje i rozgląda się dookoła. Widziała po jego twarzy, że niezależnie od tego, czy Eostra tu jest, czy nie, nic go nie powstrzyma. Odnajdzie Thiazzięgo.

–Toraku – powiedziała. – Co się wydarzyło w obozowisku klanu Tura? Co zrobiłeś?

Opowiedział jej pokrótce, jak napuścił na siebie nawzajem myśliwych z obu klanów. To było sprytne, ale ta bezwzględność przeraziła nawet jego samego.

–Ale... Przecież ktoś mógł zginąć.

–Ktoś mógł zginąć, tak czy inaczej.

–Być może. A może klan Leśnego Konia tylko wysłał zwiad, przecież tego nie wiesz.

–Ostrzegałem cię. Mówiłem, że zrobię wszystko, co będzie trzeba, żeby dopaść Thiazzięgo.

–Będziesz wszczynał walkę? Sprowadzał na ludzi śmierć?

Wilk patrzył powątpiewająco to na Toraka, to na Renn.

Torak nie zwracał na niego uwagi.

–Zeszłej wiosny – powiedział – wszyscy polowali na mnie. Teraz to ja poluję. Przynależem coś, Renn. Więc mówię ci: tak. Jestem bezwzględny. A jeżeli nie potrafisz tego znieść, dalej ze mną nie idź!

Maszerowali w milczeniu. Renn postanowiła, że pierwsza się nie odezwie.

Teren wznosił się powoli i czarne świerki ustępowały teraz bukom. Brodzili przez pokrzywy rosnące do pasa, przechodzili przez gnijące, zwalone pnie drzew, upstrzone trującymi muchomorami. Renn zauważyła, że drzewa są tu wyższe niż w Otwartym Lesie, będzie się na nie trudniej wspinać; a mrówki żyjące na drzewach nie budują kopców tylko na południowej stronie pni, ale dookoła, więc łatwiej się zgubić.

Ani śladu po ludziach. A jednak...

Gdzieś za nią zakołysała się gałąź, jak gdyby ktoś usunął się z zasięgu jej wzroku.

Położyła dłoń na rękojeści noża.

Gałąź się uspokoiła. Jeżeli to myśliwi z klanu Leśnego Konia – pomyślała – już byśmy wiedzieli.

Torak wysunął się naprzód, teraz klęczał i rozmawiał z Wilkiem.

–Coś zauważyłam! – powiedziała, dysząc po biegu.

–A Wilk coś zwęszył – powiedział Torak. – Mówi, że to pachnie jak Jasna Bestia.

–To znaczy ogień.

–To również znaczy popiół. A ten, który wziął mnie za rękę... Rękę miał gorącą.

Popatrzyli na siebie.

–Nie wiem, kto mnie chwycił za rękę – powiedział Torak. – Ale na pewno szedł za nami przez rzekę.

Kiedy zaczęło zmierzchać, postanowili rozbić obóz pod cisem.

Dotarli do doliny, w której bobry ustawiły tamę na strumieniu i zrobiły wąskie rozlewisko. Renn widziała żeremie na samym środku – solidnie utkany stos gałęzi, poprzeplatany żółtym kolorem w miejscach, gdzie bobry poobgryzały korę. Na jej oko wciąż żerowały, bo na brzegu strumienia pozostało jedynie kilka wierzby. Fin-Kedinn mówił, że bobry lubią zjadać wszystkie wierzby, zanim się przeprowadzą.

Myśl o Fin-Kedinnie bolała. Próbowała wyobrazić go sobie bezpiecznie powracającego do zdrowia w obozowisku Kruków, zajętego nastawianiem wędzicy na łososie, ale w jej umyśle ciągle tkwił jego widok bladego jak popiół, zgarbionego w kajaku. Może robactwo choroby już zjadało jego kości. A wtedy ani Renn, ani nikt inny nie zdołałby go przepędzić.

By również nie myśleć o Fin-Kedinnie, Torak poszedł z Wilkiem rozejrzeć się po okolicy. Renn zostawiła rzeczy pod drzewem i ruszyła na poszukiwanie żywności. Przynajmniej tutejsze rośliny były jej dobrze znane. Zbierała garściami soczystą skalnicę i szczaw o ostrym smaku; jako że nie mogli rozpalić ogniska, Renn wykopała korzenie ostrożnia i pięciornika, które mogli jeść na surowo.

Przyfrunęły Rip i Rek, trzepocząc skrzydłami i wydając gardłowe dźwięki głodnych ptaków, więc rzuciła im kilka korzeni. Zimą przekonała je, żeby przylatywały na jej wołanie, ale jeszcze nie odważały się siadać na jej ramionach, tak jak siadywały na

ramionach Toraka.

Czuła się troszkę lepiej, więc poszła napełnić bukłaki wodą. Jezioro było pokryte pyłem żółtych kwiatów i pyłkami roślin, a drzewa wokół niego pochylały się i przyglądały w wodzie swoim duszom. Renn głęboko zanurzała bukłaki, żeby nie nabierać żółtych pyłków roślinnych. Zwykle im to nie przeszkadzało, ale tutaj...

Kiedy bukłaki były już pełne, patrzyła, jak fale na wodzie się uspokajają. Zaczęła się martwić, że Torak jeszcze nie wrócił. Żałowała, że nie jest dobrym, starym Torakiem, że nie bawi się z Wilkiem w pociąganie za futro, nie droczy się z nią o piegi w kąciku ust. Po raz pierwszy uderzyło ją, że ojciec jego matki był z klanu Dębu, co oznaczało, że Torak jest krewnym Thiaziego. Już po chwili żałowała, że naszła ją taka myśl.

Bukłaki z wodą były pełne. Kiedy je wyciągnęła, jej dusza imienia patrzyła na nią z powierzchni wody – nieodgadniona, pokryta gliną dziewczyna z klanu Tura.

Jakaś postać stanęła tuż za nią. W mgnieniu oka przed Renn pojawiły się zaciśnięte pięści i burza długich, białych włosów. Odwróciła się z krzykiem.

Nic.

Tylko kołyszące się na wietrze gałęzie wierzb.

Jednym ruchem wyjęła nóż.

Usłyszała skrzypienie gałęzi. Pazury uderzające o korę. Pomyślała o tokorogach wybiegających z drzew, szybkich jak pająki. Zostawiła bukłaki i popędziła do miejsca, w którym rozbili obóz.

Torak jeszcze nie wrócił, ale kruki rozsiadły się wysoko na gałęzi drzewa, kracząc rozpaczliwie. Ich sprzęt ktoś wściekle zaatakował. Kołczan był przecięty na pół, mech, który go wypełniał – rozsypany, a większość strzał połamana. Na szczęście wcześniej zawiesiła łuk na wysokiej gałęzi drzewa i napastnik go nie zauważył, ale jej śpiwór ktoś wdeptał w ziemię, pociął na kawałki woreczek z hubą do krzesiwa, a samo krzesiwo roztrzaskał. Wściekłość i gniew wisiały w powietrzu jak zaraza. A na wszystkim spoczywała warstwa delikatnego popiołu.

Renn wyciągnęła toporek i oparła się o drzewo.

–Nie boję się ciebie – rzuciła w kierunku cieni nocy. Jej głos był cienki i mało przekonujący. Kilka chwil później wrócili Torak i Wilk. Wilk zaczął biegać w kółko, obwąchując rzeczy Renn. Torakowi zrzędła mina.

–Zobaczyłam coś nad jeziorem – powiedziała do niego. – A później to.

–Co widziałaś?

–To miało jasne włosy. Wyglądało na wściekłe. Torak się wzdrygnął.

–Wiesz, co to jest? – spytała.

–Nie, ja... Nie wiem. – Zaczął szukać śladów, ale nie było już w ogóle światła i niczego nie znalazł. – Albo wie, jak zacierać za sobą ślady – powiedział – albo ich w ogóle nie zostawia.

–Co chcesz przez to powiedzieć? Toraku, co to jest? Zaczął gryźć wargę. Później wstał.

–Cokolwiek by to było, nie śpimy dzisiaj na ziemi. Cisowi nie podobało się to, że się nań wspinają.

Drzewo dławiło ich chmurami pyłków i próbowało uniknąć uchwytów dłoni, zrzucając korę. Dwa razy gałąź wygięła się, jakby chciała ich strząsnąć. Kiedy dotarli do rozwidlenia, byli podrapani i wyczerpani.

–Wiatr się wzmaga – zauważył Torak. – Lepiej przywiążmy się do pnia.

Renn wywiesiła wilgotny, pobrudzony ziemią śpiwór, żeby wysechł, i patrzyła w dół, w ciemność. Zobaczyła Wilka, który chodził tam i z powrotem w zupełnej ciszy.

–Miejmy nadzieję – powiedziała – że Wilk i kruki ostrzegą nas o nadchodzącym niebezpieczeństwie.

Wilk biegał wkoło cisu i aż mu się sierść jeżyła z niechęci. Nie cierpiał, kiedy bezogony wchodziły na drzewa. Dlaczego one to robią?

Normalne wilki nie wspinają się na drzewa. Normalne wilki *lubią* Ciemność, to najlepsza pora, bo wtedy można biegać i świetnie się bawić. Nie zwijają się w kłębek i nie śpią, nie wiadomo jak długo. Wilkowi wcale się tu nie podobało. Ten Las wydawał się jakiś inny. Drzewa były zbyt czujne, a ich woń przemieszana. Niektóre drzewa pachniały ziemią, a bezogony, które tu mieszkały, pachniały właśnie drzewami. Wściekłe i przerażone, chociaż każde stado miało spory teren polowań, walczyły między sobą, a Wilk nie wiedział dlaczego. Co gorsza, Wysoki Bezogon i jego wilcza siostra zmienili zewnętrzne futra, a nawet zapachy, więc Wilk ledwo co ich rozpoznawał.

Jego sny nękało drapanie demonich pazurów i pohukiwanie sów, a czasem, kiedy się budził, czuł gryzącą w nos woń bezogona pachnącego Jasną Bestią. Ten trop bardzo go niepokoił, bo coś się stało z umysłem tego bezogona, więc Wilk nie wyczuwał, czego on właściwie chce.

Zapach obcego o złamanym umyśle gęstniał w nosie Wilka, kiedy ten obwąchiwał korzenie drzewa, ale wyczuł, że sam bezogon już dawno poszedł. Może również wspinał się na drzewa. Wilk postanowił, że nie będzie się oddalał, na wypadek gdyby tamten wrócił.

W Górze Jasne Białe Oko było na wpół otwarte i sennie popatrywało na swoje niezliczone małe wilczki. Wilk zaczął się na łasicę, ale uciekła. Złapał ćmę, ale zaczął przez nią kichać, więc ją wypluł. A bezogony wciąż spały. Nagle postawił uszy. Gdzieś w dolinie krakały kruki. Znalazły jelenia, który był Bez Oddechu, i chciały, żeby Wilk przybiegł i otworzył go zębami, wtedy będą mogły się pożywić.

Wilk zastanawiał się, co robić. Powinien tu zostać i pilnować bezogonów. Ale był głodny.

Rozdział 13

Kiedy noc zgęstniała, zaczęli się pojawiać inni mieszkańcy lasu.

Nietoperze, trzepocąc skrzydłami, wyfruwały z dziupli w pniu cisa. Szara sowa usadowiła się na końcu gałęzi, na której leżał Torak. Kołysała ciałem na boki, rozświetlona światłem księżyca, a spojrzenie utkwiała w jego oczach. Nie spuszczał z niej wzroku, dopóki nie odleciała.

To była niespokojna noc, drzewa pozostawały całkiem rozbudzone. I on też.

Kto – lub co – zaatakował rzeczy Renn? Czy to owładnięty zemstą duch Bale'a, czy coś innego? *Łowca o włosach z popiołu, który w duszy płonie*. Przepowiednia Saeunn mogła znaczyć wszystko.

Napinając linę, którą przymocował swoje ciało do pnia, rozejrzał się, żeby sprawdzić, czy Renn też nie śpi. Była skulona jak wiewiórka, pogrążona w głębokim śnie.

Ciągnęło go, żeby ruszyć. Gdzieś w tych sekretnych dolinach ukrywał się Thiazzi; a jego ślady stygły. Nawet Wilk nie będzie potrafił go odnaleźć.

Na ziemi zaszeleściły gałęzie, kiedy coś dużego przepychało się wśród poszycia. Torak nic nie widział, ale kiedy stworzenie podeszło bliżej, usłyszał odgłos przeżuwania i sapiący oddech. Później przeszła pod nim gęsta ciemność, podobna do mulistego, chodzącego głazu. Zobaczył masywne, przygarbione ramiona; olbrzymią głowę, z której wyrastały krótkie rogi w kształcie półksiężyców.

Żubr.

Patrzył, jak stworzenie opiera się o pień drzewa i skrobie, drapie, aż całe drzewo się

zatrzęsło. Po chwili z wydobywającym się z głębi płuc, pełnym satysfakcji stęknieniem powoli odchodzi.

Długo później do uszu Toraka dobiegło dobrze znane poświstywanie końskich ogonów. Słyszał, jak stado przechodzi między gałęziami, i zobaczył małe źrebię uczone matczyne brzucha, młodą klacz porządkującą delikatnymi dotknięciami pyska grzywę starszej, której pokryty szramami zad był świadectwem tego, że przeżyła wiele polowań. Torak poczuł narastający strach. W przeciwieństwie do koni koloru orzecha w Otwartym Lesie, te były czarne jak bezksiężycowa noc.

Renn mruknęła coś przez sen, a przywódczyni stada nagłym ruchem uniosła głowę. Przestraszone konie rozplynęły się w ciemności, jak we mgle.

Kiedy odeszły, las wydał się nagle opustoszały. Torak podejrzewał, że Wilk i kruki jeszcze nie wrócili.

Wiatr tężał, drzewa jęczały i skrzypiały. Zastanawiał się, co mówią. Gdyby znał ich mowę, mogłyby mu powiedzieć, gdzie znaleźć Thiaziego.

Ta myśl zapadła mu w umysł, jak kamyczek rzucony do stawu pośrodku lasu. *Stań się jednym z nich. Idź z duchami.*

Zastanawiał się, czy się ośmieli. Drzewa to jedne z najbardziej tajemniczych bytów. Mają w sobie ogień i dają wszystkiemu życie, a jedzą tylko światło słoneczne. Jako jedyne wśród stworzeń potrafią sprawić, że odrasta im gałąź, kiedy tracą inną. Niektóre nigdy nie śpią, a inne zapadają w zimowy sen nagie, przetrzymując najsrozsze mrozy. Są świadkami życia myśliwych i zwierzyny łownej, ale swoje myśli zatrzymują dla siebie.

Torak otworzył woreczek z lekami i poszukał kawałka czarnego korzenia, o którym nie wiedziała nawet Renn. Dała mu go Saeunn. *Sięgnij jeżeli będziesz go potrzebował* - powiedziała.

Przeżuwał pospiesznie. Poczuł w ustach falę goryczy. Korzeń miał wielką moc. Jeszcze zanim go połknął, poczuł ostry ból przeszywający wnętrzności. Potem nadeszły skurcze. Torak zwinął się w kłębek, lina wpijała mu się w pas. Zaczął się bać. Powinien obudzić Renn. Przytrzymała go jednak lina z surowej skóry. Nie mógł nawet zwymiotować.

Skurcze wewnętrzne przychodziły coraz szybciej, jak bezlitosny prąd podwodny wciągający w głębinę wszystkie jego dusze. Otworzył usta, żeby zawołać Renn...

...Jego głos był jękiem kory i szumem gałęzi. Jego palce, jak gałązki, знаły dotyk chłodnego światła księżyca i pieszczotę wiatru, jego ramiona znały ukłucie osy i czuły wagę śpiących chłopca i dziewczyny. Korzenie wbite głęboko w ziemię

wiedziały, w którym miejscu krety kopią korytarze i gdzie szukają miękkich ślepych glist. Wszystko było dobrze. Był *drzewem* i cieszył się dzikością nocy.

Zagubiony w krążącej jak krew żywicy skrawek ducha, który był Torakiem, błagał cis, żeby mu powiedział, gdzie znaleźć Thiaziego. Drzewo westchnęło i uniosło go w noc.

Bezradny jak iskierka niesiona porywem wiatru Torak czuł, że coś przenosi go przez Las na spiętrzonej morzu głosów – od cisów do ostrokrzewów, od małego drzewka do młodego, rozrastającego się drzewa i dębu. Szybciej, niż biegnie wilk i leci kruk. Opanował go bezgraniczny lęk. *Za daleko, myślał. Nigdy nie uda ci się wrócić!*

Kiedy w końcu się zatrzymał, jego palczaste gałęzki poznały chłód wiatru sphywającego z Wysokich Gór. Znalazł się w złocistej żywicy innego cisu, lecz to drzewo było stare ponad wszelkie wyobrażenie, pradawne jak sam Las. Jego gałęzie przeszywały gwiazdy, korzenie rozłupywały kamienie i trzymały w pułapkach demony z Innego Świata. Na jego rozłożystych konarach żyły sowy, rysie, wiewiórki i nietoperze. Dla stworzeń, które w nim mieszkaly, był jak cały wszechświat, lecz dla Wielkiego Cisu ich życie zdawało się krótkie, jak drżenie liścia, bo to drzewo będzie żyło jeszcze długo, kiedy o nich już wszyscy zapomną.

Zgubiony w potężnej świadomości, Torak poczuł na korze ukłucie tokoroga. Usłyszał demony wyjące w rozpalonej skale, która była niemal w zasięgu jego dotknięcia. Płomienie osmały jego gałęzie. Czuł, że Czarownik Dębu otacza drzewo, wyśpiewując pod nosem zaklęcia.

Czarownik podniósł ramiona ku niebu. *Jam jest Prawdą i Drogą. Jam jest Mistrzem i Władcą Płomienia. Jam jest Wielkorządcą Lasu!* Wiatr się wzmógł, a wraz z nim uniósł się ku niebu głos Wielkiego Cisu. Torak tonął w głosach, wszystkie drzewa w lesie unosiły się, gotowe wydać z siebie niszczący wszystko ryk, darły go na strzępy...

–Toraku! – szepnęła Renn. – Toraku! Obudź się! Odwrócił głowę, ale Renn widziała, że jej nie poznaje. Oczy miał puste, nic niewidzące. Nie było w nim dusz.

Nie ma dusz. Chodzi z duchami.

Obudził ją, wydobywając się z uścisku liny. Klęczał teraz na gałęzi, kołysząc się i pomrukując coś pod nosem. Była przerażona, że zrobi krok w nicość i skreći kark.

Powoli próbowała przedostać się na jego stronę pnia. Był poza jej zasięgiem. Nie ruszała się z miejsca, obawiając się, że go przestraszy.

W końcu przemówił pustym głosem, który nie należał do niego.

–Jam jest Wielki Cis – powiedział podmuchowi wiatru. – Jestem starszy niż Las. Wyrastałem pośród korzeni Pierwszego Drzewa. Byłem załączkiem drzewa, kiedy ostatnie śniegi Długiego Chłodu topiły się i wsiąkały w ziemię; byłem młodym drzewkiem, kiedy nadchodziła Fala. Nigdy nie zaznałem snu. Ale zaznałem gniewu i wściekłości...

Renn nie wiedziała, co zrobić. Jej magiczna moc nie była na tyle silna, żeby przywołać jego dusze z powrotem. Modląc się do opiekuna klanu, wyciągnęła rękę.

Torak wstał z gałęzi i ruszył.

Obudziło go brutalne ukłucie bólu – dziób kruka ciągnącego go za ucho.

Kręciło mu się w głowie. Wiatr wiał prosto w twarz, pod czaszką wyły drzewa.

–Toraku! – głos Renn dochodził z oddali. – Toraku, popatrz na mnie. Tylko na mnie. *Nie ruszaj się!*

Kruk odfrunął z jego ramienia i Torak się zakołysał. Ziemia pod nim zatańczyła.

Nie ziemia. *Gałąź*. Stał na końcu gałęzi, a ręce rozpaczliwie chwyciły powietrze.

–Popatrz na mnie – rozkazała mu Renn. Siedziała przykucnięta niedaleko pnia drzewa, jedną rękę miała zaciśniętą na linie zawiązanej na pniu, drugą wyciągała ku niemu. – *Nie patrz w dół*.

Spojrzał w dół. Aż mu się zakręciło w głowie. Gdzieś daleko na podobnych do węży korzeniach drzewa, coś kucalo. Zobaczył włosy koloru popiołu i bladą, patrzącą w górę twarz. Zakołysał się.

Przywołał go głos Renn.

–Toraku. Chodź... do... mnie. – Jej ciemne oczy przyciągały go jak magnes.

Powoli ukląkł i na czworakach ruszył w jej kierunku.

– Nic nie pamiętasz? – spytała Renn.

Torak pokręcił głową. Trząsał się cały, zbierało mu się na torsje, był w gorszym stanie niż kiedykolwiek. Wszystko, co mogła zrobić, to ściągnąć go z tego drzewa, nic więcej.

–Ani tego, że rozplątywałeś linę i wchodziłeś na tę gałąź? Nic nie pamiętasz?

–Nic – mruknął niewyraźnie.

W końcu udało jej się otworzyć bukłak z wodą.

–Masz. Poczujesz się lepiej.

Nie zareagował. Siedział oparty plecami o pień drzewa i gapił się w jego gałęzie.

Wiatr ustał i nadchodził świt. Rip i Rek siedziały na niższych gałęziach i odsypiały poczęstunek z końskiego mięsa, które dała im Renn w geście podziękowania. Wątpiła, czy Torak w ogóle je widział. W jego oczach było dziwne, rozproszone światło, a kiedy przyjrzała im się z bliska, dostrzegła, że nie są już jasnoszare. Gdzieś w głębi oczu Toraka ujrzała maleńkie zielone punkciki.

–Widziałem go – powiedział. – Widziałem Thiazzię. Jest u podnóża Gór. Rzuca czary i uroki. Jest przekonany, że może rządzić Lasem. – Przetoczył się i zwymiotował.

Kiedy było po wszystkim, znów bez sił oparł się o pień drzewa.

–Myślałem, że już stamtąd nie wrócę.

–Co to znaczy? Zacisnął mocno powieki.

–Kiedy się wędruje z duchami w ciele kruka albo niedźwiedzia lub łosia – nie wychodzisz poza obręb tego stworzenia. Ale drzewa – one nie są odrębne. Dla nich myślenie, rozmawianie, chodzenie z duchami to jedno i to samo. Przechodzisz z drzewa do drzewa, z brzozy do ostrokrzewu coraz szybciej, coraz dalej i coraz trudniej to sobie wyobrazić. – Zacisnął ręce na skroniach. – Tyle głosów!

Renn była bezradna, mogła tylko patrzeć. Najbardziej martwiło ją to, że tym razem, kiedy Torak chodził z duchami, przemieszczało się również jego ciało. To nigdy wcześniej się nie zdarzało.

Wiedziała, że niektórzy ludzie czasami chodzą przy świetle księżyca, jeżeli ich dusza imienia wymknie się podczas snu. Ciało wędruje, próbując znaleźć zbłąkaną duszę, ale zazwyczaj się spotykają, zanim jedno lub drugie wyjdzie poza bezpieczne granice. Nie miała jednak pojęcia, co to może oznaczać dla Toraka.

–Dlaczego to zrobiłeś? Dlaczego teraz postanowiłeś chodzić z duchami?

Otworzył oczy.

–Żeby zobaczyć Thiazzię. – Zawahał się. – Widzę go, Renn. Niekiedy to przebłysk jasnych włosów. Czasami jest tu i teraz. Przemoczony do suchej nitki. Oskarża mnie.

Nagle poczuła dreszcz na plecach. Po wyrazie twarzy Toraka zrozumiała, że ma na

myśli Bale'a.

Przypomniała sobie ten dzień, kiedy odprawiali rytuały pośmiertne. Torak stanął wtedy na plaży i wykrzykiwał w niebiosa imię Bale'a. Jak gdyby *chciał*, żeby duch Bale'a go prześladował.

–Dlaczego miałby cię oskarżać? – spytała. Uderzył głową o pień drzewa, na tyle mocno, żeby go zabolalo.

–Pokłóciliśmy się. Ja poszedłem swoją drogą.

–Toraku. Ale o co... o co się pokłóciliście? Unikał jej spojrzenia.

–Miał zamiar cię poprosić, żebyś z nim została. Renn poczuła, że płoną jej policzki.

–On nie chciał sporu – mówił dalej Torak. – To ja. To moja wina. Powiedziałem, żeby sam trzymał straż. Dlatego właśnie zginął.

Wokół nich budziły się ptaki. Renn widziała poranną rosę pobłyskującą na gałązkach zarośli, które przypominały jej tłuste gąsienice. Bąk przeskakiwał z jednego leśnego kwiatka na drugi.

***Całe to cierpienie* – pomyślała. Bale nie żyje. Jego klan w żałobie, Fin-Kedinn jest ranny. Toraka dręczy poczucie winy. Wszystko z powodu Thiazzi. Do teraz nie zdawała sobie sprawy, jak szybko rozszerza się zło promieniujące od Pożeraczy Dusz, zupełnie jak pęknięcia na skutym lodem jeziorze.**

–Toraku – powiedziała w końcu. – To wcale nie znaczy, że to twoja wina. Zabójcą jest Thiazzi, nie ty.

Pszczola usiadła na kolanie Toraka, a on patrzył, jak gramoli się w górę.

–Więc dlaczego właśnie mnie prześladowuje? Muszę dotrzymać przysięgi, Renn. W przeciwnym razie Bale będzie ze mną na zawsze.

Chwilę o tym pomyślała.

–Może i masz rację. Ale ja również z tobą będę. I Wilk. I Rip, i Rek. – Zamilkła. – Tylko od dzisiaj, proszę, *nie każ mi wracać do obozowiska klanu Kruka.*

Wydął wargi. Potem prychnął. Przeniósł pszczołę na dłoń, a później, delikatnie, na liść szczawiu.

Nadszedł wreszcie świt, siedzieli obok siebie, patrząc, jak promienie słońca ukosem przebijają się przez Las.

Po chwili Torak spytał.

–Gdyby cię poprosił, żebyś z nim została, zgodziłabyś się?

Renn odwróciła się, żeby na niego spojrzeć.

–Jak możesz o to pytać? – powiedziała poirytowana. Torak był zaskoczony.

–Nie gniewaj się. Ja tylko... Czy to znaczy, że nie? Już otwierała usta, żeby odpowiedzieć, ale w tym samym momencie wrócił Wilk. Pysk miał ciemny od krwi. Przywitał się z obojgiem, dysząc świeżym mięsem, polizał Toraka pod brodą i wymienili jedno ze swoich pełnych znaczenia spojrzeń. Renn spytała, co Wilk mówi.

–Jasna Bestia – powiedział jej. – I... nie jestem pewien... coś złamanego. Myślisz? Umysł? Złamany umysł?

–Szaleniec – powiedzieli jednocześnie.

Nie mieli czasu na zastanawianie się, co to może znaczyć.

Nagle Wilk pisnął dziwnie i puścił się w zarośla, jak wystrzelony z procy. Torak gwałtownie podniósł Renn i stanął przed nią. Spośród drzew wyłoniło się pięciu milczących łowców. Renn wyciągała nóż, ale byli już otoczeni. Łowcy mieli na sobie ubrania ze zwykłej skóry jelenia, nie byli wyposażeni w żadną broń. Nie wiadomo dlaczego, ale właściwie wcale jej nie potrzebowali. Renn zauważyła, że nie mają opasek na czołach. Po czyjej są stronie?

–Pójdziecie z nami – powiedział cichy głos, w którym pobrzmiwało przekonanie, że wszyscy go słuchają. – Wasze poszukiwania są zakończone.

Rozdział 14

Kobieta miała na szyi korale z żółodzi buczyny. Na jej twarzy widniał wyraz oddalenia, jak gdyby jej myśli skupiały się na sprawach, których nikt inny nie potrafi pojąć.

Renn zgadywała, że to Szamanka lub przywódczyni klanu, albo jedno i drugie. Długie kasztanowe włosy miała rozpuszczone, tylko jeden lok na skroni był posmarowany czerwoną gliną, u pasa nosiła kawałek rogu jelenia. Tatuaż klanowy na czole przedstawiał małe, czarne, rozczapierzone kopyto.

–Jesteście z klanu Czerwonego Jelenia – powiedziała Renn.

–A ty z klanu Kruka – odparła kobieta, która widziała wszystko na wylot przez ich przebranie. – A ty – zwróciła się do Toraka – jesteś chodzącym z duchami.

Torak otworzył szeroko usta.

–Skąd wiesz?

–Czuliśmy, jak po Lesie chodzą twoje dusze. Możesz to maskować przed innymi, ale nie przed ludźmi z klanu Czerwonego Jelenia.

–On niczego nie maskuje – powiedziała Renn.

–W takim razie ktoś robi to za niego – odparła kobieta.

Renn chciała zapytać, co ma na myśli, ale Torak wtrącił się z niecierpliwym pytaniem.

–Moja matka była z klanu Czerwonego Jelenia. Znałaś ją?

–Oczywiście.

Wziął głęboki oddech, zakończony nerwowym połknięciem powietrza.

–Jaka była?

–Nie będziemy tutaj rozmawiać – odrzekła kobieta.

–Zabierzemy was do naszego obozowiska.

Jeden z jej współtowarzyszy zaprotestował – mężczyzna, który miał włosy przykryte zapinką z czerwonej kory.

–Ależ, Durrain, to obcy! Nie powinni oglądać naszego obozowiska, a zwłaszcza ta dziewczyna!

–Nie jestem obcy – powiedział Torak. – Jestem waszym krewniakiem.

–A co masz przeciwko mnie? – spytała oskarżycielsko Renn.

–Pójdziemy do obozowiska – powtórzyła Durrain. Później zwróciła się do Toraka i Renn. – Możecie zatrzymać broń, ale nie będziecie jej potrzebowali. Z klanem Czerwonego Jelenia będziecie całkowicie bezpieczni.

Renn czuła, że kobieta mówi prawdę. W końcu Fin-Kedinn kazał im poszukać klanu Czerwonego Jelenia. Nie zapałała jednak sympatią do Durrain. Jej chuda, koścista twarz była pozbawiona emocji, jakby wykuta z kamienia. Nie zapytała nawet, jakie noszą imiona.

Durrain prowadziła ich na wschód, ścieżką saren i jeleni wiodącą przez gęstwinę.

Renn dwa razy widziała Wilka, który szedł z nimi, utrzymując dystans. Zastanawiała się, co Torak myśli o tym, że schodzą z tropu Thiaziego, ale kiedy o tym wspomniała, rozwiązał jej wątpliwości.

–Durrain powiedziała, że nam pomoże.

–Stwierdziła, że nasze poszukiwania dobiegły końca. A to wcale nie musi być jedno i to samo.

–To moi kuzyni. Krew z krwi i kość z kości. *Muszą* mi pomóc.

Przedzieranie się przez gęste zarośla było trudne i forsujące, a młody, przystojny łowca zaproponował, że poniesie śpiwór Renn. Odmówiła, a później pożałowała. Łowca odgadł jej myśl i wziął od niej zawiniątko.

Wskazała palcem mężczyznę o włosach upiętych czerwoną korą, który szedł z przodu.

–Dlaczego on mnie nie lubi? Młodzieniec westchnął.

–Kiedyś przygarnęliśmy kogoś z klanu Kruka. Pomógł Pożeraczowi Dusz wyczarować demona w postaci niedźwiedzia.

Renn się z jeżyła.

–To był mój brat. Pożeracz Dusz jego też wystawił do wiatru.

Mężczyzna o włosach spiętych korą popatrzył na nią niechętnie.

- *Ty* tak mówisz. A niedźwiedź zabił moją kobietę. Dlatego właśnie nie lubię Kruków.

Gdy mężczyzna oddalił się, tak że już nie słyszał ich rozmowy, młody człowiek przeprosił za niego.

–Wciąż za nią tęskni.

–Czy dlatego wiąże włosy? – spytała Renn.

–Tak. Umieszczamy naszych zmarłych na wybranym drzewie, a później związujemy włosy korą, żeby o nich nie zapomnieć.

–Ale nie macie na czołach przepasek. Po czyjej jesteście stronie?

Młody człowiek spoważniał.

–Nie opowiadamy się za nikim. Nigdy nie walczymy. Renn uniosła brwi.

–A co inne klany o tym sądzą?

–Są temu niechętnie, ale zostawiają nas w spokoju. Na razie – pomyślała. Spojrzała na Toraka, ale ten nie słuchał. Skupiał się na usłyszanych przed chwilą słowach, niemal spijał je z ich ust – chciał znać wszystkie szczegóły dotyczące klanu swojej matki. Na jego twarzy malował się wyraz tęsknoty. Renn nie mogła się pozbyć uczucia niepokoju. Miała nadzieję, że ci dziwni, oddaleni od świata ludzie ich nie zawiodą.

Większość dnia byli w drodze, a Renn po niedługim czasie straciła poczucie orientacji. W końcu dotarli do jeziora, pośrodku którego zobaczyła zalesioną wysepkę. Powiedzieli jej, że to jezioro nazywa się Czarny Staw, i dziwili się, że tego nie wie.

Obozowisko klanu Czerwonego Jelenia było położone ponad poziomem jeziora i tak dobrze ukryte, że nie zauważyłaby go, gdyby nie dymy z ognisk. Sterta jałowca okazała się największym szłaśsem, jaki kiedykolwiek widziała – naliczyła siedem wejść przykrytych pomalowanymi na zielono skórami renifera, które zwisały luźno do ziemi. Kilka psów – pierwsze, które spotkała w Głębokim Lesie – wyszło, żeby ich obwąchać. Chwyciły zapach Wilka, który do niej przylgnął, podwinęły ogony i uciekły. Wychylały się buzie dzieci, które po chwili znikwały w szłaśasach.

Panowała dziwna cisza, ale po raz pierwszy od wielu dni poczuła się bezpieczna. Tutaj nic jej nie grozi – ani tokorogi, ani łowcy z klanu Leśnego Konia, ani nękająca ją postać o włosach koloru popiołu. Słynna w całym świecie sztuka magii, którą władali ludzie z klanu Czerwonego Jelenia, trzymała ich wszystkich na odległość. A jednak widziała kilka małych zawiniątek kory, przywiązanych do drzew.

Młody łowca zaprowadził Toraka do jeziora, żeby się umył, a kobieta pokazała Renn ustronną zatoczkę. Po krótkiej perswazji Renn rozebrała się i stała drżąca, podczas gdy kobieta za pomocą kawałka czegoś, co okazało się twardym szarym błotem, zmywała i ścierała z niej maskowanie Głębokiego Lasu. Dobrze było być znowu sobą, ale Renn czuła pieczenie na skórze. Spytała, co to jest, to szare.

Kobieta była zdziwiona, że nie wie.

–To popiół. Palimy zielone zarośla, później mieszamy popiół z wodą i pieczemy na ogniu.

Popiół, pomyślała Renn. Wciąż popiół.

–Wszyscy w Głębokim Lesie tego używają – powiedziała kobieta.
– To jak goryczka, ale lepsze.

Inna kobieta przyniosła jej ubranie – spodnie i kaftan ze skóry jelenia z podszewką z króliczego futra, ładne buty ze skóry łosia i czapkę. Renn myślała, że czapka utkana jest z kory drzew, ale okazało się, że zrobiono ją z porozdzieranych łodyżek pokrzywy. Wszystko pasowało, ale była zdenerwowana, kiedy okazało się, że oprócz piór kruka, opiekuna jej klanu, wszystkie ubrania klanu

Kruka spalono.

–Nasze są znacznie lepsze – broniła się kobieta.

Lepsze ubrania, lepsze środki czystości, lepsze wszystko – pomyślała Renn obrażona. – Może powinniśmy wszystko rzucić i tylko ich naśladować.

Żeby podnieść się na duchu, udała, że musi pójść na stronę, a kiedy była sama, podwinęła nogawkę spodni, wzięła w rękę nóż z siekacza bobra, który dostała od klanu Wydry, i przywiązała go do łydki zapasową cięciwą. Tak na wszelki wypadek.

Kiedy wróciła, Torak siedział przy ognisku, również przebrany w nowy strój, nie miał już na sobie zielonej gliny. Co za ulga zobaczyć go znów w znajomej postaci; zabrali mu również opaskę, a on wciąż dotykał palcami tatuażu wyrzutka.

Zrobił jej miejsce przy ognisku, kiedy reszta klanu siadała do posiłku.

–Przestań się dąsać – szepnął – oni nam pomagają. I powąchaj, jak pachnie to jedzenie!

Renn prychnęła.

–Na pewno jest *znacznie* lepsze niż nasze. Musiała jednak przyznać, że smakowało dobrze.

Tuż nad żarzącymi się węgielkami wisiał kosz utkany z korzeni roślin. Wypełniono go pachnącymi kawałkami mięsa z tura, grzybami i młodymi pąkami. Potrawa była gotowa, gdy kosz prawie się przepalił. Podano również przepyszne podpłomyki z

posiekanych orzechów laskowych i pyłku sosny oraz wielkie wiadro miodu, którym wszystko polewano, a na końcu gorącą herbatę z igiełek świerku do popicia jedzenia.

Cudownie było znów grzać się przy ogniu, ale oprócz krótkiej modlitwy do Lasu ludzie z klanu Czerwonego Jelenia jedli w ciszy. Renn przypomniła sobie z bólem serca hałaśliwe, pełne śmiechów i żartów kolacje przy ogniu w obozowisku Kruków, kiedy wszyscy wymieniali się opowieściami z polowania.

Kiedy skończyli jeść, Durrain zaczęła wypytywać Toraka. Co dziwne, nie interesowało jej to, dlaczego się tutaj zjawili; chciała tylko wiedzieć, jak to jest chodzić z duchami w ciele drzewa.

Torak wyjaśniał, próbując jak najlepiej dobrać słowa, które by to oddały.

–Ja... Ja byłem cisem. Później byłem w jednym drzewie po drugim. Zbyt wiele głosów. Nie mogłem tego znieść.

–Oooch – westchnął cały klan.

Nawet u Durrain pojawił się przebłysk emocji.

–To, co słyszałeś, było Głosem Lasu. Głosem wszystkich drzew, które tu są lub kiedykolwiek tu rosły. Jest to głos zbyt potężny, by mógł go znieść zwykły człowiek. Gdybyś słuchał go przez czas dłuższy niż uderzenie serca, głos rozerwałby twoje dusze. A jednak... Bardzo ci zazdroszczę.

Torak przełknął ślinę.

–Moja matka. Mówisz, że ją znałaś. Opowiedz mi o niej.

Durrain odpędziła jego pytanie gestem dłoni.

–Postanowiła nas opuścić. Nic ci nie mogę opowiedzieć.

–Nic? – Torak był zdumiony. Renn ogarnęła wściekłość.

–Na pewno próbowaliście jej szukać? Durrain obdarzyła ją chłodnym uśmiechem.

–Ale... Ona i ojciec Toraka walczyli z Pożeraczami Dusz. Potrzebowali waszej pomocy.

–Klan Czerwonego Jelenia nigdy nie walczy – odparła Durrain. Jej oczy miały żywy, kasztanowy kolor, przenikały przez wszystkie dusze Renn. – Widzę, że masz pewne skłonności do Magii. W Głębokim Lesie jednak na nic ci się nie przydadzą. Tu nie jesteś adeptką Magii.

Miała rację. Renn poczuła się zdruzgotana. Siedzący przy niej Torak poruszył się nerwowo.

–Nic nie wiesz o Renn. Zeszłego lata jej wizje ostrzegły nas przed powodzią. Uratowała wiele klanów.

–Rzeczywiście – powiedziała Durrain. Torak uniósł dumnie brodę.

–Tracimy tu czas. Powiedziałaś, że nasze poszukiwania dobiegły końca. Wiesz, gdzie jest Czarownik Dębu?

–Nie ma żadnego Czarownika Dębu w Głębokim Lesie – stwierdziła Durrain.

–Jak to? – spytał Torak. – Przyszliśmy tu za jego śladem.
Prowadzi na południe.

–Gdyby w Głębokim Lesie był Pożeracz Dusz, klan Czerwonego Jelenia wiedziałby o tym.

–Wcześniej nie wiedzieliście – wtrąciła się Renn.

–Kulawy wędrowiec mieszkał z wami przez całe lato, a wy nie wiedzieliście, kim jest.

Usłyszała gniewne pomruki, a Durrain zacisnęła usta.

–Wasze poszukiwania dobiegły końca. Dziś wieczór będziemy się modlić. Jutro zabierzemy was z powrotem do Otwartego Lasu.

–Nie! – krzyknęli jednym głosem Renn i Torak.

–Nie rozumiecie, w co się pakujecie – powiedziała Durrain. – Głęboki Las jest w stanie wojny.

–Ale przecież wy nigdy nie walczyacie – odparowała Renn. – Więc dlaczego to miałoby was dotyczyć?

–To dotyczy wszystkich – powiedziała Durrain. – Wojna nie dopuszcza do nas Ducha Świata. Na pewno w Otwartym Lesie coś o tym słyszeliście?

–Nie, jesteśmy ignorantami – powiedziała Renn.

–Może nas oświecisz.

Durraïn rzuciła jej gniewne spojrzenie.

–Zimą Duch Świata nawiedza góry pod postacią kobiety o włosach podobnych do wierzbowych gałęzi. Latem chodzi po leśnych ostępach jako wysoki mężczyzna z rogami jelenia na głowie. To chyba wiecie?

Renn powstrzymywała się ostatkiem sił, żeby nie wybuchnąć.

–Wiosną, w czasie przemian, Wielki Dąb w świętym gaju wypuszcza młode liście. Ale nie tej wiosny. Demony wyżarły nawet zalążki liści. Duch się nie zjawił. – Przerwała. – Próbowaliśmy wszystkiego.

–Czerwone gałęzie – powiedział Torak. Durraïn kiwnęła głową.

–Każdy klan przywołuje Ducha na swój sposób. Klan Tura maluje gałęzie. Klany Rysia i Nietoperza składają ofiary. Klan Leśnego Konia również maluje gałęzie, a ich nowy Czarownik pości samotnie w świętym gaju, szukając znaków.

Renn i Torak zeszywnieli.

–Czarownik klanu Leśnego Konia – odezwał się w końcu Torak – to mężczyzna czy kobieta?

–Mężczyzna – odparła Durraïn. – Jak on wygląda?

–Nikt nie widział jego twarzy. Cały czas nosi maskę z drewna, żeby stać się jednością z drzewami.

–A gdzie jest święty gaj? – spytał Torak.

–W Dolinie Koni – odparła Durrain.

–A gdzie to jest? – spytała Renn.

–Tego nigdy nie mówimy obcym.

–Na czyim to terytorium? – spytał Torak. – Klanu Tura czy Leśnego Konia?

–Święty gaj jest w samym sercu Lasu – powiedziała Durrain. – I nie należy do nikogo. Wszyscy mogą się tam udać, lecz tylko w największej potrzebie. To znaczy, tak było, zanim zabronił tego Czarownik klanu Leśnego Konia.

Renn wzięła głęboki oddech.

–A jeżeli ci powiemy, że Czarownik klanu Leśnego Konia to Thiazzi w przebraniu?

Durrain posłała jej pełne politowania spojrzenie, a pozostali uśmiechnęli się z niedowierzaniem.

–A jeżeli mamy rację – powiedział Torak – pomożesz nam? Pomogłabyś mi? Jestem krwią z krwi i kością z kości twojego klanu. Pomogłabyś mi walczyć z Pożeraczem Dusz?

–Klan Czerwonego Jelenia nigdy nie walczy – powtórzyła Durrain.

–Ale nie można stać z boku i beczynnienie się wszystkiemu przyglądać! – krzyknęła Renn.

–Modlimy się, żeby walki ustały – powiedziała Durrain. – Modlimy

się, żeby wrócił Duch Świata.

–I to wasza odpowiedź? – rzucił Torak. – Modlitwa? Durrain wstała z miejsca.

–Pokażę ci, dlaczego nie walczymy – powiedziała, wypluwając słowa jedno po drugim, jakby to były kamyczki. Chwyciła Renn i Toraka za nadgarstki i wyciągnęła ich z obozowiska.

Ruszyli w górę zbocza i w końcu dotarli do małej przecinki leśnej, gdzie popołudniowe słońce rozświetlało kępy żółtych astrów. Nie było słyhać ptaków. W przecince panowała niesamowita cisza. Pośrodku Renn zobaczyła plątaninę wybielonych słońcem i wiatrem kości – szkielety dwóch jeleni.

Odpowiedź na pytanie, co się stało, była przerażająco jasna. Podczas rykowiska zeszłej jesieni, jelenie walczyły o sarnę. Renn w wyobraźni widziała olbrzymie głowy zderzające się ze sobą, zakleszczające się o siebie poroża. Walka, żeby się oderwać. Nie mogły. Były w pułapce.

–*To jest znak wysłany przez Ducha* – powiedziała Durrain. – Zobaczcie, co się stanie z opiekunami klanu! Walczyły. Nie mogły się uwolnić. Zagłodziły się na śmierć. *To właśnie* stanie się z wami, jeśli będziecie walczyć, *dlatego właśnie* klan Czerwonego Jelenia nigdy nie stanie do walki!

Rozdział 15

Kiedy Durrain prowadziła ich z powrotem do obozu, Torak został z tyłu, a po chwili dołączyła do niego Renn.

–Wszystko w porządku? – spytała.

–Tak.

Dotknęła jego dłoni.

–Wiem, że spodziewałeś się od nich czegoś więcej. Zmusił się, żeby wzruszyć ramionami. To była Renn, więc wszystko jedno, czy on żałuje, czy nie. Żeby ją powstrzymać przed kolejnym komentarzem, powiedział:

–Uważam, że czynią niesłusznie, nie podejmując walki.

–Ja też.

–Jak można nie walczyć z Pożeraczami Dusz? Jeżeli nikt nie będzie z nimi walczył, przejmą kontrolę nad całym Lasem.

–Chociaż – powiedziała, naśladowując podniosły ton Durrain – kimże *my* jesteśmy, żeby kwestionować zwyczaje klanu Czerwonego Jelenia?

Uśmiechnął się.

–A zwłaszcza ty, ignorantko z klanu Kruka. Szturchnęła go łokciem pod żebra, a on krzyknął.

Durrain odwróciła się i rzuciła mu pełne dezaprobaty spojrzenie.

Kiedy zbliżali się do obozowiska, Torak powiedział przyciszonym głosem.

–Ale powiedzieli nam coś bardzo ważnego. Renn skinęła głową.

–Musimy znaleźć święty gaj.

Zapadał zmierzch i większość ludzi z klanu Czerwonego Jelenia udała się do szałasu. Czekala na nich Durrain.

–Modlimy się aż do świtu – oznajmiła. – A wy módlcie się z nami.

Renn próbowała sprawiać wrażenie posłusznej dziewczynki, Torak ukłonił się, chociaż nie miał zamiaru się modlić. Nie chciał dłużej cymkolwiek się rozpraszać.

Ze ścieżki obok wyłoniła się kobieta, zobaczyła Durrain i zawahała się, jak gdyby się zastanawiała, gdzie się schować.

Durrain westchnęła ciężko.

–Gdzie byłaś?

–Ja... Ja zaniiosłam ofiarę dla koni – powiedziała kobieta, jękając się.

–Powinnaś była najpierw o tym nas uprzedzić.

–Tak, Durrain – przytaknęła z pokorą kobieta. Torak popatrzył w oczy Renn. *Konie*. Aby dać mu sposobność do zagadnięcia kobiety, Renn spytała Durrain, jak ludzie z klanu Czerwonego Jelenia wchodzą w trans. Szamanka spojrzala na nią i zaprowadziła ją do szałasu.

–Powinniśmy wejść do środka – powiedziała niepewnie kobieta. Miała łuszczącą się skórę, która przywodziła Torakowi na myśl suszone mięso renifera, wciąż mrugała oczami, jakby

spodziewała się ciosu. Jej zapinka z kory na włosach była brudna, czas najwyższy wymienić ją na nową.

Aby ją uspokoić, zapytał, kogo opłakuje.

–Moje... Moje dziecko – wymamrotała. – Powinniśmy wejść do środka.

–I składasz ofiary koniom? W ich dolinie?

–Tak, nad Rzeką Wiatru. – Wskazała gdzieś za siebie, a później przycisnęła dłoń do ust. – Powinniśmy wejść do środka.

Drżąc z ekscytacji, Torak zostawił toporek i łuk w miejscu, w którym łatwo je znajdzie, i wszedł za nią do szałasu. To wydawało mu się niemal zbyt proste.

Wewnątrz było posępnie, jak w lesie w dzień przełomu wiosny i lata. Z belek nad głowami zwisały tysiące suszących się włókien pokrzywy – omiatały mu twarz jak długie zielone włosy. Po obu stronach siedzieli mężczyźni i kobiety, a Durrain w środku, trzymając przy piersi kołatkę z sarnich kopyt. Nie rozpalono ogniska. Jedyne ciepło dochodziło z nieświeżych oddechów.

Torak wypatrzył Renn, która uśmiechnęła się do niego konspiracyjnie. Czuł się winny, bo ona zostanie, a on pójdzie dalej. Nie potrafiłby powiedzieć dlaczego; po prostu wiedział, że kiedy stanie twarzą w twarz z Thiazzim, jej nie wolno tam być i tego oglądać.

Przesunął się na stronę, gdzie siedzieli mężczyźni i znalazł miejsce przy jednym z wyjść.

Weszła ostatnia osoba z klanu Czerwonego Jelenia i postawiła przed Durrain miskę i talerz. Szamanka uniosła misę i wypła.

–Deszcz ze ścieżek trzygłowego opiekuna klanu – zaintonowała.
– Pijcie wszyscy z mądrości Lasu. – Podała misę dalej.

Z talerza wzięła kawałek podpłomyka.

–Kora patrzącej na wszystko sosny. Jedzcie wszyscy z mądrości Lasu.

Kiedy nadeszła pora na Toraka, ukrył swój kawałek podpłomyka w rękawie i udawał, że bierze łyk z krążącej po szalasi misy. Chciał sprawdzić, jak jest na zewnątrz i przełożył rękę pod skórzaną klapą namiotu. Poczul na dłoni powiew chłodnego powietrza.

Wzrok Durrain wędrował wśród twarzy zgromadzonych.

Torak zamarł.

Durrain zaczęła potrząsać kołatką w równym rytmie.

–Lesie – zaczęła wyśpiewywać. – Widzisz wszystko. Wiesz wszystko. Bez twojej wiedzy nie sfrunie z nieba jaskółka ani nie odetchnie nietoperz. Wysłuchaj nas.

–Wysłuchaj nas – jak echo powtórzyły głosy.

–Zakończ niesnaski między klanami. Sprowadź Ducha o głowie jelenia z powrotem do swoich uświęconych dolin.

Śpiew potężniał i rósł, w uszach zebranych galopowały jelenie

kopyta, a Durrain nie spuszczała wzroku ze swoich ludzi. Nadeszła północ i Torak niemal stracił nadzieję, kiedy ona, nie przerywając rytmu, zarzuciła sobie kaptur na głowę – i wszyscy pozostali uczynili to samo.

Gdy klan Czerwonego Jelenia śpiewem zanurzał się coraz głębiej w trans, Torak wycofywał się w kierunku wyjścia z szałasu. Otaczający go ludzie zatracili się w ciemności kapturów i niczego nie zauważyli.

Chwycił broń i ruszył ścieżką.

Nie odszedł daleko, kiedy usłyszał nad sobą łopot skrzydeł Ripa i Rek, witających go przyjaźnie. *Gdzie byłeś?*

U jego boku, jak szary cień, pojawił się Wilk i pobiegł za nim. *Ugryziony. Niedaleko.*

Na wpół zjedzony księżyc już zachodził, świt był blisko. Torak przyspieszył kroku. Podniecenie polowaniem i pościgiem przyspieszało przepływ krwi w jego żyłach. Czuł się zwinny i niezwyknięty, był łowcą, który dogania zwierzynę. Tak miało się stać.

Chłopak ucieka. Tak miało się stać.

Przez trzy dni i przez trzy noce Wybraniec przyglądał się niedowiarkom tak, jak chciał Mistrz. Dziewczyna wysysa moc z kija zaklęć tak łatwo, jak gdyby łała wodę z dzbana. Chłopiec zwołuje kruki z nieba i rozmawia z wielkim, szarym wilkiem, potrafi chodzić z duchami.

Jest przekonany o swoim sprycie, kiedy siedzi Mistrza aż do świętego gaju. Nikt nie potrafi wytropić Mistrza. Mistrz przyzywa, reszta słucha. Nawet ogień słucha Mistrza.

Wola Mistrza musi zostać spełniona.

Rozdział 16

Nastał świt i ani Renn, ani klan Czerwonego Jelenia nie ruszyli za nim w pościg. Torak nieomal tego żałował. Wkrótce nic ani nikt nie stanie na drodze jego zemsty.

Dzień upływał, a Torak wciąż podążał ścieżką wzdłuż Rzeki Wiatru. Jej bystry, brązowy nurt w niewielkim stopniu przypominał potężną rzekę, którą stanie się później w Otwartym Lesie.

Wilk dreptał przy jego boku z opuszczonym ogonem i głową. Nawet kruki przestały gonić za motylami. Podniecenie polowaniem ustąpiło lękowi.

Dolina zwężyła się i stała się jarem, a rzeka zmieniła w bystry potok. Cały dzień wiał suchy wiatr z południa, który teraz ucichł i był tylko szeptem powietrza. Torak czuł łaskotanie w kręgosłupie. Wchodzili na tereny przedgórza, rozciągającego się u stóp Wysokich Gór.

Wilk obwąchiwał grudkę ziemi wzruszoną przez końskie kopyto. Torak pochylał się, żeby obejrzeć długi, czarny włos z ogona. Ponad nimi wiosenne listki buku i brzozy połyskiwały jasną zielenią. Kwiaty tarniny odbijały światło jak śnieg. Powietrze pachniało świeżością i aromatem świerków, żyło głosami ptaków

– gile, świstunki, słowiki, cyranki. Nawet przetacznik rosnący na ścieżce miał nienaturalnie błękitny kolor, jak kwiat ze snu. Torak dotarł wreszcie do Doliny Koni.

Wilk uniósł głowę. *Idziemy dalej?*

Ja muszę – odpowiedział Torak. *Nie ty. Jest niebezpiecznie.*

Jeżeli ty musisz, ja też muszę.

Szli dalej w połyskliwych cieniach.

Torak zauważył, że na ścieżce są ślady wielu kopyt i łap, ale nie butów. Zwierzyna się go nie bała, zgadywał, że ludziom nie wolno tu polować. Czarny dzięcioł skakał do tyłu po gałęzi, dziobiąc korę w poszukiwaniu mrówek. Był tak blisko, że Torak widział jego długi, szary język. Młody jelonek przeżuwał kwiatki jasnoty. Chłopak mógł nieomal dotknąć jego gęstego, brązowego futra. Natknął się na dzika wężącego za korzeniami, który przyglądał mu się spode łba.

Dolina była teraz stromym jarem, a brzozy ustąpiły omszałym świerkom. Wiatr ustał. Ptaki umilkły. Kroki Toraka stawały się coraz głośniejsze. Dotknął ramienia, na którym nosił wcześniej zwierzęcą skórę opiekuna klanu. Pod sercem poczuł zacieśniający się węzeł strachu.

Od śmierci Bale'a jedynym celem jego życia było odnalezienie Thiaziego. Nie zastanawiał się nad tym, co będzie później. Teraz zaczął o tym rozmyślać. Musiał zabić najsilniejszego człowieka w Lesie.

Musiał *zabić* człowieka.

Może dlatego zostawił Renn – nie chciał, żeby patrzyła, jak to robi. A jednak za nią tęsknił.

Szelest skrzydeł gdzieś za nim. Torak odwrócił się, mając nadzieję, że zobaczy Ripa i Rek. Ujrzał jednak jastrzębia, siedzącego na pniu drzewa i rozdziobującego pierś bezgłowego słowika.

Może – pomyślał Torak – kruki odleciały, bo wiedziały, co zamierzam zrobić.

Wilk jednak wciąż był przy nim. Spoglądał na Toraka, a w jego bursztynowych oczach lśniło czyste, spokojne światło przewodnika. *Nie idź dalej.*

Muszę - odparł Torak.

To jest złe.

Wiem. Ale muszę.

Słońce zeszło niżej i zamknęły się nad nimi gałęzie drzew. Rzeka znikła, ale Torak słyszał pluskanie wody pod ziemią. W końcu jednak i ten odgłos ustąpił.

Tuż za nim zastukał kamień. Kiedy skończył się toczyć, cisza wróciła jak napór czegoś żywego. Ścieżka zakręciła i teraz miał za sobą Góry. Były dziwnie blisko. Ściany doliny zbliżały się i zamykały, odcinając światło dnia. Przed sobą widział ostrokrzewy, które broniły mu dostępu. Tak wysokich w życiu nie oglądał. Zanimi – Torak wiedział to na pewno – był święty gaj,

serce Lasu. W niektórych miejscach trwa echo wydarzeń, inne mają swojego własnego ducha. Torak wyczuł ducha tego miejsca poprzez bezgłośnie pomruki i drżenie w kościach. Wyjął z torby róg z lekami swojej matki. Wytrząsnął na dłoń trochę suchej, czerwonej glinki i pomalował sobie policzki i czoło. Wydawało mu się, że róg wibruje, tak samo jak szpik w jego kościach.

Wilk dotknął nosem jego dłoni. Uszy położył płasko. Nie był już jego przewodnikiem. Był wilczym bratem, teraz wyraźnie przestraszonym.

Torak ukląkł i delikatnie dmuchnął mu w pysk, czując łaskotanie wąsów i oddech jego słodkiego, czystego zapachu. Nie mógł pozwolić Wilkowi na dalszą drogę. To zbyt niebezpieczne. Musi to zrobić sam. Wiedział, że zamiesza mu w głowie, ale kazał Wilkowi odejść.

Wilk odmówił.

Torak powtórzył polecenie.

Wilk biegał w kółko. *Nie wolno ci polować na Ugryzionego!*

Idź – powtórzył Torak.

Wilk dotknął go łapą w kolano. *Niebezpieczeństwo! Hau!*

Torak postanowił być stanowczy. *Idź już!*

Wilk pisnął niespokojnie i popędził do Lasu.

Teraz więc jesteś sam, pomyślał Torak. Poczucił chłód nocy wypełzający z ziemi. Wstał i ruszył w ciemność kryjącą się pod

drzewami.

Kiedy Wilk biegł w górę zbocza, strach w jego sercu mieszał się z niepokojem. To było przerażające miejsce. Ostrokrzew szeptał ostrzeżenia, których Wilk nie rozumiał. Krzew był bardzo stary i nie chciał go tutaj.

Wilk dobiegł do grani ponad szepcącymi drzewami i zatrzymał się nagle. Wiatr przywiał gmatwaninę zapachów. Czuł Jasną-Bestię-która-Kąsa-Gorąco i Ugryzionego, czuł smród demona. Czuł strach wilczego brata i jego żądzę krwi. To nie było polowanie z głodu, to coś głębszego, straszniejszego. To nie wilcze. Wilk nie rozumiał tego, ale się bał. Lękał się też o Wysokiego Bezogona, bo czuł w futrze, że jeżeli Wysoki Bezogon zaatakuje Ugryzionego, zginie.

Ugryziony jest silniejszy od niedźwiedzia. Nawet Jasna Bestia nie odważyła się go zaatakować. A co może zrobić samotny wilk?

Zmartwiony Wilk jęcząc, dreptał tam i z powrotem po grani. Poczuł pod łapami delikatne impulsy trzęsącej się ziemi. Nastawił uszu. Skoczył na szczyt grani, a później na powalone drzewo. Złapał zapach wielkiej zwierzyny łownej, która była jak tury – ale turem nie była.

Poczuł zapach stada tych nie-turów pasących się w sąsiedniej dolinie. To ogromne, ale łagodne stworzenia, chociaż potrafiły się strasznie zdenerwować. Nie znosiły, gdy coś je ścigało, tego Wilk dowiedział się poprzedniej Ciemności.

Skoczył na ziemię i popędził poszukać tych dziwnych zwierząt.

Ostrokrzew pachniał kurzem i pajakami. Czujność rośliny niemal fizycznie dotykała Toraka, tracił oddech, czuł, że coś mu wysysa powietrze z płuc, tak jak wiatr wyciąga dym z szałasów.

W końcu ostrokrzew się przerzedził i pomiędzy wysokimi, czarnymi, prostymi pniami zobaczył czerwoną poświatę ogniska. Wyciągnął nóż. Podszedł bliżej i usłyszał trzask gałęzi w płomieniach. W nozdrza uderzył go smród przypalanego mięsa.

Dotarł do ostatniego drzewa i zrobił krok. Kora ostrokrzewu była zimna w dotyku, podobna do kruchej skały.

Święty gaj zalewało błękitne światło księżyca, ze wszystkich stron ocieniały go połamane grzbiety Gór. Na kamienistej ziemi dymił krąg rozgarniętych czerwonych węgielków. Tuż za nim, w chmurze dymu, stały obok siebie dwa olbrzymie drzewa, których górne gałęzie były splecione jak dłonie.

Wielki Dąb wyrastał ku niebu, wiecznie walcząc o byt. Jego potężny pień był pobrużdżony jak zamarznęta, dzika rzeka i w przyćmionym świetle Torak zobaczył wpatrujące się w niego niechętnie pomarszczone twarze kory. Gałązki palców dębu były bezlistne; załączki liści zżarły demony. Z niektórych gałęzi zwisały niewielkie pakuneczki. Torak nie widział, co to jest. Bał się dowiedzieć.

Wielki Cis był tak stary, że trudno sobie wyobrazić, ile miał wiosen. Torak wiedział to, bo chodził w jego głębokich, zielonych duszach. Poskręcane członki, smagane wiatrem i deszczem, wyglądały jak srebrzyste kawałki drzewa, które przynosi morze, ale pod korą pulsowała złota żywica. Jego nigdy niezasypiające gałęzie przeżyły powodzie i pożary, burze z błyskawicami i

susze. Korzenie drzewa były twardsze niż kamień i przytrzymały całe Góry. Olbrzymi Cis nie bał się niczego, nawet demonów.

Znikąd pojawił się podmuch wiatru, rozwiął dym i ożywił czerwone węgielki, które buchnęły płomieniem. Torak zobaczył, że ktoś wbił w serce ogniska kij, z którego zwisał osmalony, chudy szkielet.

Zrobiło mu się niedobrze. Teraz rozumiał, co powiewa na wietrze i zwisa z Wielkiego Dębu. Niedojedzone szkielety. Zbyt małe, żeby były szkieletami ludzkimi, zbyt spalone, żeby je rozpoznać. Zamordować łowcę. Przypomniawszy sobie straszliwe ofiary Pożeraczy Dusz, składane w jaskiniach Dalekiej Północy.

Przypomniawszy sobie Fin-Kedinna, opowiadającego mu o ponurych czasach dawno, dawno temu, kiedy klany zabijały łowców, również ludzi.

To jest złe, pomyślał. Czuł zło w powietrzu – zgniłą, dławiącą w gardle chorobę, która paraliżuje serce Lasu.

Dłoń Toraka, zaciśnięta na pochwie noża, była śliska od potu. Teraz nie ma już odwrotu. Musi opuścić kryjówkę w ostrokrzewie i odnaleźć Thiazzięgo.

Już miał zrobić pierwszy krok, kiedy jedna ze skał za ogniskiem wstała, rozłożyła ramiona i zamieniła się w człowieka.

Rozdział 17

Czarownik wyglądał, jakby się wyłaniał z samych korzeni

świętego gaju. Miał na sobie płaszcz z miękkiej, wyprawionej końskiej skóry i długą rzeźbioną maskę, ozdobioną grzywą końskich ogonów. Malowane oczy maski lśniły szkarłatem, a jej otwarte usta były otoczone czarnymi piórami, poruszającymi się z każdym oddechem.

Oddech ducha – powiedziała kiedyś Renn. Maską jest twarzą ducha. Kiedy włożysz maskę, stajesz się duchem. Po ruchu piór widać, że duch żyje.

Maska i płaszcz wskazywały, że jest Czarownikiem klanu Leśnego Konia, ale na piersiach miał naszyjnik zrobiony z żółędzi i jemioli, symboli jego prawdziwego klanu. Z jego szyi zwisał też niewielki, ciężki woreczek. Opal ognia.

Z tyłu, za świętym drzewem, Torak niezgrabnie chował nóż do pochwy. Będzie bezużyteczny w obliczu takiej mocy. Zdjął z ramienia łuk i niezdarne szukał w kołczanie strzały. Serce waliło mu tak mocno, że aż bolało. Czuł się jak mysz, która ma zaatakować tura.

Stojący przed ogniskiem Czarownik zaczął dyszeć i wypuszczać z piersi krótkimi sapaniami silne strumienie powietrza. Podeszedł bliżej ognia. Wszedł w sam środek ognia. Przez drżące od gorąca powietrze Torak obserwował jego nagie stopy, które chodziły po rozżarzonych do czerwoności węglach. *Niemożliwe*, pomyślał. Czarownik zaczął szybciej oddychać i zerwał osmalony szkielet z rusztu, po czym wrócił na zwykły grunt. Torak czuł, że kręci mu się w głowie. Jeżeli nawet ogień nie potrafi mu zrobić krzywdy... On nie był w stanie. Nie może się tego podjąć.

Przyglądał się, jak Czarownik podnosi sosnę, która upadła na ziemię, jak gdyby to była gałązka, i ustawia ją, opierając o Wielki Dąb. W sośnie były zagłębienia na stopy. Czarownik wszedł na górę i zawiesił osmalony szkielet na gałęzi. Zszedł na dół, wziął worek spomiędzy korzeni Wielkiego Dębu i wyciągnął z niego jastrzębia.

Torak czuł, że wszystko przewraca mu się w żołądku. Jastrząb był żywy. Dziko trzepotał skrzydłami, kiedy Czarownik przywiązywał go do wysoko ustawionego nad ogniem rusztu.

Znów zaczął krótko, mocno dyszeć. Teraz, kiedy podnosił ruszt wyżej, płaszcz spadł mu z ramion i Torak zobaczył dłoń o trzech palcach i tatuaż klanu Dębu. Skóra była pokryta wściekłymi wybroczynami. Torak pomyślał o Bale'u, zaciskającym palce na napastniku, kiedy walczył o życie. Jego dusze nagle zmężniały. Nadszedł czas wypełnić słowa przysięgi.

Wytarł dłonie w spodnie i założył strzałę na cięciwę łuku. Wyjdzie zza drzewa i ujawni się. Krzyknie, żeby przeciwnik stanął do walki, da Thiazziemmu szansę sięgnąć po broń. I wtedy...

Pożeracz Dusz przeniósł i włożył trzepoczącego skrzydłami jastrzębia do ognia, umocował ruszt i odszedł.

Torak nie mógł tego znieść. Wycelował i wypuścił strzałę. Jastrząb zwisał teraz martwy, strzała drżała, zatopiona w jego piersi.

Czarownik powoli zdjął maskę i położył ją na ziemi. Odwrócił się i Torak w końcu go zobaczył. Zmierzwił włosy, gęsta broda. Twarz twarda, jak popękana od słońca ziemia. Bezlitosne,

zielone oczy.

–A więc, Chodzący z Duchami. Posłuchałeś moich rozkazów i przyszedłeś.

Torak wyszedł zza drzewa.

–Chwytaj za broń, Thiazzi. Zabiłeś mojego krewniaka. Teraz ja zabiję ciebie.

Rozdział 18

Torak stanął twarzą w twarz z Thiazzim, dzieliła ich odległość dziesięciu kroków, między nimi był tylko unoszący się ku niebu dym.

–Tym razem mi nie uciekniesz – powiedział, zakładając kolejną strzałę na cięciwę łuku.

Czarownik Dębu odrzucił głowę do tyłu i zaśmiał się głośno.

–*Ja mam przed Tobą uciekać?* Jesteś tu, bo to ja cię przywołałem! – Zrzucił płaszcz z ramion, w jednej ręce miał bicz, a w drugiej topór. Bicz był zwinięty jak żmija. Topora tej wielkości Torak jeszcze w życiu nie widział. – Zastanawiałem się, kto ma czelność śledzić mnie od samych Wysp – powiedział Thiazzi, przecinając powietrze dłonią – więc wysłałem posłańca, żeby to sprawdził. Od chwili, kiedy weszliście do mojego Lasu, widzę każdy wasz krok, słyszę każdy oddech. I tu wszystko się kończy.

–To nie będzie takie łatwe – powiedział Torak, przesuwając się na bok i okrążając ognisko. – Mogłem cię zabić w Dalekiej Północy. Pamiętasz?

Wystarczył strzał z bicza, by Torak stracił łuk.

–Moja moc jest większa niż twoja! – Thiazzi splunął, rzucając łuk w płomienie. – Widzisz? Nawet ogień jest mi posłuszny!

Torak przez chwilę nic nie widział, bo wszystko zasłonił mu dym. Gdy dym zniknął, Thiazzi stał dwa kroki od chłopca.

–Ale Duch Świata dostarczył mi ciebie jak na tacy – mówił dalej Czarownik Dębu – a zatem dodam twoją moc do swojej.

Wyciągając toporek z za pasa, Torak znów stanął po drugiej stronie ogniska.

–Jak to możliwe, że Duch Świata jest po twojej stronie? Zabijasz łowców? To chyba nie powinno sprawiać przyjemności Duchowi?

–Złożyć łowcę w ofierze ogniu to dać mu najszlachetniejszą śmierć. Oto prawdziwa Droga.

Znów strzał z bicza, Torak uchylił się i surowa skóra uderzyła w kamień.

–Tak nie postępują klany – dyszał. – A to nie jest twój Las.

–Jam jest mistrz! – dudnił głos Thiazziego. – Przejąłem na własność Głęboki Las! – Toczył pianę z ust, a jego zielone oczy połyskiwały.

Torak stał i patrzył na niego, a wszystkie kawałki układanki wskoczyły nagle na swoje miejsce.

–Wojna między klanami. Ty ją rozpętałeś. Ty napuszczasz

jednych na drugich.

W zmierzwionej gęstwinie brody błysnęły pożółkłe zęby.

–Ty poustawiałeś kije zakłęb – powiedział Torak, cofając się i niemal potykając o gałąź. – Ty zamordowałeś Czarownika klanu Leśnego Konia i oskarżyłeś o to klan Tura. Ty ich ze sobą skłóciłeś, dlatego walczą.

–Chcieli walczyć. *Potrzebowali* walki!

Uderzenie bicia zostało wymierzone w nadgarstek Toraka, który z okrzykiem bólu upuścił topór. Skoczył, żeby go podnieść, ale Thiazzi był szybszy, chwycił topór i wrzucił go do ognia.

–Klany są *słabe* - warknął. – Zapomniały, jak wygląda Prawdziwa Droga, ale *ja* je zjednoczę. Dlatego właśnie Duch Świata dał mi te ziemie – żeby wykorzenić różnice, żeby klany wróciły na jedną Drogę! Nie będzie już opiekunów klanów, nie będzie Czarowników. Jedna Droga. Jeden Las. Jeden Przywódca!

Ocierając pot z powiek, Torak wyciągnął nóż z pochwy.

Znów zobaczył przeblysk żółtawych zębów Thiazziego.

- *Mnie nie można zranić!* – Wskazał palcem jemiotę na swojej piersi. – Nigdy nie umierające serce dębu chroni mnie przed krzywdą! Jestem niezwyciężony!

Nóż zadrżał Torakowi w dłoni.

–Ale chodź – szydził Czarownik Dębu. – Spróbuj szczęścia. Zobaczymy, czy potrafisz mnie złamać. Albo może ja złamię

ciebie, tak łatwo, jak twojego ojca i matkę!

Czerwona mgła zmąciła Torakowi wzrok. Zobaczył przeciwnika przez zasłonę krwi.

–...jak złamałem twojego krewniaka – przechwalał się Czarownik Dębu. – Jak zrzuciłem go z urwiska, tak że jego mózg rozprysnął się na skałach...

Torak ryknął i rzucił się na Thiazzięgo.

Wilk podchodził do nie-turów z wiatrem, czego w innej sytuacji nigdy by nie zrobił. Tym razem *chciał*, żeby go zwietrzyły.

Krowa złapała jego zapach i okręciła się, żeby popatrzeć. Wilk opuścił łeb, by jej zasygnalizować, że poluje. Krowa nerwowo prychnęła i wierzgnęła kopytem w ziemię. Wilk ruszył. Krowa zaatakowała. Wilk z łatwością się uchylił i pobiegł dalej, by zdenerwować byka. Byk odwrócił się i ruszył na niego. Wilk uskoczył, mało co nie zahaczając o jego rogi, i odbiegł kilka kroków. Podobała mu się ta zabawa. Teraz całe stado było zdenerwowane. Zwierzęta przestały żuć wierzbnicę i ruszyły w górę zbocza. Wilk gonił za grupką młodych cieląt, które sapaly i pokazywały mu białka oczu. Wybrał to, które było najbliżej brzegu stada, i ugryzł je w udo. Zwierzę wydało wysoki odgłos, uniosło ogon i uciekło. Reszta podążyła za nim w panice.

Biegły aż do grani, Wilk gonił za nimi, zataczając pętle z obu stron, żeby myślały, że poluje na nie stado głodnych wilków. Spadały kamienie, łamały się gałęzie, kiedy stado w tłumulcie przebiegało przez następną dolinę w dół, w kierunku Wysokiego Bezogona i Ugryzionego.

Ziemia się trzęsła, kiedy Wilk je zaganiał, serce biło mu mocno z radości. *To właśnie* potrafi zrobić jeden samotny wilk!

Rozdział 19

Początkowo Torak myślał, że to lawina kamieni. Ziemia trzęsła się, jakby waliły się całe Góry. Zastygł w bezruchu, wciąż trzymając nóż w dłoni. Przetaczający się odgłos lawiny narastał i po chwili przeobraził się w ogłuszający ryk. Do zagajnika wpadł rozpędzony bizon. Torak odwrócił się i ruszył pędem, próbując ratować swe życie.

Dotarł do ostrokrzewu, skoczył ku najniższej gałęzi i podciągnął się do góry. Gaj utonął we wzburzonej rzece kopyt i rogów.

Bizony tratowały gaj jak kamienna lawina, a Torak trzymał się ze wszystkich sił drżącego pnia drzewa. Czuł setki uderzeń. To chyba nigdy się nie skończy. A jednak wreszcie skończyło się. Cisza, która zapanowała, była ogłuszająca. W powietrzu wisiał słup dymu i kurzu, wszędzie roznosił się ciężki zapach sierści i potu bizonów. Nad wszystkim nieporuszenie górowały Wielki Dąb i Wielki Cis – ich gałęzie wbijały się w nocne niebo.

Kiedy kurz opadł, Torak zobaczył iskry ze stratowanego ogniska, rozrzucone po ziemi jak gwiazdy na nieboskłonie. Zeskoczył na dół i pobiegł sprawdzić święty gaj. Thiazzi go nie było.

Torak potykał się w ciemności, nie wierząc temu, co widzi, przeszukiwał skaliste zbocza. Nic. Tratujące wszystko kopyta starły z powierzchni ziemi ostatnią nadzieję na jakikolwiek trop. Thiazzi znikł, jakby się rozplynął wraz z dymem.

–Nie! – krzyknął Torak. Po chwili echo zamarło. Małe kamyczki spadały, postukując jak akord kamiennego śmiechu.

Opadł bez sił na głaz. Stracił ostatnią szansę zemsty.

Z ciemności wyłonił się Wilk i w geście życzliwej zaczepki uderzył go głową. Futro miał pełne dębowych listków, uszy postawione radośnie. Torak nie wiedział dlaczego.

Dużo zwierzyny łownej – powiedział Wilkowi zmęczony. One by mnie stratowały. Dobrze, że ciebie tu nie było.

Ku zaskoczeniu Toraka, Wilk opuścił uszy, ziewnął zawstydzony, a później przetoczył się na plecy, mówiąc, że mu przykro.

Torak spytał go, czy Ugryziony jest blisko.

Nie ma go - tylko tyle Wilk mógł powiedzieć.

Torak potarł dłonią policzki. Niczego nie osiągnął. Teraz może tylko wrócić, powłóczyć nogami, do obozowiska Czerwonych Jeleni i spróbować ich przekonać, że Czarownik klanu Leśnego Konia to tak naprawdę Thiazzi. I zacząć wszystko od nowa.

Nagle poczuł się straszliwie zmęczony. Brakowało mu Renn. Będzie wściekła, że ją zostawił, ale nieważne, co powie, bo z pewnością to i tak nie będzie gorsze od tego, co sam sobie teraz mówił.

Kiedy zachodził księżyc, Torak doszedł do krańca Doliny Koni i nie potrafił już zrobić ani kroku dalej. Znalazł drzewo, które upadło na ziemię tuż przy brzegu Rzeki Wiatrów, i sklecił prowizoryczny szałas z gałęzi i przegniłych krzewów. Zostawił

śpiwór w obozowisku klanu Czerwonego Jelenia, ale był zbyt zmęczony, by się tym przejmować; przywlecze jeszcze trochę gałęzi i liści, i tak się zdrzemnie. Przeżuł kęs suszonego końskiego mięsa, zostawił kawałeczek na drzewie dla Lasu, owinął się płaszczem utkanym z łodyg pokrzywy i zasnął.

Tym razem wie, że śni. Leży na plecach w szałasie, ale nad sobą widzi niebo z mgławicami gwiazd. Jest zlany potem ze strachu, ale nie może się ruszyć. Cień gęstnieje i coś się nad nim pochyla. Mokre włosy omiatają mu twarz. Słyszy delikatny dźwięk przegniłej foczej skóry. Jego ciało kurczy się pod lodowatym oddechem.

Czuję się samotny na dnie morza; ryby zjadają moje ciało. Matka Morze przetacza moje kości po dnie. Jest zimno. Tak zimno.

Torak próbuje coś powiedzieć. Usta odmawiają mu posłuszeństwa.

Dlaczego nie przyszedłeś do mnie na urwisko Crag? Czuję się samotny, czekałem na ciebie. Teraz czuję się jeszcze bardziej samotny. Jest mi tak zimno...

Torak obudził się zdezorientowany.

Świt jeszcze nie nadszedł. Długo nie pospał. Wilka nie było, a Rip i Rek chodziły sztywnym krokiem wokół jego skromnego szałasu, kracząc: *Obudź się, obudź się!*

Torak przetarł oczy dłońmi.

–Przykro mi, bracie. Straciłem szansę. Ale jeżeli go znów odnajdę, przyrzekam, pomszczę cię.

Kruki będą pilnowały Wysokiego Bezogona, a Wilk daleko nie odbiegnie. Nie mógł jednak nie zważyć na to wycie.

Usłyszał je przez sen. Ciemnofutra zeszła z Góry, próbowała go odnaleźć! I wtedy zbudził się rozczarowany. Ona była w *innym* Teraz, nie w tym.

A jednak znów ją słyszał. Głos był słaby i dobiegał z daleka, ale to była ona. Jej wycie pozna wszędzie.

Dysząc z niecierpliwości, biegł długimi susami przez Las. Kiedy nastąpiło Światło, przeskoczył przez małe Szybkie Mokre, a później znalazł bród przez większe. Wysoki Bezogon da sobie radę, są z nim kruki. A Wilk na długo nie odchodzi.

Kruki przefruwały z drzewa na drzewo, stroszyły pióra na głowach i wydawały krótkie, gardłowe dźwięki ostrzegawcze.

Ostrzegają, ale przed czym? – zastanawiał się Torak.

Wstawał nowy dzień, kiedy opuszczał brzegi Rzeki Wiatrów i szedł na północ, w kierunku obozowiska klanu Czerwonego Jelenia. Wiatr się wzmagał, drzewa jęczały. Było mu coraz ciężiej na sercu – coś dusiło go w piersiach tak, że trudno mu było oddychać.

Inne stworzenia też to czuły. Ptaki uciekały, przecinając niebo – dudki, sroki, kruki. Nieopodal przebiegały renifery, nawet nie zmieniając kierunku, żeby ominąć Toraka, jak gdyby uciekały

przed znacznie większym zagrożeniem. Chłopak pomyślał o Renn i przyspieszył kroku.

Zobaczył przed sobą postać wyłaniającą się zza jarzębiny i rozpoznał w niej kobietę z klanu Czerwonego Jelenia, której włosy były spięte paskiem kory. Zawahała się, później przemogła wstyd i podbiegła do niego.

–W końcu jesteś! – powiedziała z niepewnym uśmiechem. –
Wszędzie cię szukamy!

–Co się stało? – spytał opryskliwie. – Z Renn wszystko w porządku?

–Jest bezpieczna z resztą klanu, martwiliśmy się o ciebie. Nie wiedzieliśmy, dokąd poszedłeś. Ruszyli wzdłuż ścieżki. Kobieta zostawała trochę w tyle, Torak biegł naprzód. W oddali rozbrzmiewał pomruk grzmotu. Pierwsze krople deszczu spadały na liście, więc założył kaptur. Coś chwyciło go za kostkę i wyrwało w powietrze.

Ziemia uciekła mu spod nóg. Poczuł zawrót głowy, a po chwili zdał sobie sprawę, że wisi uczepiony nogą gałęzi jarzębiny, która chwilę przedtem była zgięta wpół.

Ty głupcze – ganił się. Zwykła pułapka, a ty włazisz prosto na nią!

Nie znalazł noża w pochwie, bo ten wypadł w trakcie krótkiego lotu i leżał teraz w kępcie komosy, poza jego zasięgiem. Wściekły krzyczał na kobietę, żeby przyszła i go odcięła.

Pojawiła się na ścieżce, biegnąc.

– Jesteś w pułapce – powiedziała.

– No oczywiście! – rzucił. – Odetnij mnie. Ręce zwiesiła luźno po bokach.

Czy ona kompletnie oszalała? Warcząc ze złości, Torak spróbował chwycić za linę, która mocno ścisnęła go za kostkę. Nie zdołał i znów zawisł w powietrzu, krzycząc.

- *Odetnij mnie!*

– Nie – odparła kobieta.

- *Co takiego?* - Lina zatrzeszczała. Na liście spadały coraz większe krople deszczu.

Ale to nie deszcz, teraz zdał sobie z tego sprawę. To popiół. Płatki popiołu kręcące się w powietrzu, jak brudny śnieg. I ta jaskrawość na niebie, nie w tym miejscu, bo z tej strony nie nadchodzi świt. Nie ze wschodu, ale z zachodu.

– Pożar – powiedział. – Pali się Las.

– Tak – powiedziała kobieta głosem zupełnie innym niż dotąd.

Wisząc do góry nogami, Torak zobaczył, jak ściąga korę okalającą jej głowę i rozrzuca luźno długie włosy koloru popiołu.

– Ogień się wymknął. Uciekł – powiedziała. – Zjada Las. Wybraniec go uwolnił.

Rozdział 20

Torak zwisał z drzewa jak ryba na haczyku, podczas gdy niebo pociemniało i przyjęło pomarańczową barwę wściekłego przedświt, która tym razem nie miała nic wspólnego ze słońcem.

–Nie możesz mnie tu zostawić, żebym spłonął! – krzyknął.

–Jesteś niedowiarkiem – powiedziała kobieta. – Jesteś przeznaczony na ofiarę ognia.

–Co takiego? Co ja zrobiłem? – Zgiął się wpół, sięgnął rękoma ku linie i chwycił najbliższą gałąź. Pękła. Spadł w dół i poczuł, że coś zabolalo go w nodze. – *Co ja zrobiłem?*

Kobieta przykucnęła i patrzyła na niego z ukosa. Skóra jej twarzy była pokryta bąblami, złuszczone, a w oczach bez rzęs Torak dostrzegł przebiegłość pomieszana z szaleństwem.

–Wybraniec go obserwuje – syknęła. – Ona widzi, jak on roznieca ogień kamieniem, widzi, jak go plugawi. Ona wie.

–Czego ty *chcesz?*

Kobieta oblizala spękane usta, a Torak zobaczył w ich kącikach popiół.

–Chcę służyć Mistrzowi, dzięki niemu poznać raz jeszcze, czym jest ogień. Czerwień tak czysta, że wszystko przy niej szarzeje...

–Ale Mistrz chce *rządzić* Lasem – Torak ciężko dyszał. – Nie pragnie przecież, żebyś go zniszczyła!

Uśmiechnęła się.

–Mistrz mówi, żeby przyglądać się bacznie niedowiarkowi, a Wybraniec zrobi więcej, Wybraniec poświęci go w ogniu.

–Czekaj – powiedział, chcąc choć trochę zyskać na czasie. – czy to... czy to Mistrz uczynił cię Wybrańcem?

Jej twarz zapłonęła się jak węgielki w ognisku.

–To ogień – szepnęła. – Jak grom z jasnego nieba, piorun w nią uderzył. Bez grzmotu, bez ostrzeżenia. Tylko rozświetlona jasność, jaśniejsza niż słońce – a ona była w samym środku. – Przybliżyła się, a Torak czuł jej kwaśny oddech. – W tamtej chwili ona widzi *wszystko*.

Kości w swoim ciele, żyłki w liściach, ogień, który śpi w każdym drzewie. Ona widzi prawdę. *Wszystko płonie*.

Ryk szalejącego ognia był coraz bliżej. Między drzewami pojawił się dym.

–Ale ocalałaś – powiedział. – Błyskawica pozwoliła ci żyć. Powinnaś i mnie pozwolić żyć. Odetnij mnie!

Zatracała się w swojej opowieści.

–Ogień zabrał ze sobą jej syna. Zamienił jej włosy w popiół. Wydarł jej dziecko z łona. *Zmienił ją...* – Jej płonące palce pogładziły go po policzku, uśmiech kobiety był niebezpiecznie spokojny i bezlitosny. – Ciebie również zmieni.

Torak pomyślał o zwęglonych ofiarach Thiazziego, zwisających z

gałęzi drzewa.

–Nie możesz mnie tutaj zostawić, żebym spłonął

–mówił błagalnym tonem.

–Posłuchaj, jak rośnie! – Uniosła ramiona, żeby oddać cześć ogniu. – Im więcej je, tym bardziej jest głodny! Dostałeś honoru. Ogień zabierze cię ze sobą.

–I już jej nie było.

–Nie zostawiaj mnie! – krzyknął Torak. – Nie zostawiaj mnie tutaj!
– błagał.

Strzęp płonącej kory spadł na ziemię tuż obok jego głowy, a drzewa wkoło niego zaczęły trzeszczeć w oddechu nadchodzącego pożaru. Kolor nieba zmienił się i teraz był rubinowożółty. Torak widział pożar zbliżający się do niego od zachodu. Przypomniawszy sobie, co mówił Fin-Kedinn. *Potrafi skakać z drzewa na drzewo szybciej niż ryś, a kiedy skoczy – kiedy dopadnie gałęzi – wtedy biegnie, gdzie chce. Nie uwierzysz, jaki potrafi być szybki...*

Jasna Bestia z rykiem szalała, ogarniając Las, biegła szybciej, niż to się Wilkowi mieściło w głowie. Zżerała wszystko – drzewa, łowców, zwierzynę. Gdzie jest Wysoki Bezogon?

Wilk nie powinien był go tak zostawiać. Nie znalazł Ciemnofutrej, a teraz nie potrafił odnaleźć swojego wilczego brata.

Nie zważając na nic, skoczył wprost w gorzki oddech Jasnej Bestii. Ogarnięta paniką zwierzyna łowna przebiegała obok niego

stadami, ziemia się trzęsła, wszystko uciekało w przeciwnym kierunku, a Wilk uskakiwał przed traturującymi wszystko kopytami. Przebrnął przez małe Szybkie Mokre. Wbiegł do rowu, a Jasna Bestia unosiła się z rykiem nad nim, potężna jak Góra. Sierść mu wyschła, oczy szczypały. Nie mógł pójść dalej, nie mógł poszukać wilczego brata w szczękach Jasnej Bestii. Zżerała wszystko, gdyby go złapała, jego też by pochłonęła.

Odwrócił się i ruszył z powrotem, a Jasna Bestia puściła się za nim w pogoń. Chciała go zagarnąć błyszczącym szponem. Wilk uskoczył, żeby uniknąć ciosu. Szpon uderzył w drzewo i zjadł je za jednym zamachem. Kolejne młode drzewko jęknęło – Wilk uskoczył spod niego na moment, zanim uderzyło o ziemię, a wilczęta Jasnej Bestii przeskakiwały przez powietrze i zżerały kolejne drzewa.

Gorące kamienie kęsały Wilka w poduszki łap, a on biegł tak, jak nigdy przedtem, podczas gdy Jasna Bestia dyszała mu w kark. Leciała, przeskakiwała z drzewa na drzewo, z rykiem przefrunęła przez Mokre. Zżerała Las. Nic przed nią nie ucieknie.

Sapiąc z wysiłku, Torak podciągnął się w górę i raz jeszcze próbował uchwycić gałęzie jarzębiny. Otarł się palcami o korę, ale nie mógł jej złapać. I znów spadł.

Spróbował ponownie. Tym razem udało mu się złapać gałąź. Trzymał się, nie puszczał. To się musi udać. Jeżeli się nie uda, jest skończony.

Strząsnął but z uwolnionej stopy, uderzył nią o korę drzewa i ni to kopiąc, ni to podciągając się nogą, położył się wreszcie na rozwidleniu konaru. Leżał, dysząc, drzewo wbijało mu się w

brzuch. W końcu jest wyprostowany. Nie ma czasu na odpoczynek. Wił się i kręcił, aż udało mu się kucnąć w rozwidleniu drzewa. Był wsparty na prawej stopie. Jego lewa noga, przywiązana do wyższej części pnia, dziwacznie wystawała.

Kawałki płonącej kory uderzały o ziemię jak rozpalony grad. Torak próbował poluzować pętlę, ale jego ciężar zacisnął linkę wokół kostki tak mocno, że nie chciała puścić. Wściekle rozplątywał węzeł. Prawa łydka drżała z napięcia, bo cały czas kuczał na jednej nodze.

Pętla trochę popuściła. Rozplątywał dalej. Puściła jeszcze bardziej. Więcej już nie było trzeba. Ciągnąc i skręcając linkę, wyrwał stopę z buta, uwolnił się z pętli i zeskoczył na ziemię.

Po chwili gorączkowych poszukiwań znalazł w poszyciu nóż i stanął na nogi. Z oczu lały mu się łzy, skóra paliła od gorąca. Dym zamienił dzień w noc.

Obok niego przebiegł młody jelonek. Torak zgadł, że zmierza ku mokradłom i pobiegł za nim. Igły i szyszki kłuły go w stopy. Był boso. Nie miał już czasu, by wracać po buty.

Biegnąc, oglądał się za siebie. Płomienie wyższe niż drzewa sięgały ku niebu. Takiego hałasu nie słyszał jeszcze nigdy w życiu, huk, jak tętent kopyt tysięcy, setek tysięcy rozszalałych bizonów, chwycił go za serce i wyciskał je do sucha, wysysał powietrze z płuc.

Opadł na kolana, żeby odetchnąć czystszy powietrzem, ale kiedy się wyprostował, dym był tak gęsty, że chłopak nie widział

dłoni przed swoją twarzą. Nie wiedział, gdzie jest, ale rozumiał jedno, że teraz, w tym momencie musi postanowić, w którą stronę się skierować, w przeciwnym razie umrze.

Nagle usłyszał krakanie!

Nie widział kruków, ale słyszał, jak go wołają, lecąc wysoko nad dymem. W ciemno poszedł za ich głosem. Płonące gałęzie spadały na ziemię jak deszcz. Biegł w oddechu ognia, wokół niego drzewa jęczały i trzaskały, łamane na pół.

Raz jeszcze spojrzął za siebie. Rzeka ognia rozpruła sosnę, która eksplodowała w deszczu iskier. Leśna pardwa pofrunęła ku niebu, a po chwili spadła, wessana ku śmierci płonącym wiatrem.

Kra! Kra! – krakały Rip i Rek. *Za nami!*

Nagle ziemia usunęła mu się spod nóg i Torak potoczył się w dół zbocza, obijając się o kamienie.

Zatrzymał się i z trudem uklęknął. Jego dłonie i stopy były zatopione w błocie – chłodnym, mokrym, błogosławionym błocie. Kruki doprowadziły go do jeziora. Przebiegł na płyciznę, rozchlapując wodę, i upadł bez sił na kamień.

Kamień wydał z siebie żłosny pisk. To było źrebię, małe czarne źrebię, zatopione po pas, trzęsące się ze strachu. Zbyt przerażone, żeby się poruszyć, ale Torak nie mógł się zatrzymać, żeby mu pomóc. Sam na wpół tonąc w błocie, ruszył dalej.

Ciemność przed jego oczyma zaczęła wreszcie rzednąć i Torak ujrzał wystające ponad taflę jeziora czarne głowy koni płynących

ku wolności od ognia, a za nimi żeremie bobrów, ogromne jak szalas Kruków.

Znów przerażony głos źrebięcia – jedna z głów na jeziorze odwróciła się. Matka czekała na nie tak długo, jak mogła, ale źrebię nie było w stanie za nią płynąć, więc musiała je opuścić. Teraz niechętnie płynęła ze stadem, zmuszona zostawić młode na pastwę losu.

Tak właśnie Torak powinien postąpić – płynąć ku żeremiu i zostawić źrebaka, żeby spłonął.

Zamiast tego warknął ze złości, odwrócił się, chwycił w dłoń szorstką sierść i pociągnął.

Źrebię uniosło oczy tak, że widać było białka, i nie chciało się ruszyć.

- *Chodź!* – wrzasnął Torak. – *Płyn!* To twoja ostatnia szansa! – To tylko pogorszyło sprawę. Źrebię nie rozumiało ludzkiego języka, ale co Torak miał zrobić? Gdyby powiedział to w wilczej mowie, mały umarłby ze strachu.

Torak stanął za zwierzęciem, wcisnął głowę pod jego brzuch i unióśł je na ramionach. Źrebię trochę się opierało, więc Torak chwycił je za nogi, żeby się uspokoiło, i niepewnym krokiem, kołysząc się, wszedł do jeziora.

Kiedy był już zanurzony do pasa, zrzucił źrebię do wody.

–Teraz radź sobie sam! – krzyknął, próbując przebić głosem huk pożaru. – *Płyn!* – Wskoczył do wody i ruszył w kierunku żeremia.

Dusza imienia patrzyła na niego z wody. W lustrzanej tafli jeziora widział odbicie zbocza, z którego spadł. Zobaczył też żrebie, dzielnie płynące tuż za nim.

Gdy był prawie na skraju żeremia, poczuł, że coraz silniej ogarnia go zmęczenie. Ku niemu płynęły pióropusze czarnego dymu. Nie mógł oddychać. Chciał wejść do żeremia i przeczekać tam, aż pożar przejdzie wokół jeziora, ale teraz zdał sobie sprawę, że jeżeli tak postąpi, udławi się dymem i umrze. Musiał wejść do środka. Żeremie częściowo wystają nad poziom wody, bobry wpływają tam podwodnymi tunelami. Torak wziął głęboki oddech i zanurkował.

Chwytając się gałęzi, szukał wejścia. Czuł, że powietrze rozrywa mu klatkę piersiową. Nie mógł znaleźć tunelu, nic nie widział, to było jak pływanie w błocie.

W końcu odszukał otwór. Przecisnął się przez niego, wyskoczył z wody i uderzył głową o młode drzewko.

W czerwonej poświacie pożaru niewiele widział, ale ryk ognia nie był tu już tak ogłuszający. Poprzez smród dymu wyczuł ciężki zapach bobrów, ale nie widział zwierząt; może ogień odnalazł je na brzegu.

Żeremie bobrów było solidnie zbudowane. Legowisko usiane obgryzionymi kawałkami drewna, czyste i suche, a ponad nim tkwiły luźno utkane gałęzie, tworzące wentylację sięgającą aż do samego szczytu żeremia. Było tam wąsko i nisko, a Torak nie chciał utknąć, postanowił więc zostać w wodzie i tak przeczekać pożar.

Ciężko chwytając powietrze, podziękował Ripowi i Rek, bobrom i Lasowi za schronienie.

–Proszę – dyszał ciężko. – *Proszę*, niech Wilkowi i Renn nic się nie stanie.

Jego słowa rozmyły się w ryku pożaru. W głębi serca czuł, że nie ma już nadziei. Pożar pochłaniał Las. Nic nie ocaleje. Nawet Wilk i Renn.

Rozdział 21

Renn, potykając się, błędziła po wypalonym do nagiej ziemi świecie.

Las zniknął. Po prostu już go nie było. Tułała się wśród zwęglonych pozostałości martwych drzew. Czuła ich zdziwione dusze, unoszące się w brudnym od sadzy powietrzu, była zbyt zdruzgotana, żeby ich żałować. Nawet słońca nie było, połknęło je nieziemskie, szare pół światło, pół ciemność. Czy pożar zabrał cały Las? Wypalił Otwarty Las tak, jak przeszedł pożogą przez Głęboki Las?

Krztusiła się od zaduchu, a odgłos kaszlu odbijał się dziwacznym echem. Gdy odzyskała oddech, jedynym dźwiękiem, który mogła dosłyszeć tu i ówdzie, był trzask dogasających węgli, a niekiedy odgłos łamiącego się i upadającego na ziemię drzewa.

Śmierć – pomyślała. – Śmierć jest wszędzie. Gdzie Torak? Czy żyje? Czy może...

–*Nie*. Tak nie wolno ci myśleć. Jest z Wilkiem. Obaj żyją, żyje też

Fin-Kedinn, Rip i Rek.

Potarła dłonią twarz i poczuła szorstkość sadzy. Cała była nią pokryta. Czuła jej smak na języku. Bolały ją opuchnięte oczy. Połknęła tyle dymu, że było jej niedobrze.

Chciało jej się pić, ale nie miała bukłaka. Tylko toporek, nóż i utkany z włókien roślin kołczan, który dostała od klanu Czerwonego Jelenia, a w nim trzy ostatnie strzały. I oczywiście jej łuk.

Żeby dodać sobie odwagi, zdjęła łuk z ramienia i starta z niego sadzę. Zobaczyła przebłysk złotawego twardego drewna i pomyślała o Fin-Kedinnie, który zrobił go kiedyś dla niej, wiele wiosen temu. Po chwili poczuła się mniej samotna.

Jednak coraz bardziej chciało jej się pić, a znad jeziora wyruszyła dawno temu. Nie miała pojęcia, z której strony przyszła. Gdzie w ogóle jest?

Nie powinna była uciekać z obozowiska Czerwonego Jelenia.

Durraïn wyczuła nadchodzący pożar chyba jeszcze przed modlitwą i cały klan wypłynął na jezioro w kajakach, które były przycumowane do wysepki na samym środku wody. A tam Renn zrobiła to, co oni, zamoczyła ubranie i skuliła się w łodzi.

Nie bała się, nie wtedy. Była zbyt wściekła na Toraka, że tak ją zostawił. Cały dzień niecierpliwego wypytywania. *Dokąd poszedł? Nie wiem. Dokąd poszedł?* – Zdumiewało ją to, że niczego nie podejrzewali, ale chyba myśleli, że to niemożliwe, by ktokolwiek odważył się ruszyć samotnie do świętego gaju. Miałby

za swoje – myślała z wściekłością – gdyby go wydała.

A jednak, leżąc w kołyszącej się łodzi i słysząc potężniejący głos pożaru, który zbliżał się do nich coraz bardziej, zapomniała o gniewie. Jakieś dziecko załkało. Jakaś kobieta szeptała słowa zaklęcia. Renn zacisnęła powieki i modliła się za Toraka i Wilka. Proszę, proszę, niech oni przeżyją.

I wtedy pożar runął na nich, kajak wściekle zakołysał się na wodzie, a ludzie modlili się – już nie po cichu, lecz krzycząc.

Dopiero po chwili Renn zdała sobie sprawę, że pożar przeskoczył jezioro i pognał dalej, nie połykając ich po drodze. Wtedy Duch Świata przekłuł włócznie chmury i zesał na ziemię strugi deszczu. Renn wykorzystwała zamieszanie – niepostrzeżenie wysliznęła się z kajaka i odpłynęła.

Myślała, że Torak ruszył na południe, ale w deszczu i dymie trudno było to określić. Teraz, kiedy wiatr rozpędził mgły, dostrzegła, że stoi w wąskim jarze, przez który kiedyś być może płynął strumień. I zapewne prowadził do rzeki.

Nie zaszła daleko, kiedy trzasnęła za nią jakaś gałąź. Odwróciła się. Martwe drzewa wyglądały jak łowcy, którzy ją tropią.

Jedno z nich poruszyło się.

Natychmiast pobiegła na oślep, przez jar. Pędziła aż do utraty sił, w końcu oparła dłonie na kolanach, walcząc o oddech.

Jar wokół niej był cichy i spokojny. To, co się poruszyło, nie pobiegło za nią. Może rzeczywiście było to tylko drzewo.

Szła, potykając się o dymiące kikuty. Kątem oka dostrzegła coś zielonego. Zamrugła, nie wierząc własnym oczom. Tak, zielonego!

Z jej ust wyrwał się okrzyk niedowierzania. Obeszła wzniesienie i została oślepią nagłą zielenią Lasu. Tuż przed nią wyrastały jarzębina, buczyna i jarzęb, ich gałęzie były trochę pokryte sadzą, ale drzewa żyły.

Z ulgą wypuszczając powietrze z płuc, opadła na kolana i klęczała w paprociach i jaskrach. Tuż przy jej dłoni leżał błękitny jak niebo odprysk skorupki jaja drozda, wypchniętej z gniazda, kiedy pisklę się wykluwało. Na gnijącym drzewie zobaczyła wyrastający załazek świerku, nie wyższy niż jej kciuk, dzielnie pchający się przez mech. Las jest wieczny – pomyślała. Nic go nie zniszczy i nie zwycięży.

Nie było jednak ani śladu rzeki. Wyteżając słuch, żeby usłyszeć szum wody, Renn wędrowała między drzewami.

W końcu zatrzymał ją zagajnik wysokich sosen powalonych przez burzę. Martwe pnie i kręgi korzeni, pełne ziemi i piasku, stanęły jej na drodze. Powinna była wracać, tak się postępuje, kiedy człowiek się zgubi, ale na samą myśl o powrocie na spaloną ziemię robiło jej się słabo.

Sosny nie chciały jej na swoim cmentarzysku. Ich omszałe pnie próbowały ją odrzucić, gałęzie wybijały na boki jak włócznie. Poczwała ulgę, kiedy znalazła się po drugiej stronie, z powrotem między żywymi dębami i lipami.

Te drzewa również jej nie chciały. Patrzyły na nią niechętnie

twarze pobrużdżonej kory, palce gałązek ciągnęły ją za włosy. Niektóre pnie były puste w środku. Wyobraziła sobie, jak by to było dać się w nich zamknąć, i przyspieszyła kroku.

Wiatr tężał, ciskając jej sadzę w twarz. Kaszłała, wciąż się krztusiła, zgięła się w pół i oparła o drzewo.

Pod palcami wyczuła oczy.

Oderwała rękę z krzykiem.

Tak, oczy. Płomienne, czerwone spojrzenie wyrzeźbione w pniu drzewa, pod nim kwadratowe usta, wykończone prawdziwymi ludzkimi zębami.

Renn nigdy w życiu nie widziała czegoś takiego. Zgadywała, że zrobiono to, by dać głos duchowi drzewa. Ale kto dałby drzewu zęby? Niepewnie rozglądała się dookoła. Lipy, pokrzywy, tu i ówdzie rozrzucone głązy. Szła dalej.

Kiedy spojrzała za siebie, dostrzegła, że drzewa się przesunęły. Były znacznie bliżej głązu, Renn dałaby za to głowę. Teraz się rozproszyły.

Pognała przed siebie.

Potknęła się o korzeń i upadła, wprost na inną maskę wyrzeźbioną w pniu drzewa. Ta miała zamknięte oczy i była pokryta rdzawym mchem.

Wstała, dysząc ciężko.

Oczy otworzyły się. Od pnia oderwały się ramiona. Dłonie z kory

sięgały ku Renn. Pisnęła ze strachu i uciekła.

Z lewej strony inne stworzenie z kory oddzieliło się od pnia drzewa. Potem jeszcze jedno i kolejne. Otaczali ją ludzie z kory, sięgali ku niej ramionami o ostrych krawędziach, twarze mieli pobrużdżone głębokimi szramami.

Biegając, czuła, że toporek uderza ją o udo. Wyrwała go zza pasa, ale wiedziała, że nie odważy się go użyć.

Oddech ledwo co wyszarpywał się ze spragnionego gardła. Powoli, jak we śnie, przedzierała się przez stosy suchych liści. Zbiegła zboczem ze wzgórza i trafiła na inne cmentarzysko drzew. Z trudem pokonywała powalone pnie, tymczasem ludzie z kory biegli po nich, jak płomień ognia, polując na nią w dziwacznej ciszy.

Coś chwyciło ją za ramię i pociągnęło do tyłu. Łuk zahaczył o gałąź. Walczyła, żeby go uwolnić. Ręce z kory złapały ją i ściągnęły ku ziemi.

Rozdział 22

Dokąd mnie zabieracie? – spytała Renn.

Ludzie z kory milczeli.

–Dlaczego nie chcecie nic powiedzieć? Co ja wam zrobiłam?

Jeden z nich dźgnął ją włócznią. Już więcej się nie odzywała.

Cały dzień szła otoczona przez milczących drewnianych łowców. Odebrali jej broń, ale jej nie dotykali. Chyba sądzili, że jest

nieczysta.

Na próżno błagała ich o wodę. Nie zwracali na nią uwagi. Powłóczyła nogami, potwornie spragniona, wśród lasu zatrutych włośczeni.

Nie miała pojęcia, gdzie jest. Wielki pożar nie dotknął tej części Lasu, ale odór spalenizny wisiał w powietrzu, więc zgadywała, że spalona ziemia nie może być daleko.

Oprawcy Renn mieli na głowach zielone opaski i nosili amulety z rogu. Domyśliła się, że to łowcy z klanu Tura, ale w myślach nazywała ich ludźmi z kory. Ubrani byli w żółtobrązowe kurtki i spodnie utkane z postrzępionej kory, a w przekłutych uszach mieli zrobione z niej wałeczki. Ogolone głowy były pokryte żółtą gliną, która także miała imitować korę, brody mężczyzn zostały nią oblepione i wyglądały jak wystające korzenie drzew. Było jednak coś, co znacznie odróżniało ich od innych myśliwych z klanu Tura, których widywała podczas spotkań klanowych. Swoje ciała wyrzeźbili tak, aby przypominały drzewa, zniekształcili ręce i twarze szerokimi, kanciastymi bliznami.

Renn niewiele wiedziała o takich brzdach. Niektórzy ludzie z jej własnego klanu, między innymi Fin-Kedinn, mieli na ramionach wycięty w skórze zygzak, którego zadaniem było odpędzenie demonów. Rzeźbienie takich zygzaków wiązało się z dużym bólem. Po nacięciu skóry cienkim krzemieniem wcierano w nią mieszankę popiołu i mchu, po czym rana mocno zarastała. Kiedy Renn pomyślała o tym, że ktoś mógłby tak pokroić jej twarz, poczuła, że robi jej się niedobrze.

Dotarli do następnego strumienia i znów błagała, żeby pozwolili

jej się napić.

Łowcy patrzyli na nią pustymi oczami. *Z Zadnej wody.*

Kiedy w końcu dotarli do obozowiska, już zmierzchało. Renn, wycieńczona pragnieniem, była prawie nieprzytomna.

Obozowisko klanu Tura leżało w dolinie strzeżonej przez czujny świerk. Dymiące świerkowe łuczywa dawały mgliste, pomarańczowe światło, a wydobywający się z nich zapach świeżej żywicy kłuł w oczy. Wokół rosnącego pośrodku obozowiska drzewa rozstawiono szałas z kory brzoźowej. Przed każdym z nich leżał stos drewnianych tarcz, jak gniazdo olbrzymich chrząszczy, przed każdym paliło się ognisko otoczone kamieniami. Z pnia sosny zwisała czaszka tura z rogami.

Pod nią grupa milczących dzieci splatała stosy rozbitych kamieniami korzeni świerku. Wszystkie patrzyły na Renn martwym wzrokiem. Tak jak twarze dorosłych z klanu, twarze dzieci były zniekształcone szramami, na wielu z nich widziała świeże jeszcze blizny z zaschniętą krwią.

Renn nie rzucił się w oczy nikt, kto wyglądałby jak przywódca lub czarownik, ale zauważyła, że nie wszyscy są z klanu Tura. W tym obozowisku mieszkał jeszcze inny klan. Ci ludzie mieli ciemne splecione włosy. Kobiety nosiły po dwa, mężczyźni po jednym warkoczu, ich twarze nie były pokryte bliznami, lecz pomalowane na czerwono farbą z utłuczonej sosnowej kory. Czerwony kolor widziała wszędzie – na ustach, w przedziałkach włosów, nawet na paznokciach. Kobiety nosiły odzienie ze zwykłej wołowej skóry, ale mężczyźni mieli na sobie wspaniałe pasy z czarno-

złotego futra. Klan Rysia.

Niezależnie od tego, czy był to klan Tura, czy Rysia, wszystkie oczy wpatrywały się w nią bez emocji. Nie wiedzieli, co to współczucie. Ludzie, którzy ją pojмали, zbliżali się do ognisk, przysiadali w dymie i okadzali się nim. Wepchnęli tam również Renn, jak gdyby chcieli ją oczyścić, a następnie zaciągnęli ją do sosny i zmusili, żeby uklękała.

Z szataśu wyłoniły się kobiety. Podobnie jak u mężczyzn, na ich twarzach widniały szramy upodabniające skórę do kory drzew, ale ich głowy pokryte gliną dodatkowo ozdabiały maleńkie szyszki olszy. Były ubrane w suknie.

Jedna z nich niosła bukłak z wodą.

–Proszę – powiedziała Renn słabym głosem. – Tak strasznie chce mi się pić.

Kobieta popatrzyła na nią niechętnie. Renn zaczęła słabo bić pięściami o ziemię.

–Proszę!

Zatrzymał się przy niej stary człowiek i chwilę patrzył. Był najbrzydszym, najbardziej zarośniętym i owłosionym starcem, jakiego kiedykolwiek widziała. Chociaż należał do klanu Tura, głowę miał nieogoloną, po prostu wysmarował czuprynę i brodę gliną, która teraz zwisała zaschnięta. Z uszu i nosa wyrastały mu włosy, a brwi były jak związane w pętle rośliny, zwisające nad czarnymi oczodołami.

Stwardniałym palcem szturchną ją w ochraniacz na nadgarstku, zrobiony z zielonego kamienia.

Renn odsunęła się.

Starzec splunął z niechęcią i kołyszącym się krokiem odszedł na drugą stronę.

Z szalasu wyłonił się młodszy mężczyzna. Jego twarz była pokryta siecią blizn.

Renn wskazała palcem na bukłak z wodą.

–Proszę – powtarzała.

Mężczyzna wydał rozkaz gestem dłoni i kobieta postawiła bukłak z wodą przed Renn.

Dziewczyna upadła na niego i piła łapczywie. Niemal natychmiast pulsowanie w głowie ustało, poczuła, jak siły wracają do jej rąk i nóg.

–Dziękuję – powiedziała.

Inna kobieta przyniosła dużą misę z kory, którą postawiła przed łowcami. Renn poczuła przyływ nadziei. Jedzenie pachniało bardzo ładnie. Dzięki temu członkowie klanu Tura wydali jej się bardziej ludzcy.

Kobieta przełożyła trochę jedzenia do mniejszej miski i wstawiła ją w rozgałęzienie sosny jako ofiarę. Następnie nałożyła jeszcze jedną porcję i postawiła przed Renn.

Była to apetycznie wyglądająca potrawka z pokrzyw i mięsa, chyba z wiewiórki, a Renn burczało w żołądku.

Kobieta wsadziła sobie palce w usta i kiwnęła głową. *Jedz.*

Mężczyzna, który pozwolił jej pić, odchrząknął.

–Ty – powiedział do Renn głosem zachrypniętym od długiego milczenia. – Musisz odpocząć. I jeść.

Renn spojrzała najpierw na niego, następnie na misę, a później znów na niego.

Kazali mi jeść – przypomniała sobie słowa Gaupa. Dali mi jedzenie. Później odcięli mi dłoń.

Rozdział 23

Strach to najsamotniejsze uczucie ze wszystkich. Można być wśród tłumu ludzi, ale jeżeli człowiek się boi, jest sam.

Renn czuła, że jest ofiarą, którą przygotowują do złożenia. Kiedy odmówiła jedzenia, zabrano ją do stawu i kazano jej się umyć. W tym czasie kobiety ścierały mchem sadzę z jej ubrań. Gdy zasłaniały ją szuwary, Renn udało się ukryć nóż z bobrzego zęba przywiązany do łydki i gwizdek z kości pardwy, który miała na szyi, ale kiedy oddali jej ubranie, zobaczyła, że odebrali jej pióra opiekuna klanu.

Kiedy wrócili do obozowiska, głód zwyciężył i Renn zmusiła się do zjedzenia porcji potrawy, nadzorowana przez ludzi z obu klanów. Pocięte bliznami dłonie przekazywały dyskretne znaki, a młody człowiek o ustach koloru srebrnego krzemienia ostrzył

toporek i przyglądał się jej nadgarstkom.

Owłosiony starzec siedział ze skrzyżowanymi nogami, prostując stos strzał. Renn patrzyła, jak przeciąga każdą z nich przez rowkowany kawałek rogu. W jej klanie używano tej samej metody. Od czasu do czasu starzec uderzał się pokrzywami w owłosioną łapę, żeby odpędzić chorobę zeszywnienia. Starsi ludzie z klanu Kruka też tak robili.

Przysunęła się do niego.

–Co ze mną robią? – spytała przyciszonym głosem.

Zmarszczył brwi i pochylił się nad strzałami. Spytała, czy jest przywódcą klanu. Pokręcił głową i wskazał grotem strzały na mężczyznę, który kazał dać jej wody.

–Czy ty jesteś Czarownikiem? Znow pokręcił głową.

–Robię najlepsze łuki w Głębokim Lesie – warknął.

–Nie rozmawiaj z nią – ostrzegł młody człowiek z toporkiem. Przytknął otwartą dłoń do ust. – Widzisz? Dałem się złapać i zacząłem rozmawiać! To szpieg klanu Leśnego Konia!

–Nigdy w życiu nie spotkałam żadnego Leśnego Konia – zaprotestowała Renn.

- *Nienawidzimy* ich – odrzekł młody człowiek.

–Ale dlaczego? – spytała. – Przecież wszyscy szanujecie Drogę.

–My lepiej szanujemy Drogę – zaripostował. – Oni posługują się

łukiem, żeby rozniecić ogień. A my kijami. To chyba najlepszy dowód.

–Tylko *my* przestrzegamy *Prawdziwej Drogi* – powiedziała kobieta z głową oblepioną gliną. – Dlatego mamy blizny. Karzemy się na wypadek, gdybyśmy mieli zejść z *Prawdziwej Drogi*.

–Wszystkie inne klany są przewrotne i chytre – stwierdził młody człowiek, posypując piaskiem kamień, którym ostrzył toporek.

Renn pomyślała, że jeżeli uda jej się zmusić ich do mówienia, może nie zrobią jej krzywdy. Spytała go dlaczego.

Popatrzył na nią niechętnie.

–Klany z Gór są przewrotne i chytre, bo kamieniem rozniecają ogień i czczą ducha ognia. *Nie ma* ducha ognia, jest tylko Drzewo. Klany Lodu i Morza są przewrotne i chytre, bo żyją w straszliwych krainach, gdzie w ogóle *nie rosną* drzewa i rozniecają fałszywy ogień z rybiego tłuszczu. Wy w Otwartym Lesie jesteście najgorsi, bo *znaliście* Drogę, ale odwróciliście się od niej.

Kobieta z klanu Tura rzuciła mu pełne wyrzutu spojrzenie.

–Nie rozmawiaj z nią, ona jest zła. Ukradła mi dziecko!

–Nie, to nieprawda – zaprotestowała Renn.

–Nie gadać więcej! – przywódca klanu Tura rzucił rozkaz.

Potem kazali jej siedzieć w kucki w korzeniach sosny. Mężczyźni

patrzyli na nią niechętnie. Jakaś dziewczyna splunęła jej w twarz. Renn już miała sięgnąć po gwizdek z kości pardwy, jednak spostrzegła, że patrzy na nią ten młody człowiek i powstrzymała się przed jakimkolwiek gestem.

W obozowisku znów zapadła cisza, ale migwały ruchliwe dłonie, wyplatając ukryte znaczenia. Renn przypomniała sobie obozowisko klanu Kruka, w którym gaworzyły dzieci, psy węszyły za resztkami, a Fin-Kedinn opowiadał historie przy ognisku. Serce ścisnęło jej się z tęsknoty. Fin-Kedinnie, pomóż mi. Co mam robić?

Wyraźnie, jakby to było dzisiaj, przypomniała sobie mroźny poranek wiele zim temu, kiedy zabrał ją do lasu, by wypróbowali łuk. Nie chciała iść. Jej ojciec właśnie zmarł, pozostałe dzieciaki zmawiały się przeciwko niej; chciała zostać w śpiworze i nie wychodzić z niego do końca życia. Ale to był jej wuj, grzał ręce przy ogniu, czekał na nią.

Kiedy przedzierali się przez śnieg, z ich ust i nosów wydobywały się obłoczki oddechu. Fin-Kedinn znalazł w śniegu tropy i pokazywał jej, jak je odczytywać.

–Kiedy czerwone jelenie wiedzą, że polują na nie wilki, biegną dumnie i wysoko podnoszą kopyta. *Patrz, jaki jestem silny – mówią wilkom. Nie atakujcie mnie, bo potrafię się bronić.* - Spojrzał na nią swoimi błękitnymi oczami. Nie mówił wtedy tylko o jeleniach.

Renn chwyciła mocno dłońmi powykręcane w węzły korzenie sosny. Fin-Kedinn miał rację. Nie będzie siedzieć jak trusia, nie pozwoli im decydować o swoim losie.

–Co o mnie mówicie? – krzyknęła głosem, który rozniósł się na całe obozowisko.

Odwróciły się głowy. Dłonie zamarły w bezruchu.

–Jeżeli rozmawiacie o tym, co ze mną zrobić, lepiej mi powiedzcie. Robienie z tego tajemnicy jest niesprawiedliwe.

Wstał przywódca klanu Tura.

–Tury zawsze są sprawiedliwe.

–Więc rozmawiaj ze mną – powiedziała Renn.

Po raz pierwszy odezwał się przywódca klanu Rysia.

–Kim ty jesteś?

Teraz stała wyprostowana.

–Ja jestem Renn z klanu Kruka. Jestem Szamanką. – Kiedy tylko to powiedziała, wiedziała, że to prawda.

–Kobiety nie mogą być Szamankami – szydził młody człowiek z toporkiem. – To wbrew Drodze. Pokażę wam, jaka z niej Szamanka! – podbiegł, żeby wyrwać jej gwizdek z kości pardwy.

–Nie zbliżaj się! – ostrzegła. – To kość Szamanki, którą przywołuję duchy! Nikt jej nie może dotknąć, tylko ja!

Odsunął się, jak gdyby jej słowa go poparzyły. Włożyła gwizdek do ust i dmuchnęła.

–Nikt z was nie słyszy jego głosu– powiedziała – ale ja słyszę. Ta kość przemawia tylko do Szamanów, Czarowników i duchów.
– Teraz skupiła na sobie uwagę całego klanu. Uniosła głowę i patrząc w niebo, krakaniem przywołała kruki. Następnie podniosła ręce i pokazała tatuaże w kształcie zygzaków na wewnętrznej stronie nadgarstków. – Widzicie te znaki? To błyskawice – włócznie Ducha Świata, który zagania demony do skał i roznieca ogień z drzew. Krzywda się stanie temu, kto będzie próbował mnie skrzywdzić!

W jej głosie pobrzmiwało echo głosu jej matki, ale nic jej to nie obchodziło; niezależnie od wszystkiego, Seshru była potężną Czarownicą.

Między drzewami Renn ujrzała okrągły księżyc, unoszący się wysoko na nieboskłonie. Był martwy, kiedy zabito Bale'a, ale teraz jest silniejszy. Tak jak ona.

–Jeżeli ta dziewczyna jest Szamanką – powiedział przywódca klanu Rysia – jest Szamanką z Otwartego Lasu. Duch Świata jej tu nie chce. Dlatego się nie zbliża.

Kiwanie głów i przesuwające się w gestykulacji dłonie.

–Ukradła mi dziecko – powtórzyła kobieta z klanu Tura. – Zabrała je, żeby zrobić z niego tokoroga!

–Nie – zaproponowała Renn. – Ja poluję na tego, który to uczynił.

–A kimże on jest? – spytał podejrzliwie przywódca klanu Tura.

–To Thiazzi – odparła. – Thiazzi, Czarownik klanu Dębu. Ludzie

marszczyli brwi z niedowierzaniem, a stary człowiek wyglądał na rozczarowanego, jak gdyby przyłapał Renn na kłamstwie.

–Nie ma już nikogo z klanu Dębu – powiedział.

–Wszyscy wymarli.

–Pożeracz Dusz nie umarł – odparła Renn. – Zabierzcie mnie do waszego Czarownika, a dam mu dowód.

–Nasz Czarownik nie wychodzi z sztaśasu modlitw – powiedział przywódca klanu Tura. – I nie rozmawia z obcymi.

–Gdybyś rzeczywiście była Szamanką – powiedział kpiąco młody człowiek – wiedziałabyś o tym.

Ludzie kiwali głowami. Wokół niej robiło się coraz ciasniej. Twarze pocięte szramami szydziły z niej otwarcie. Dłonie Renn chwyciły mocno drzewce zatrutych włóczni. Drżały jej kolana, ale nie ustępowała. Teraz wszystko miało się rozstrzygnąć.

Przez las przetoczyło się echem głośne krakanie.

Wszystkie głowy uniosły się ku niebu.

Z gwiazd wyłonił się cień i Rip wylądował na gałęzi sosny, a jego czarne oczy były wpatrzone w Renn.

Pozdrowiła go krakaniem, a on zrobił pętlę w powietrzu i wylądował na jej ramieniu z głośnym trzepotem skrzydeł. Szpony ptaka wpiły się w jej kaftan, sztywne pióra dotknęły policzka. Renn wydała gardłowy dźwięk, a Rip uniósł dziób i w odpowiedzi na wpół rozłożył skrzydła.

Ludzie cofali się, ściskając kurczowo amulety opiekunów klanów.

Na skraju lasu pojawił się Wilk.

Renn poczuła ulgę. Jeżeli Wilk przeżył pożar, może Torakowi też się udało.

Bursztynowe oczy Wilka omiotły obozowisko, potem wróciły do Renn. Zjeżył sierść na karku. Ściągną jego długich nóg były napięte. Jeden jej znak, a skoczy na pomoc.

Pomógł jej tym, że się pojawił. Jeżeli zrobi coś więcej, narazi się na niebezpieczeństwo.

–Hau – ostrzegła go. Przekręcił głowę zdziwiony.

–Hau! – powiedziała raz jeszcze. Odwrócił się i zniknął między drzewami.

Ludzie westchnęli z ulgą. Młody człowiek stał jak rażony gromem, toporek zwisał mu w luźnej dłoni. Stary człowiek odchrząknął.

–Sądzę – powiedział – że na razie lepiej nie robić jej krzywdy.

Wilk był przerażony i dezorientowany. Łapy bolały go od dotknięć gorącej ziemi, nie potrafił znaleźć Wysokiego Bezogona, bo Jasna Bestia zjadła wszystkie tropy. A teraz wilcza siostra przywołała go wyciem, a później kazała mu odejść.

Nie odszedł. Trzymał się niedaleko Jamy.

Bezogony śmierdziały strachem i nienawiścią. Nienawiść

kierowały ku wilczej siostrze, ale były zbyt przerażone, żeby zrobić jej krzywdę. Wilcza siostra też się bała, ale doskonale to ukrywała. To było coś, co bezogony robiły znacznie lepiej niż wilki.

Niedaleko Jamy Wilk znalazł niewielkie, spokojne Duże Mokre i ochłodził obolałe łapy w błocie. Szedł głębiej i głębiej i zmył smród Jasnej Bestii z futra.

Kiedy wrócił do Jamy, wyczuł węchem zmianę. Bezogony szykowały się do drogi. Wilk postanowił, że będzie za nimi szedł i nie spuści z oczu i z nosa wilczej siostry.

Wtedy może zjawi się i Wysoki Bezogon.

Dwaj łowcy z klanu Rysia przybiegli do obozowiska. Byli zdyszani i spoceni i przemawiali do przywódców szybkimi ruchami dłoni. Renn próbowała za nimi nadążyć, żeby dowiedzieć się, o co chodzi.

Wilka nie było, ale kruki bawiły się na sośnie, zwieszały się szponami z rogów tura, następnie spadały ku ziemi, by w ostatniej chwili znów się unieść, a później kręciły koła w powietrzu, by znowu spaść.

Młody człowiek nie był już tak wrogo nastawiony, ale stary wzruszał ramionami.

–To są kruki, lubią się bawić, wygłupiać i lubią sztuczki.

Renn zastanawiała się, co z nią będzie.

–Masz – powiedział. – Możesz to wziąć, ale nie pozwolę ci brać

moich strzał.

Ku jej zdziwieniu, starzec podał jej łuk. Był to jej własny łuk, wyczyszczony i naoliwiony, ze świeżo nawoskowaną cięciwą.

–Dziękuję – powiedziała.

–To dobry łuk – mruknął. – I potrafisz się nim opiekować. W przeciwieństwie do niektórych. – Wzruszył ramionami, wyrażając współczucie dla wszystkich łuków, które ludzie źle traktują. – Ale cięciwa jest postrzępiona. Daj mi zapasową, to ją wymienię.

Renn zawahała się.

–To jest moja zapasowa cięciwa – skłamała. Spojrzał na nią przez krzaczaste brwi.

Czy zastawia na nią pułapkę? Czy też podpowiada jej, żeby skorzystała z tego, co ma? Już miała otworzyć usta, żeby spytać, dlaczego oddał jej łuk, kiedy podbiegł do nich młody mężczyzna.

–Już postanowione – powiedział staremu. – Przenosimy obozowisko.

–Dokąd? – spytała Renn.

Nie zwrócił uwagi na jej pytanie, ale starzec spojrział na nią z żalem.

–Nie gniewaj się – mruknął, kiedy oddalał się kołyszącym krokiem.

Renn ledwo zdążyła zarzucić łuk na ramię, a jej nadgarstki już

były związane, zaś na oczy nasunięto jej opaskę.

Rozdział 24

Po ciemnościach żeremi Torak był oślepiiony światłem dnia.

Mrugając oczami, wypluwając jeziorną wodę, trzymał się gałęzi, która cała była w sadzy; kiedy oderwał od niej rękę, zobaczył, że jest brudna. W powietrzu wisiał gorzki, brązowy dym.

Torak wszedł na stos gałęzi żeremia i rozejrzał się dookoła. Przez mgłę dojrzał wzgórza czarne od sadzy, porośnięte kikutami martwych drzew. I nic więcej.

Upadł na kolana. Renn. Wilk. Jak oni mogli to przeżyć?

Gdyby na niebie był chociaż jeden ptak, Torak złamałby obietnicę daną wiatrowi i poszedłby z duchami, żeby oboje znaleźć. Gdyby było chociaż jedno żywe drzewo na tych wzgórzach...

Coś za nim kichnęło. Żrebie leżało z wyciągniętymi nogami. Wyglądało na równie zdziwione widokiem Toraka, jak i dźwiękiem kichnięcia.

Torak delikatnie głaskał żrebie po grzywie, a ono mrugało do niego, trzepocząc długimi rżęsami. Poczł przebłysk nadziei. Jeżeli to żrebie przeżyło pożar, być może Wilkowi i Renn również się udało.

Przemawiając do zwierzęcia łagodnym tonem, Torak rozpiął pas i założył go na szyję żrebaka. Zwierzę niepewnie wstało na nogi i kiwało się z boku na bok. Później pochyliło głowę i kichnęło.

Po krótkiej przepychance Torak zmusił źrebię, żeby weszło do wody i razem dopłynęli do brzegu.

Ledwo co wyszli na płyciznę, kiedy Torak usłyszał przenikliwe rzenie. Źrebię odpowiedziało rzeniem – dziwnie głośnym – i pociągnęło go za pas. Torak wypuścił je i źrebię, kołysząc się, odeszło w kierunku czarnego kształtu, poruszającego się między drzewami. Matka i źrebię trącili się nosami, a później mały zanurkował pod jej brzuch, żeby napić się mleka.

Torak dostrzegł, że jest tam więcej koni. Przywódczyni stada spojrzała na niego przenikliwie i wtedy wiedział już, co ma robić.

Rozgorączkowany, wyjął ostatni kawałek korzenia Saeunn z woreczka z lekami i wcisnął go sobie do ust.

Jeżeli gdzieś na tym pogorzeliisku jest Wilk albo Renn, kto wyczuje ich lepiej niż zwierzyna łowna?

Pozostałe konie usunęły się na bok, odrzucając grzywy, bo nie czuły się pewnie w pobliżu człowieka, ale przywódczyni stada nie cofnęła się ani o krok. Poruszając uszami, słuchała jego jęków, kiedy chwyciły go skurcze. Spuściła głowę i patrzyła, jak Torak łapie się za brzuch i upada na ziemię w chmurze popiołu...

...Oczami konia Torak wpatrywał się w ciało leżące na ziemi, rozedrgane, toczące pianę z ust.

Po raz pierwszy w życiu odczuł w sobie nieustanną czujność zwierzyny łownej. Przekręcił ucho, żeby posłuchać, jak człowiek kopie w spękanej skale, a drugie odwrócił do tyłu i usłyszał rzenie kobyły przemawiającej do źrebięcia. Jednym okiem przeczesywał

brzeg rzeki, żeby zobaczyć, czy nie ma tam łowców, a drugim zbocze wzgórza. Koński nos mówił mu o wszystkich ruchach każdego z członków stada.

Dusze kobyły były zadziwiająco silne, ale bardzo lękliwe i chociaż Torak chciał, żeby pogalopowała w górę zbocza, ona odmawiała.

Jej stado przeżyło horror pożaru, ale znalazło się w tym czarnym Lesie, gdzie nie było się na czym paść, jednak woda pachniała tak samo jak kiedyś, więc będą się jej trzymać. Lecz obce dusze w szpiku jej kości nie pozwalały ustać w miejscu. Prychała, przewracała oczami, a zaniepokojone stado robiło to samo.

Torak wygrał tę bitwę dusz. Wierzgnął tylnymi kopytami i przeszedł w cwał. Jego cztery kopyta uderzały w ziemię z lekkością i siłą. Taka moc, taka prędkość! Czuł przyływ dzikiej radości, kiedy pędził jak burza w górę zbocza, a jego stado biegło za nim, aż drżała ziemia.

Zatrzymał się na szczycie, dysząc ciężko i sapiąc. Wiatr, przywiewający zewsząd popiół, igrał w jego grzywie i schładzał spocony kark. Torak poruszał nozdrzami, żeby złapać zapachy.

Niemal od razu chwycił zapach Wilka.

Kobyła zadrżała, przypominając sobie ostre zęby gryzące ją po żebrach. Torak zmusił ją, by stała w miejscu. I wtedy usłyszał długie, przeciągłe wycie. *Szuuukam cię...*

To nie był Wilk. Torak był tak rozczarowany, że stracił kontrolę nad duchem kobyły, która odwróciła się i pobiegła w dół zbocza. Przedzierając się przez zdziwione stado, popędziła z powrotem

nad bezpieczną wodę.

Stanęła jak wryta w chmurze popiołu. Wyczuła mięsny oddech ludzi i to, że niektórzy mają na sobie skóry nietoperzy, inni zaś ogony koni. Była zaskoczona, ale nie przerażona. Ze wszystkich łowców w Lesie tylko ludzie nigdy jej nie zagrażali. Za to Toraka ogarnęło przerażenie. Widział swoje bezbronne ludzkie ciało leżące na ziemi. Łowcy też je zauważyli.

Widział, jak idą w jego kierunku po spękanej ziemi, na ich wytatuowanych twarzach nie było litości. Zobaczył, jak łowca z klanu Leśnego Konia dźga jego ciało drzewcem włóczni. Inny kopnął go w żebra. Poczul to kopnięcie, ale jakby z innego świata.

Teraz tłoczyli się wkoło niego, kopiąc i bijąc. Nagle znalazł się w swoim ciele, ból otwierał się w nim jak stara rana. Jęknął. Coś uderzyło go w głowę. W ostatnim przebłysku świadomości postać Wilkowi bezgłośnie wycie. *Nie gniewaj się, wilczy bracie. Nie gniewaj się, że nie mogłem cię odnaleźć.*

Nie gniewaj się, Renn.

Rozdział 25

Renn szarpano i ciągnięto. Nie wiedziała już nawet, jak długo to trwa. Niekiedy ją nieśli, czasem zaś wrzucali do dłubanki. Raz nakarmili ją i dali wodę.

Czuła zwęglone ciała i wiedziała, że weszli na spaloną ziemię. Wydawało się, że będą tak iść bez końca, ale w końcu znów znaleźli się wśród pohukujących sów, a pod ich stopami pojawiły

się suche liście.

Nagle rozwiązano jej ręce, zdjęto opaskę z oczu i Renn stała, mrugając powiekami, w silnym świetle ogniska.

Była noc. Zobaczyła pochodnie ustawione w ogromnym kręgu. Poczula zapach sosny, usłyszała szum rzeki. Klany Tura i Rysia rozbiły obóz po jednej stronie ogniska. W samym jego środku stało szkarłatne drzewo. Korzenie, pień, gałęzie, liście – całe drzewo pomalowane czerwoną gliną – składano je w ofierze, by przyciągnąć Ducha Świata do Głębokiego Lasu.

Ktoś pchnął ją do przodu i znalazła się obok tryskającej iskrami pochodni. Ku swojemu zdziwieniu stwierdziła, że zgromadzeni są tam nie tylko ludzie z klanów Tura i Rysia. Po drugiej stronie kręgu ognia było *jeszcze jedno* obozowisko, ukryte w półcieniach, pobłyskujące toporami i włóczniami. Ktoś stamtąd podszedł bliżej światła i Renn zobaczyła, że jego broda i usta są pomalowane na zielono, a twarz wytatuowana we wzór liści. Długie zielone włosy miał poprzeplatane końskimi ogonami, a na czole brązową opaskę. Renn nie wierzyła własnym oczom. Klan Leśnego Konia rozbił obóz zaledwie o strzał z łuku od swoich śmiertelnych wrogów.

Pośród Leśnych Koni widziała i innych, na wpół oświetlonych światłem księżyca. Mieli kaftany w kolorze nocy, sieć kresek wyrysowanych węglem drzewnym ukrywała ich twarze. Renn dostrzegła na ich policzkach czarne tatuaże w kształcie kolców. Klan Nietoperza.

Obie strony patrzyły na siebie z odległości dwudziestu kroków, przedzierał ich dym z pochodni. Strzały były pozakładane na

ciężki. Dłonie zaciskały się na włóczniach i toporach.

Tuż przy korzeniach szkarłatnego drzewa Renn dojrzała postać w luźnych szatach i świecącej masce, ozdobionej końskimi ogonami. Oblał ją zimny pot. To Thiazzi.

Długi rękaw ukrywał zniekształconą dłoń, druga trzymała ciężką laskę wypaloną w spiralę.

–Patrzcie, co wam przynoszę – powiedział do obu klanów poważnym tonem, który Renn ostatni raz słyszała na Dalekiej Północy. – Ja, Czarownik klanu Leśnego Konia, przynoszę mówiący kostur klanu Tura.

Ludzie z klanu Tura kręcili się niespokojnie.

–Czarownik klanu Tura – mówił dalej Thiazzi – jest znany z mądrości i sprawiedliwości. Rozmawiałem z nim w jego szałasie modlitewnym. W dowód zaufania dał mi swój kostur.

Ludzie z klanu Tura z niedowierzaniem kręcili głowami. Co to za sztuczka?

Kiedy Czarownik klanu Leśnego Konia podchodził do przywódcy klanu Tura, wymierzyli w niego las włóczni. Thiazzi nie zawahał się nawet na chwilę.

–W podziękę za jego zaufanie, oddaję wam mówiący kostur. – Z ukłonem wręczył kostur przywódcy klanu.

Nawet Renn musiała przyznać, że wykazał się odwagą. Jeżeli coś poszłoby nie tak, padłby na ziemię, przebity dwudziestoma włóczniami.

Kłaniając się niepewnie, przywódca klanu Tura wziął kostur, a Thiazzi zrobił krok w tył. Łowcy powoli opuszczali ostrza włóczni.

Renn patrzyła, jak Czarownik wraca do szkarłatnego drzewa, skąd przemówił do obu stron.

–Przez cały księżyc – powiedział – pościłem w świętym gaju, a Czarownik klanu Tura pościł w swoim szałasie modlitewnym. Obu nam zesłano tę samą wizję.

–Uniósł ramiona. – Już więcej nie wolno nam walczyć! Tury! Leśne Konie! Rysie! Nietoperze! Czerwone Jelenie! Musimy się *zjednoczyć*.

Niedowierzanie. Ręce wyciągnięte w górę, poruszające się nerwowo, przekazujące wieści.

O co mu chodzi? – zastanawiała się Renn. Zrozumiałaby, gdyby Pożeracz Dusz próbował wywołać konflikt, ale dlaczego...

–Musimy się zjednoczyć – powtórzył Czarownik – przeciwko *większemu wrogowi*.

W ciszy, która zapadła, można by usłyszeć trzepotanie skrzydeł ćmy. Wszystkie oczy były teraz zwrócone na zamaskowanego Czarownika stojącego pod szkarłatnym drzewem.

–Wiele zim temu – zaczął – klany odwróciły się od Prawdziwej Drogi.

Ludzie zwiesili głowy. Część klanu Tura drapała skórę na twarzach, żeby na nowo otworzyć rany.

–Zostali ukarani – powiedział Czarownik. – Wymarły całe klany. Jelenia. Bobra. Dębu. Od tamtych czasów ludy Głębokiego Lasu nawiedzały nieszczęścia. *Wszystkie* z powodu obcych – z powodu niedowiarków, którzy bezczeszczą Drogę.

To nieprawda – pomyślała Renn.

–Trzy zimy temu – powiedział Thiazzi, którego głos potężniał jak wiatr w gałęziach sosen – oszust z Otwartego Lasu zwiódł klan Czerwonego Jelenia, prosząc o schronienie, i odpłacił im, tworząc demona w kształcie niedźwiedzia.

Ludzie syczeli i potrząsali pięściami.

–Dwie wiosny temu ludzie z Otwartego Lasu zesłali chorobę i tokorogi...

Nie, to nieprawda, nie zrobiliśmy tego – pomyślała Renn. – To Pożeracze Dusz!

–...i tylko nasza czujność utrzymuje ich z dala od Prawdziwego Lasu.

Potrząsano toporkami w geście tryumfu, uderzano grotami włóczni o tarcze. Oczy pobłyskujące z podniecenia, ludzie o pomalowanych twarzach spijający słowa z jego ust.

–Dwie zimy temu klany Lodu wysłały hordę demonów, które nas najechały. Zeszłej wiosny Wydry próbowały zatopić nas w powodzi rzek i jezior.

To wszystko kłamstwo! – krzyknęła Renn w duchu.

–Tej wiosny obcy wykradli nam dzieci i zeszli pożar, żeby nas zniszczyć. Ale nie udało im się!

Bicie włóczni o tarcze było coraz głośniejsze.

–Dotąd tylko się opieraliśmy! Ale teraz... – Spojrzał wokół, wędrując wzrokiem po kręgu łuczyw. – Teraz musimy *walczyć* Wszystko, co złe, pochodzi od obcych! Chcą nas zniszczyć, bo przestrzegamy zasad Prawdziwej Drogi, ale my, ludzie z Głębokiego Lasu – z *Prawdziwego Lasu* – my się zjednoczymy! Wstaniemy z dumą i ruszymy, by zetrzeć z powierzchni ziemi klany Otwartego Lasu!Ryk i okrzyki ze wszystkich gardeł trzęsły sosnami i uderzały w gwiazdy.

–Zrzućcie opaski! – nawoływał basowym głosem Czarownik. – Obejmijcie braci z Głębokiego Lasu i zjednoczcie się w walce przeciwko obcym!

W szale zrywano opaski z głów. Klan Tura biegł, by objąć łowców z klanu Nietoperza, Leśne Konie dotykały się czołami z Rysiami. Stojąc pod szkarłatnym drzewem, Czarownik patrzył na to wszystko spod pomalowanej maski.

Nagle uniósł ramiona, nakazując ciszę. Ludzie skulili się za pochodniami.

–Nie zapominajcie nigdy – powiedział Thiazzi głosem, w którym czaiła się nuta przewrotności – że złośliwość obcych nie śpi. – Przerwał. – Przynoszę wam dowód. Przynoszę wam wcielenie złośliwości – szpiega z Otwartego Lasu, który chciał nas zniszczyć, wzniecając olbrzymi pożar.

Trzej mężczyźni przynieśli zawiniątko do kręgu pochodni i rzucili je do stóp Czarownika.

Renn rozpoznała zwijającą się i walczącą postać, splątaną siecią. Siłą powstrzymała okrzyk.

Postać jęknęła.

To był Torak.

Rozdział 26

Rozsupłano sieć i Torak z trudem się podniósł. Stał ze skrępowanymi nogami, ręce miał związane za plecami. Renn zobaczyła krew na jego twarzy i siniaki na piersi. Widziała, jak się kiwa i ledwo stoi.

Uniósł głowę i popatrzył wprost na nią. Jego oczy stały się wielkie.

Bezgłośnie wypowiedziała jego imię, ale on zmarszczył czoło.
Trzymaj się od tego z daleka.

–Na kolana – kobieta z klanu Leśnego Konia dźgnęła go włócznią w plecy i zmusiła, by ukląkł. Na jej twarzy wytatuowanej w motyw liści ostrokrzewu widniała podejrzliwość, pomalowane na zielono usta były zaciśnięte ze złości. Koński ogon na jej głowie zwisał upięty – Renn zgadła, że to przywódczyni klanu. Tamta pokłoniła się nisko swojemu Czarownikowi.

Thiazzi w milczeniu przyjął pokłon, ale Renn ujrzała pod maską błysk oczu i pomyślała, że bardzo mu się ta zabawa podoba.

–Czarowniku – powiedziała przywódczyni. – Oto zły człowiek, który próbował zniszczyć Prawdziwy Las. Już go kiedyś widziałam. Dwie wiosny temu przyłapaliśmy go na próbie zarażenia nas chorobą.

–Szukałem lekarstwa – powiedział Torak. Po jego głosie Renn poznała, że opadł już z sił.

–Powinniśmy byli go wtedy powiesić – powiedziała przywódczyni klanu. – Teraz naprawimy swój błąd.

Ludzie uderzali włóczniami o tarcze w geście aprobaty.

Renn rzuciła się do przodu, ale wielkie, owłosione łapy przytrzymały ją w miejscu.

–Nic nie mów – szepnął jej do ucha starzec z klanu Tura. – Tylko pogorszysz sprawę.

Puścił ją i wziął z rąk swojego przywódcy mówiący kostur, po czym, krok za krokiem, powoli ruszył do przodu.

–Ale jeżeli go zabijemy – powiedział – złamiemy prawo klanowe. *Nasz Czarownik*, Czarownik klanu Tura, nie usankcjonowałby tego.

–Zabić niedowiarka to uczynić dobro – mocarny głos Thiazziiego wypełniał leśną polanę. – A to nie jest zwykły niedowiarek. Widzicie tę bliznę na jego piersi, pod którą próbował ukryć swoją prawdziwą naturę? Widzicie tatuaż na jego czole? To znak wyrzutka. Tego już dla Renn było za wiele.

–On nie jest wyrzutkiem! – krzyknęła. – Fin-Kedinn go przyjął, a

wszystkie klany wyraziły zgodę!

–Klany Głębokiego Lasu nigdy się na to nie zgodziły – powtórzyła malowana maska. – Przywódca klanu Kruka chciał zmienić prawo klanowe. A jego zmieniać nie wolno.

–Chyba że ty je zmieniasz – powiedział Torak.

–Milcz! – syknęła przywódczyni klanu Leśnego Konia. Torak uniósł głowę i popatrzył niechętnie na Czarownika.

–Łamiesz prawo klanowe wtedy, kiedy ci wygodnie, prawda, Thiazzi?

Zaskoczone spojrzenia zwróciły się ku Czarownikowi.

–Masakrujesz łowców – mówił dalej Torak. – Zamordowałeś mojego ojca. Mojego krewniaka...

–Cisza! – krzyknęła piskliwym głosem przywódczyni klanu Leśnego Konia. – Jak śmiesz obrażać naszego Czarownika!

–To nie jest wasz Czarownik – rzucił Torak, z trudem wstając z kolan. – To Pożeracz Dusz.

W tłumie podniosły się okrzyki oburzenia, ale Thiazzi tryumfował.

–On skazuje się na śmierć własnymi słowami! Oto dowód czystego zła!

–Co się z wami wszystkimi dzieje? – krzyknął Torak. Zatrzęsły się drzewa. Zadrżały pochodnie. Nawet przywódczyni klanu Leśnego Konia ustąpiła o krok.

Torak, z roziskrzonymi oczami i pobrużdżoną starymi bliznami piersią, wyglądał przerażająco – dokładnie tak, jak powiedział Thiazzi.

–Zapomnieliście, jak się używa własnych głów? Zapomnieliście, jak się myśli? – ryczał na tłum. – Nie wydaje wam się to dziwne, że wasz nowy Czarownik nagle nabiera ochoty do wojny? Czy nie rozumiecie, nie widzicie, że nie jest jednym z was?

Renn nigdy nie widziała go tak wściekłego. Jego złość, podobna do furii białego niedźwiedzia, przerażyła ją. Inni również byli przestraszeni.

Thiazzi roześmiał się w głos i czar prysł.

–Widzicie, jaki jest zdesperowany? Wie, że już po nim! Tłum poczuł ulgę. Czarownik podbudował ich pewność siebie.

–Dość słyszałem, by wydać wyrok – stwierdził Thiazzi. – Wyrzutek w Prawdziwym Lesie to obraza dla Ducha Świata. Dlatego właśnie Duch trzyma się od nas z daleka. Wyrzutek musi umrzeć.

Wiatr się wzmógł. Czerwone drzewo westchnęło.

Renn wstała, nie wierząc własnym uszom.

Torak patrzył kamiennym wzrokiem na Thiazzięgo.

–Chociaż – powiedział starzec, wciąż trzymając w ręku kostur – jeżeli pokój ma zapanować na dłużej, Czarownik klanu Tura również musi wyrazić na to zgodę.

To rozbudziło klany, które czekały teraz na reakcję Czarownika Leśnych Koni.

Światło łuczywa pełgało po drewnianej masce. Renn wyczuwała, że odbywa się pod nią gonitwa myśli. Thiazzi chciał śmierci Toraka, i to jak najszybciej. Ale gdyby zlekceważył klan Tura, zaryzykowałby bunt i wtedy jego plany ległyby w gruzach.

–Oczywiście, że musi wyrazić zgodę – powiedział Thiazzi przez zęby. – Dziś wieczorem Czarownik klanu Tura będzie się modlił w swoim szałasie modlitewnym, a ja zostanę w świętym gaju. W tym czasie każdy klan pomaluje drzewo czerwoną gliną. Jeśli obaj Czarownicy wrócą i będą tego samego zdania, wyrzutek umrze.

Torak obudził się potwornie spragniony.

Linki z końskiego włosia mocno ścisnęły mu kostki i nadgarstki. Czuł pulsowanie siniaków, głowa bolała go potwornie. Raz zasypiał, raz się zrywał, próbując się zorientować, gdzie jest. Zatłoczony szałas. Pod policzkiem korzenie...

Rozbudził się przestraszony. Położyli go pod szkarłatnym drzewem. Wkrótce powieszą go na gałęzi.

Nie wiedział, co może zrobić, żeby się uratować. Jak długo trwa malowanie drzewa na czerwono? Tak długo, jak potrwa jeszcze jego życie.

Pomyślał o Renn. Nie wyglądała na pobitą, więc może pozwoli jej żyć. Miał nadzieję, że nie będzie próbowała mu pomóc.

A Wilk? Widział go oczyma wyobraźni. Jeżeli on wciąż żyje, może szuka go po wypalonym Lesie, zagubiony, zdziwiony, wyjący ku swojemu wilczemu bratu. Nie słysząc odpowiedzi.

Torak bezradnie zanurzył się w morze pragnienia.

Ktoś podtrzymywał mu głowę i wlewał wodę do ust.

Zakaszłał i wypluł. Miał opuchnięty język, nie mógł połykać.

–Jeszcze – błagał. Z jego ust wydobył się jednak tylko niezrozumiały jęk.

Kora brzozowa była szorstka w dotyku, chłodna dłoń podtrzymywała mu tył głowy. Woda spływała do gardła, wnikając w jego ciało jak powódź, zalewająca spękaną słońcem ziemię.

–Jak się czujesz? – spytała Renn.

–Lepiej – zacharczał. To nie była prawda, ale wkrótce poczuje się lepiej. Zamknął oczy, podczas gdy siły wracały mu do rąk i nóg, a Renn przecinała więzy na jego nadgarstkach nożem z bobrzego zęba. – Wilk – mruknął.

–Widziałam go wczoraj. Jest zdrowy.

–Dzięki *Duchowi*. A co z...

–Kruki też jakoś sobie radzą. Spróbuj usiąść, musimy działać szybko.

–Jak ci się to udało? – spytał, kiedy zabrała się do przecinania więzów na kostkach.

–W ogóle mi się nie udało – powiedziała. – Wszyscy śpią. Nie wiem dlaczego. Jakby zażyli coś na sen. Ale to długo nie potrwa.

Zagryzając usta z bólu, Torak rozmasowywał sobie nadgarstki, a Renn zmywała mu krew z twarzy i opowiadała o tym, że Thiazzi ogłosił pokój między klanami.

–Musiał jakoś przekabacić Czarownika klanu Tura, a teraz ma go w swojej mocy. – Przerwała. – Toraku, to się staje znacznie poważniejsze, niż sądziliśmy. On ich nastawia przeciwko Otwartemu Lasowi.

Próbował zrozumieć, co Renn do niego mówi. Nagle usłyszeli jakiś hałas dobiegający z zewnątrz. Mruczenie przez sen, przerażająco blisko. Szelest tkaniny z kory drzewa, później chrapanie.

Kiedy znów wszystko ucichło, Torak wypuścił powietrze z płuc.

–A dlaczego ciebie też nie związali?

Renn przymocowała sobie nóż do łydki i opuściła nogawkę spodni.

–Są przerażeni i boją się... Bo jestem Szamanką. Spojrzał jej w oczy w czerwonej ciemności. Jej twarz emanowała surowym pięknem i Torak poczuł dreszcz przechodzący mu po plecach.

Po chwili znowu była sobą, jego przyjaciółką, sięgnęła gdzieś za plecy i rzuciła mu parę butów z wołowej skóry.

–Ukradłam je jakiemuś Rysiowi. Lepiej, żeby pasowały. Kiedy naciągał buty, Renn wyglądała ukradkiem z szafasu.

–Możesz chodzić?

–Będę musiał.

Księżyc już zaszedł i wypaliły się łuczywa; obozowisko było ciemne i nieruchome. Wokół szałasów leżeli czterej śpiący łowcy, tuż obok ich broń. Oddychali tak lekko, że początkowo Torak myślał, że nie żyją. Chwycił jakiś łuk i kołczan, za pas wcisnął toporek.

Przekradanie się przez otwarty teren do pochodni trwało wieczność. Pulsowało mu w głowie. Z każdym krokiem czuł kolejne ukłucie bólu w nogach i ramionach. Renn znikła w półcieniach i już myślał, że ją zgubił. Pojawiła się z powrotem ze swoim łukiem i kołczanem, wciskała mu coś do ręki. To był jego nóż.

–Jak ty...

–Mówiłam ci, oni wszyscy śpią jak zabici!

W końcu minęli obozowisko klanu Tura, ukrywając się za kępą jarzębiny. Renn przysunęła się blisko i Torak poczuł, że jej włosy łaskoczą go w policzek.

–Przyprowadzili mnie tutaj w opasce na oczy, więc nie wiem, gdzie jesteśmy. A ty wiesz?

Skinął głową.

–Przypłynęliśmy w dłubankach. Czarna Woda jest jakieś dwadzieścia kroków stąd. Możemy wziąć łódź i popłynąć w górę rzeki. Później zostawimy ją w ukryciu i przejdziemy do następnej

doliny, to znaczy Doliny Koni. Stamtąd już prosta droga do świętego gaju.

Renn zmarszczyła czoło.

–Chodźmy do łodzi.

Doszli do rzeki bez przeszkód i znaleźli kilka dłubanek wyciągniętych na brzeg. W ciszy wypchnęli ostatnią na płyciznę i Torak wszedł do środka. Już nie bolały go sińce, odczuwał tylko dreszcz podniecenia, bo znowu był łowcą.

–Prąd jest silny – powiedział cicho. – Jeżeli przyłożymy się do wiosł, może nawet go wyprzedzimy.

Renn stała na płyciźnie z butami zawieszonymi u szyi, ale nie zrobiła kroku w kierunku łodzi.

–Toraku, zawróć łódź.

–Co takiego? – powiedział niecierpliwie.

–Nie możemy ścigać Thiazzięgo. Nie teraz. Patrzył na nią, nie rozumiejąc.

–Jeżeli go teraz zabijesz – szepnęła – potwierdzisz wszystkie kłamstwa, których im naopowiadał o Otwartym Lesie.

–Ale... Renn. Co ty mówisz?

–Musimy wracać do Otwartego Lasu. Znaleźć Fin-Kedinna. Ostrzec klany przed tym, co się dzieje.

–Chyba bredzisz.

Podeszła bliżej przez wodę i chwyciła obiema dłońmi burtę dłubanki.

–Toraku, ja *widziałam* tych ludzi! Oni są mu posłuszni i robią wszystko, co im każe. Nacinają sobie twarze, odcinają ludziom dłonie. Zaatakują Otwarty Las!

Zaczynał być wściekły.

–Dałem słowo, Renn. Przysięgałem pomścić krewniaka.

–Ta sprawa jest znacznie ważniejsza niż zemsta. Nie rozumiesz? Jeżeli Thiazzi umrze, ci ludzie pomyślą, że to zmowa Otwartego Lasu.

–Ale to nie jest ich Czarownik! Zrozumieją to, kiedy umrze!

–To nie będzie ich nic obchodziło! Toraku, pomyśl tylko! Jeżeli go zabijesz, to jakbyś dał dowód na to, co mówił. Zaatakują. Otwarty Las będzie się bronił. Wtedy nie uda się już powstrzymać wojny!

Chciał ją chwycić za ramiona i mocno potrząsnąć.

–Mówiłaś, że mi pomożesz. Opuszczasz mnie? Wzdrygnęła się, jakby uderzył ją w twarz.

–Jeżeli pójdziesz teraz tropem Thiazziego, będę musiała. Ktoś powinien ostrzec Otwarty Las. – W jej głosie słyszał echo głosu Fin-Kedinna – ten sam twardy upór. Trzeba zrobić to, co należy, nie zważając na cenę.

–Renn – powiedział. – Teraz nie wolno mi zawrócić. Potrzebuję cię. Zrób to dla mnie.

–Toraku, *nie mogę!*

Patrzył na nią, stojącą w czarnej wodzie, która kręciła się wirami wokół jej łydek.

–Więc niech tak będzie – powiedział. Naparł mocno ramieniem na wiosło i ruszył w górę rzeki.

Rozdział 27

Renn stała w wodzie, tak zimnej, że aż łamało ją w kościach, wpatrując się niewidzącym wzrokiem w ciemność.

Nie mogła uwierzyć, że Torak naprawdę odszedł. To był błąd. Na pewno. Za chwilę się pojawi i powie, że mu przykro. *Masz rację. Musimy wracać do Otwartego Lasu.* Przecież by jej tak nie zostawił.

A jednak. Miała przed sobą długą, niebezpieczną i samotną podróż.

I była całkiem pewna, że Torak nigdy nie zdoła dopaść Thiazziego. Jakże by mogło mu się udać, skoro Czarownik Dębu ma w garści cały Głęboki Las? Thiazzi go zabije. A Renn już nigdy więcej go nie zobaczy.

Główka tataraku dotknęła ją delikatnie w ramię, wierzby szeptały słowa ostrzeżenia. *Lepiej stąd uciekaj, i to szybko.*

Przygryzła mocno usta i ruszyła w kierunku najbliższej dłubanki. Stała za rufą i pchnęła z całej siły, ale ciężka łódź nawet nie drgnęła. Ślizgając się w błocie, raz jeszcze pchnęła ramieniem i tym razem dłubanka ruszyła w kierunku płycizny.

Renn szybko wrzuciła do środka kołczan, strzały i buty i wskoczyła do łodzi. Kiedy jednak pierwszy raz uderzyła wiosłem w wodę, dłubanka ostro się przechyliła, niemalże wyrzucając ją za burtę. Renn desperacko uderzała wiosłami.

Mroczni łowcy ciągnęli ją z powrotem na brzeg.

– Pomogłaś uciec wyrzutkowi – powiedziała przywódczyni klanu Leśnego Konia.

–Tak.

–Dokąd poszedł?

–D...do Otwartego Lasu.

–Jesteś z nim w zмовie.

–To mój przyjaciel.

–Jesteś z nim w zмовie przeciwko Głębokiemu Lasowi.

–N...nie. – Szczękała zębami, chłód rzeki przenikał ją aż do szpiku kości, ale oni nie pozwalali jej wyjść na brzeg. Tłoczyły się nad nią pobrużdżone bliznami twarze, zatapiały ją w smrodzie łożu, mokrej kory i nienawiści.

–Zatrułaś nas swoją magią – powiedziała przywódczyni klanu

Leśnego Konia.

–Nie.

–Zatrzymałaś nam wodę środkiem nasennym. A więc odgadła. Kto by jednak nie odgadł?

–Rzuciłaś na nas czar!

Renn zawahała się. Przypisywanie sobie cudzych umiejętności było cechą jej matki.

–Ostrzegałam was, że jestem Szamanką – powiedziała chłodno.

– Nikomu z was nie stała się krzywda. I nikomu się nie stanie, jeżeli zaprowadzicie mnie do Czarownika klanu Tura.

W powietrzu czuła strach i nienawiść. Modliła się, żeby strach przeważał szalę.

–Dlaczego mielibyśmy to zrobić? – spytała przywódczyni klanu Leśnego Konia.

–Czarownik klanu Tura jest ogólnie szanowany

–powiedziała Renn pewnym tonem. – Będę rozmawiać tylko z nim.

–Jeszcze chcesz negocjować? – syknęła z nienawiścią przywódczyni klanu.

Renn próbowała się skupić.

–Czy tak Leśne Konie okazują szacunek rozejmowi? – spytała. –

Mając w pogardzie Czarownika klanu Tura? A co na to powiedzą ludzie z klanu?

Teraz przywódczyni klanu Leśnego Konia zaczęła się wahać.

Szałas Czarownika klanu Tura był przycupnięty, jak olbrzymi ślimak, u stóp powalonego świerku.

Myśliwi z klanu Tura przyprowadzili ją tu w przepasce na oczy – najpierw rzeką, później lądem – i nie miała pojęcia, gdzie jest, chociaż poznawała po zapachu, że to musi być niedaleko spalonej ziemi.

– Nasz Czarownik jest stary i słabego zdrowia – ostrzegali, ściągając jej przepaskę z oczu. – Nie wolno ci go przemęczać. Pamiętaj, spotykasz się z nim tylko dlatego, że on tego pragnie. – Wypowiedziawszy słowa ostrzeżenia, znikli w lesie, zostawiając ją samą przed połami szalasu.

Stała przed wejściem z rękami związanymi za plecami, wokół rosły pokrzywy, wciąż mokre od rosy. Nad nią wisiał korzeń powalonego drzewa, pachniał ziemią i gnijącym drewnem. Był podziurawiony gniazdami nietoperzy i sów. Wokół wisiały rogi tura wyrzeźbione w spirale. Z rogów i z sosen rosnących dookoła zwisały cienkie liny z czerwono zabarwionej kory, prowadzące do otworu w dymnym szalasiu. Renn zgadywała, że to drabiny dusz, które mają pomóc Czarownikowi wspiąć się do świata duchów.

Sam szalasz wydawał jej się dziwnie znajomy. Z otworu dymnego unosiła się aromatyczna mgiełka, a kłapa drzwi, utkana z kory drzew, była przyozdobiona rysunkami biegnących turów.

–Wejdz do środka – usłyszała słaby głos. Poruszając się niezgrabnie, bo miała związane ręce, uklękła, nosem odsunęła klapę utkaną z kory i przedostała się do środka.

Ognisko było niewielkie, ale zachęcało do wejścia. Z otworu dymnego zwisały nad nim drabiny dusz, kręcąc się i tańcząc w gorącym powietrzu. Po drugiej stronie ogniska Renn zobaczyła swój łuk i ukradzione strzały, leżące obok stosu liści.

Stos liści poruszył się.

–Odesłałem swoich ludzi – usłyszała głos słabiutki jak leśna bryza owiewająca młode drzewko. – Kiedy Czarownik spotyka się z Szamanką, lepiej, żeby nikt nie podsłuchiwał rozmowy.

Renn ukloniła się z szacunkiem.

–Czarowniku.

Kiedy jej wzrok przyzwyczał się do ciemności, zauważyła, że Czarownik jest całkowicie pokryty liśćmi. Warstwa po warstwie świeżych liści ostrokrzewu, brzozy, gałązek świerku, liści wierzby – jego szata mieniła się wszystkimi odcieniami zieleni. Na piersi miał naszyjnik z bursztynu koloru trawy. Kaptur głęboko naciągnięty na oczy – Renn ich nie widziała, ale czuła, że przewiercają ją na wylot.

–Dlaczego przeszkadzasz mi w modlitwie? – mruknął, chociaż bez wyrzutu. Renn zastanawiała się, jak zacząć. Jeżeli Czarownik klanu Tura jest tak uczciwy, jak ludzie mówią, i jeżeli nie dostał się całkowicie pod wpływ Thiazziego, Renn ma szansę. Jeżeli nie...

–W Głębokim Lesie jest Pożeracz Dusz – powiedziała bez ogródek.

- *Pożeracz Dusz?*

–Nazywa się Thiazzi. To on nastawił klan Tura przeciwko klanowi Leśnego Konia, a teraz każe im zaatakować Otwarty Las. – Przelknęła głośno ślinę. Poczowała wielką ulgę, kiedy wreszcie to z siebie wyrzuciła.

Szata zaszeleściła, kiedy Czarownik sięgnął po patyk i dźgnął pełgające w ogniu węgle. Liście wierzby na obramowaniu szaty zwinęły się pod wpływem ciepła i Renn zobaczyła żuczka uciekającego w bezpieczne miejsce.

–To smutne wieści – szepnął Czarownik. – Kto to jest, ten... Thiazzi?

Z załamania jego szaty wypadł maleńki bursztyn i potoczył się aż na krawędź ogniska. Renn zastanawiała się, czy powinna go podnieść.

–To Czarownik klanu Dębu – powiedziała. – Zabił Czarownika Leśnych Koni. Zajął jego miejsce. Czarownik, z którym rozmawiałeś... To nie ten człowiek, o którym myślisz.

–Nie? – w jego głosie pobrzmiwała teraz nuta rozbawienia. – A ty... sama to wszystko wymyśliłaś?

–Tak – skłamała Renn.

–Kim jesteś?

–Jestem Renn. Szamanka klanu Kruka. Próbowalam ostrzec pozostałych, ale nie chcieli słuchać.

–I przybyłaś tu pokonać Pożeraczy Dusz.

–Z twoją pomocą, Czarowniku.

–Aha – westchnął Czarownik, którego pierś unosiła się delikatnie z każdym oddechem.

Bursztynowy paciorek zasyczał w ogniu i wybuchł płomieniem. Renn rozpoznała znajomy zapach. – To nie bursztyn – pomyślała. – To żywica.

–Pokonać Pożeraczy Dusz – powiedział Czarownik, który nagle zaczął jakby rosnać i wypełniać sobą cały szałas. Jego pierś trzęsła się od śmiechu, kiedy odrzucał z głowy kaptur i rozsypywał na ramiona grzywę włosów. – A jak – powiedział Thiazzi – zamierzasz tego dokonać?

Rozdział 28

Czarownik klanu Dębu nie spieszył się z zabiciem Renn.

Sięgnął do rękawa szaty i wyciągnął garść kropel żywicy, które włożył sobie do ust. Renn patrzyła, jak jego żółte zęby miażdżą je i zgniatają. Zobaczyła złotą kroplę zatopioną w jego rozłożystej brodzie. Prawda była jasna jak słońce. Thiazzi jest zarówno Czarownikiem klanu Tura, jak i Czarownikiem Leśnego Konia. Zabił ich obu i zajął ich miejsce, wykorzystując maskę klanu Leśnego Konia i odludzie Czarownika klanu Tura. Wkrótce jeden z nich zniknie, a drugi będzie rządził w pojedynkę.

Tylko Renn znała jego sekret. A on wiedział, że ona wie.

Żółte zęby wciąż miażdżyły żywicę. Zielone oczy wpatrywały się w nią leniwie.

Klęcząc przed nim, z rękami związanymi za plecami, była całkowicie bezbronna. Wypluł kawałek żywicy do ognia i uśmiechnął się, widząc, jak ona się krzywi.

–Teraz chyba zaczniesz przysięgać, że nikomu nie powiesz.

Próbowała opanować drżenie.

–Nie ma sensu – powiedziała. W jego oczach coś zaśniło.

–I nie ma sensu udawać, że nie jesteś przerażona. Renn nie odpowiedziała.

Z niesamowitą szybkością, jak na tak olbrzymiego mężczyznę, przeskoczył w jej stronę, zatapiając ją w szeleście liści i przenikliwym zapachu sosny. Dłonią chwycił ją za gardło – dłonią o trzech palcach. Szorstkie kikuty przeszukiwały skórę, aż znalazły żyłę. Uśmiechnął się, kiedy poczuł jej przerażenie, uderzające rytmicznie pod skórą. Mógłby skrócić jej kark, jak dziecku. Jeden ruch i byłoby po wszystkim.

Myśli krążyły jej po głowie jak stado jaskółek. Powiedz coś. Cokolwiek.

–Opal... Opal ognia – powiedziała z trudem. Kątem oka zobaczyła, że jego wolna dłoń przesuwana się w kierunku klatki piersiowej. Czy to jej wyobraźnia, czy cień przemknął przez jego twarz? Ale czego Czarownik Dębu mógłby się jeszcze bać?

Zdecydowała się na skok w ciemność.

–Nie powiedziałaś jej – rzekła.

–Nie powiedziałem komu? – zapytał odrobinę za szybko.

- *Eostrze* – szepnęła, i to imię sprawiło, że jej głos zrobił się lodowaty, jak oddech kości na cmentarzysku w środku zimy. – Nie powiedziałaś jej, że go masz. Ale ona wie. Tak, wie. Czarownica klanu Sowy zawsze wie. I postępuje za tobą krok w krok.

Czerwony język Thiazziego wysunął się i oblizał usta.

–Skąd u ciebie to przekonanie?

–Odziedziczyłam dar swojej matki.

–Twojej matki?

–Nie widzisz? – popatrzyła mu prosto w oczy. – Czarownicy klanu Żmii. Mam jej szpik w swoich kościach... Wiem, co zamierza Eostra.

–Skąd możesz wiedzieć? Nie jesteś Szamanką!

–Wiem, że chodzący z duchami uciekł – powiedziała, wykorzystując jego wahanie. – Wiem, że twoje plany się nie spełniają. Co jest nie tak? Kto zwraca się przeciwko tobie?

Odrzucił ją jednym ruchem dłoni, a ona upadając, uderzyła głową o ościeżnicę. Kręciło jej się w głowie i z trudem wstała. Usłyszała, jak Thiazzi się śmieje.

–Tak – zastanawiał się głośno. –Może tak będzie lepiej. Może żywa przynęta będzie skuteczniejsza niż martwa.

Z rękawa wyjął naostrzony zębato krzemienny nóż, długi jak przedramię Renn. Skuliła się, ale on tego nie zauważył. Nie miał teraz czasu na przyjemności, zabrał się do pracy. Chwycił kilka drabin dusz, zerwał je z otworu na dym, przeciął nożem i związał nimi kostki Renn, a później gwałtownie zakneblował jej usta. Zbliżył twarz do jej twarzy.

–Musisz coś zrobić, zanim umrzesz – dyszał. – Dasz mi chodzącego z duchami.

Wściekle potrząsała głową.

–O, tak. Przyrowadzisz mi go grzecznie do świętego gaju.

Przeszukał ją szybko i brutalnie, znalazł nóż z bobrzego zęba i gwizdek z kości pardwy, odciął jej od pasa woreczek z lekami i wrzucił wszystko do ognia. Zanim naciągnął sobie kaptur na twarz, wziął w olbrzymie dłonie łuk Renn i złamał go na pół.

Rozdział 29

Trorakowi wydawało się przez chwilę, że widzi Wilka na brzegu, ale kiedy go zawołał, ten się nie pojawił. Nie zjawily się również kruki. To było tak, jakby wiedziały, co zrobił, i miały mu to za złe.

–Ale to nie ja ją zostawiłem – powiedział. – To *ona* mnie opuściła.

Powiew wiatru zmarszczył powierzchnię rzeki i jesiony zatrzęsły

się z wyrzutem. Poskręcany stary dąb obrzucał Toraka niechętnym spojrzeniem, kiedy ten przepływał obok.

Nie mógł uwierzyć, że Renn go opuściła i wróciła do Otwartego Lasu. Na pewno zmieni zdanie i popłynie za nim. Kiedy jednak nasłuchiwał dźwięku dłubanki na wodzie, słyszał tylko plusk rzeki na kamieniach i westchnienia śpiących drzew.

–Nic jej nie będzie – pomyślał Torak. – Da sobie radę.

Oczywiście, że da sobie radę, Toraku. Dlaczego miałyby potrzebować twojej pomocy, kiedy polują na nią wrogie klany w samym sercu Głębokiego Lasu, a Pożeracz Dusz jest na wolności?

Z nastaniem świtu zatrzymał się, żeby odpocząć i coś zjeść. Wszystko przypominało mu Renn. Światło poranka drżało w kępce poziomek. Gdyby była tu z nim, na pewno wykopałaby kilka korzeni i przeżuła je, żeby wyczyścić zęby. Kiedy na oślep szukał ręką na płyciźnie łodyg trzciny i gryzł je, przypomniawsobie dzień zeszłego lata, kiedy próbował nakarmić trzcina Wilka i skończyło się to zabawą z przewracaniem na trawie, po czym cała trójka wylądowała w wodzie. Torak i Renn trzęśli się ze śmiechu, podczas gdy Wilk biegał, rozchlapując wodę, ścigając zdobycz i udając, że warczy, jak gdyby gonił za lemingiem.

Dosyć tego - powiedział Torak.

Wydra uniosła w górę delikatną głowę i przyglądała mu się przez chwilę z drugiego brzegu, po czym wróciła do przeżuwania pstrąga, którego trzymała w przednich łapkach.

Nagle przyfrunęła Rek, chwyciła wydrę za ogon i pociągnęła. Obrażone zwierzę odwróciło się, zaczęło straszyć i przeganiać intruza, tymczasem pojawił się i Rip, który podfrunął dyskretnie i wyrwał wydrze rybę z łap.

Oba kruki wylądowały niedaleko Toraka i rozprawiły się z pstrągiem. Dzielily się nim – zauważył – tak jak on i Renn dzielili się wszystkim. Uderzył zaciśniętą pięścią o ziemię.

Kiedy z ryby nie pozostało już nic oprócz ości, Rek usiadła Torakowi na ramieniu i delikatnie pociągnęła go za ucho. Rip podszedł do niego i przyglądał się woreczkowi z lekami przy pasie Toraka – woreczkowi ze skóry łabędzia. Wcześniej należał on do Renn, aż do zeszłej wiosny, kiedy podarowała go przyjacielowi.

–I jeszcze wy na dokładkę – powiedział poirytowany Torak do kruków.

Rip machał ogonem, nadal uparcie przyglądając się woreczkowi.

Nie wiedząc dlaczego, Torak otworzył go i wyjął róg z lekami. Oba kruki przechyliły głowy na bok, jak gdyby nasłuchując.

Torak, przygnębiony i zamyślony, obracał w palcach róg, który był wyżłobiony w szpiczaste znaki, przypominające kształtem świerki. Fin-Kedinn powiedział kiedyś Torakowi, że to był znak jego matki symbolizujący Las, dzięki temu rozpoznawała, że róg jest jej. Wreszcie teraz zrozumiał, o czym zapomniał. Wokół brzegu rogu był zawinięty włos Renn, który Torak znalazł w śpiworze, kiedy był jeszcze wyrzutkiem.

Powoli rozwinął włos. Rip wskoczył mu na kolana, chwycił włos w dziób i przesunął nim delikatnie po grzbiecie, jak gdyby czyścił sobie pióra.

Torak westchnął ciężko. Renn zeszłego lata wysłała kruki na pomoc, kiedy Torak cierpiał na chorobę duszy. A on ją opuścił.

Tak jak opuścił Bale'a.

Na samą myśl zrobiło mu się zimno. Znów popełnia ten sam błąd. Pokłócił się z Bale'em i Bale nie żyje. A teraz Renn...

Zacisnął pięści na długim włosie. Wróci i ją odnajdzie. *Zmusi ją*, żeby z nim pojechała. Zemsta będzie musiała jeszcze trochę poczekać.

Wskoczył do dłubanki, odwrócił ją dziobem w górę rzeki i ruszył.

Tym razem kruki poleciały z nim.

Teraz Wilk był zdezorientowany i zaniepokojony. Co Wysoki Bezogon wyczynia?

Od czasu, kiedy Jasna Bestia zżarła Las, Wilk wciąż podążał jego tropem i nic nie rozumiał. Kręcił się w okolicy wielkich Jam bezogonów i patrzył, jak powarkują na siebie, a później zdzierają paski skóry z głów. Następnie przyciągnęli jego wilczego brata, a Wilk już miał skoczyć na pomoc, kiedy Wysoki Bezogon zawarczał *na nich*. Ten straszny, warczący zew krwi... To było wbrew wilczej naturze. Wilk nie rozumiał i bał się tego.

Kiedy szedł za Wysokim Bezogonem i jego wilczą siostrą aż do Szybkiego Mokrego, oboje na siebie powarkiwali, a później –

Wysoki Bezogon ją zostawił. Wilk nie zostawia swojej wilczej siostry. Czy Wysoki Bezogon jest chory? Czy ma złamany umysł?

Później Wilk trzymał się Ciemnego, kiedy szedł za wilczym bratem w górę Mokrego. Wysoki Bezogon go wołał, ale Wilk się nie pojawiał. Wilk *nie znosił* uczucia chowania się przed swoim bratem, ale wiedział – z tą pewnością, która nawiedzała go od czasu do czasu – że nie powinien się na razie z nim spotykać.

Chociaż jeszcze nie wiedział dlaczego.

Rozdział 30

W górach musiała być burza, bo Czarna Woda niosła Toraka szybko ku obozowisku w Głębokim Lesie.

Zamaskował dłubankę porośniętymi świeżym liściem gałęziami i położył się płasko na dnie, w nadziei, że ukryją go trzciny. Miał szczęście. Wszyscy ciężko pracowali, malując drzewa. Widział kobiety, mężczyzn i dzieci wytrwale smarujących drzewa czerwoną gliną.

Co za szaleństwo – zastanawiał się – kazało im tak ślepo słuchać rozkazów? Czy nie rozumieją, że Thiazzi kradnie im wolność, tak jak lis wykrada pożywienie innym zwierzętom? Kiedy obozowisko było już poza zasięgiem wzroku, znów chwycił wiosło. Robiło się coraz później. Zachodni wiatr niósł smród spalenizny. A on wciąż nie widział śladów Renn.

Kiedy wypłynął z za zakola, zobaczył na północnym brzegu wgłębienia, jak gdyby od dłubanek. Łodzi już nie było, ale coś

Z niedowierzaniem podniósł czarne, połamane kawałki cisu, o które dbała z taką czułością. Przypomniawszy sobie pewien dzień zeszłego lata, kiedy znalazł Renn kruszącą orzechy laskowe, żeby naoliwić łuk. Słońce igrało w jej rudych włosach, a on zastanawiał się, jak by to było owinąć je sobie wokół nadgarstka.

Odwróciła się, żeby spojrzeć mu w oczy, i poczuł, że płoną mu policzki. Wilk rozpychał się pyskiem, żeby zjeść orzech, a Renn odpędziła go delikatnym ruchem dłoni. – Nie, Wilku, nie dla ciebie! – Ale wkrótce zmięknęło jej serce i dała mu całą garść.

Kłęcząc przy wypalonym ognisku, Torak wziął do ręki szczątki łuku.

Poczuł jesion i głęboki zapach świerku. Tuż przy swoim kolanie zobaczył maleńką, bursztynową kroplę. Podniósł ją. Tak, to żywica świerkowa. Obok niej odcisk. Dłoń olbrzymiego mężczyzny. Bez dwóch palców.

Wszystko ułożyło się nagle w logiczną całość, a Torak poczuł, jak gdyby ktoś spuszczał go w dół olbrzymią spiralą. Thiazzi był Czarownikiem klanu Tura. Thiazzi był Czarownikiem Leśnych Koni. To jeden i ten sam człowiek.

I miał w swoich łapskach Renn. Torak wstał z trudem i zataczając się, wyszedł z szałasów. Światło księżyca oblewało leśną polanę lodowatym błękitem. Miał przed oczami Renn, którą Thiazzi zmusił do patrzenia, jak łamie na pół jej łuk. Wiedział, że Pożeraczowi Dusz musiało to sprawić niesamowitą przyjemność. Thiazzi chciał, żeby Torak o tym wiedział. Zostawił łuk jako znak, a przy nim trójpalczasty odcisk dłoni, mówiący: *To zrobił Thiazzi.*

To Thiazzi, a nie Renn, zostawił kosmyki włosów na szlaku – zwabił tu Toraka i upewnił się, że ten chwyci przynętę. A skrzyżowane gałęzie... To informacja, gdzie ją zabrał.

Do świętego gaju, gdzie z dębu zwisają ciała martwych łowców.

Torak dowlókł się do drzewa i zwymiotował.

To była jego wina. Żądny zemsty, rzucił Renn prosto w łapy Czarownika Dębu.

Wysoki Bezogon był oddalony tylko o skok, ale Wilk nie mógł do niego podejść. Coś ich rozdzielało, jak gdyby ogromne Szybkie Mokre pędziło między nimi burzliwym prądem.

Bezogon trzymał w przednich łapach Długi-Szpon-Który-Lata, należący do wilczej siostry, a później odłożył go ostrożnie obok drzewa. Wilk wyczuwał jego lęk, a pod nim straszliwą żądzę krwi.

To właśnie ta żądza krwi powstrzymywała Wilka przed podejściem. *Musze zabić Ugryzionego* - powiedział kiedyś Wysoki Bezogon Wilkowi. *Nie dlatego, że to zwierzyna łowna ani że wchodzi na moje terytorium, ale dlatego, że zabił bezogona o białym futrze.*

Ale dlaczego? Tak nie postępuje wilk. To jest... To jest nie-wilcze.

Wilk poczuł niepokój ściskający mu brzuch. Zemścił się, gryząc gałąź. Biegał w kółko.

Wysoki Bezogon go usłyszał. Zatrzymał się i zawył: *Chodź do mnie, wilczy bracie. Potrzebuję cię!*

Wilk pisnął. Wycofał się.

Przypomniał sobie czas Wielkiego Chłodu, kiedy znalazł białe wilki i próbował powiedzieć przywódcy stada o Wysokim Bezogonie. *On nie ma ogona – mówił wtedy Wilk – i chodzi na tylnych łapach, ale jest...*

–W takim razie to nie wilk – powiedział przywódca stada surowo.

Wilk wiedział, że przywódca jest w błędzie, jednak nie zaprotestował.

Ale teraz?

Wysoki Bezogon stał na tylnych łapach i szedł w kierunku Wilka, miał zdziwienie w oczach. *Dlaczego nie chcesz do mnie podejść?*

Jego twarz...

Od samego początku Wilk kochał tę płaską, niepokrytą futrem twarz swojego brata, ale kiedy tak stał w Ciemności i wpatrywał się w nią, zauważył, jak odmienna jest od wilczego pyska. Oczy Wysokiego Bezogona nie odbijały światła Jasnego Białego Oka, jak oczy innych wilków.

Nie jest taki jak inne wilki.

Ta myśl uderzyła Wilka z mocą upadającego drzewa, ta wiedza, która czaiła się gdzieś za nim przez wiele Jasności i Ciemności. Wysoki Bezogon jest nie-wilkiem.

Ból, którego Wilk nigdy nie doświadczył, chwycił go teraz mocno

za serce. Nawet wtedy, kiedy był małym wilczkiem i straszliwie tęsknił za Wysokim Bezogonem, nawet wtedy nie czuł takiego bólu. Wysoki Bezogon jest nie-wilkiem.

Nie-wilkiem.

Wysoki Bezogon jest nie-wilkiem.

Rozdział 31

Myślałem, że wiesz - powiedział Torak w wilczej mowie.

Wilk wycofywał się, a w jego bursztynowych oczach czaiło się nieszczęście.

O, Wilku. Myślałem, że wiesz.

Popiskując żałośnie, Wilk podwinął pod siebie ogon, odwrócił się i uciekł.

Torak pobiegł za nim, przedzierając się przez gałęzie drzew. To na nic. Staął, skulił się i oparł łokcie o kolana, dysząc ciężko. Wokół niego jarząby rozwijały srebrne liście, żeby uchwycić światło księżyca w pełni. Torak zawył. Wilk nie odpowiedział. Wycie Toraka zamieniło się w łkanie. Wilk odszedł. Na zawsze?

Drzewa rozkołysały się na wietrze, szepcząc: *Spiesz się, spiesz się.* Thiazzi mógł już dotrzeć do świętego gaju. Mógł rozniecić jeszcze jeden ogień i wbić pal w jego serce. Albo ciągnąć Renn do ognia...

Torak przebiegł obok szałasów i wrócił tam, gdzie zostawił dłubankę. Wskoczył do środka i ruszył w górę rzeki, dżgając

wiosłem wodę, jak gdyby to był Thiazzi. Znajdował się w niekończącym się tunelu ciemnych drzew i myśli pozbawiony nadziei. Z jego powodu Wilk stał się nieszczęśliwy. Przez niego Renn była zdana na łaskę i niełaskę Czarownika Dębu.

Czarna Woda nie poddawała się naporowi wioseł. Czuł, że jego mięśnie są gorące od wysiłku. Zasługiwał na to.

Między drzewami zobaczył blask ognisk obozowiska Głębokiego Lasu. Rzeka była nie do przepłynięcia. Od brzegu do brzegu rozciągała się sieć utkana z kory drzew.

Torak zatrzymał się gwałtownie i wycofał dłubankę. Kiedy był już poza zasięgiem wzroku, przybił do kępy olsz i wyszedł na brzeg. Rzeką dalej nie popłynie, będzie musiał iść piechotą. Nigdy nie dotrze do świętego gaju na czas.

Nagle zamarł. Pod podeszwami jego butów lekko zadrżała ziemia.

Ukląkł i przyłożył do niej obie dłonie. Czy naprawdę to poczuł? Czy to zbliżało się do niego?

Może jest jakiś sposób?

Wilk czuł drżenie ziemi pod łapami, ale nie przerywał biegu. Wiedział, że zbliża się do ziemi ukąszonej przez Jasną Bestię. Nie interesowało go to jednak.

W końcu poczuł drapanie w gardle i musiał się zatrzymać. Znalazł małe Spokojne Mokre i napił się. Później uniósł pysk ku niebu i zawył, opowiadając Lasowi o swoim nieszczęściu.

Wysoki Bezogon nie jest wilkiem.

Wysoki Bezogon nie jest wilczym bratem Wilka.

Wilk nie ma już brata.

Wilk jest sam.

Drżenie ziemi pod łapami narastało. Wilk rozpoznał, że to tętent wielu kopyt.

Żeby zejść im z drogi, powolutku wspiął się na wzgórze, z którego przyglądał się galopującym koniom. Ich mocny zapach kręcił w nosie, ale Wilk był zbyt nieszczęśliwy, żeby dać się skusić na polowanie albo zastanawiać się, co je tak goni.

Kiedy przebiegły, znów zszedł powoli do małego Spokojnego Mokrego. Ziemia wokół była jak przeżuta przez końskie kopyta i przywierała mu do łap chłodnymi, mokrymi grudkami. Nic go to nie obchodziło. Zastanawiał się, czy Wysoki Bezogon usłyszy konie na czas, żeby zejść im z drogi. Wysoki Bezogon, który ledwo słyszał, nie mówiąc już o węchu. Nie był jego wilczym bratem, więc nie trzeba go ostrzegać. Kiedy Wilk stał z opuszczonym ogonem na skraju Spokojnego Mokrego, zobaczył wilka, który żyje w Mokrym, spoglądającego na niego z dołu. To jest bardzo dziwny wilk, który nie ma zapachu. Kiedy Wilk był małym wilczkiem, bał się, ale wkrótce nauczył się, że ten dziwny wilk nie ma zamiaru robić mu krzywdy i zawsze się wycofuje, kiedy i on się cofa.

Teraz wilk w Mokrym wyglądał niemal tak samo nieszczęśliwie, jak on sam się czuł. Aby go rozweselić, Wilk machnął lekko

ogonem i wilk w Mokrym również do niego machnął.

I wtedy stała się bardzo dziwna rzecz. *Inny* wilk pojawił się w Mokrym, stając obok pierwszego.

Tylko że ten wilk był czarny.

Rozdział 32

Ciemnofutra stała bardzo spokojnie, nieruchomo, czekając, co Wilk robi. On również stał bez ruchu. Pazurami wbijał się w błoto. Sierść zadrżała z podekscytowania. Wilczyca poruszyła lekko ogonem. Wilk uniósł pysk i ją obwąchał. Ciemnofutra powoli uniosła przednią łapę i położyła ją na jego łapie. Dotknęli się nosami.

Wilk chwycił w zęby futro pod jej gardłem. Ona uderzyła ogonem, zapiszczała i pokazała mu brzuch. Uwolnił ją i teraz oboje przetaczali się i kręcili w wirze futer, kłów i błota. Ścigali się, wpadali w Mokre i wybiegali na brzeg, Wilk niekiedy kąsał ją lekko w przyjaznym geście, a Ciemnofutra popiskiwała ze szczęścia i również kłapała na niego zębami.

Podskakiwała wysoko, a jej czarne futro lśniło od Mokrego. Później obracała się i uderzała w niego całym ciałem, gonili się po wzgórzu, to znów zbiegali na dół. Czuł w nozdrzach jej mocny, gwałtowny zapach, najpiękniejszy, jaki kiedykolwiek miał szczęście poznać.

Podrzucała zeschnięte liście z Mokrego i oboje chwyтали je w zęby, aż wreszcie padli obok siebie bez sił, żeby odpocząć. Dysząc ciężko, powiedziała mu, jak bardzo za nim tęskniła i że opuściła

stado, żeby go odnaleźć. Po wielu Jasnościach i Ciemnościach, po długim węszeniu i nasłuchiwaniu, kiedy wyła do niego i wydawało jej się, że słyszy jego wycie, prawie go znalazła, ale później Jasna Bestia pożarła wszystkie zapachy.

Wilk zamknął oczy i słyszał, jak delikatny wiatr stroszy jej futro. Dziwiło go, że jest szczęśliwy i jednocześnie smutny.

Ciemnofutra była bystra i szybko wyczuła, co rozdziera Wilkowi serce. *Dlaczego jesteś smutny? - spytała. Gdzie jest Ten-Który-Nie-Ma-Ogona!*

Wilk skoczył w górę i otrząsnął się. *On nie jest wilkiem. Nie jest moim bratem.*

Wilczyca poruszyła uchem zdziwiona. *Ale bawiliśmy się razem. Był twoim wilczym bratem. To niemożliwe.*

Wilk truchtał tam i z powrotem. Znalazł interesujący patyk i rzucił go przed nią, jako prezent.

Ciemnofutra nie zwróciła na to uwagi. Wstała i nosem trącała go w łapę. *Pamiętasz, jak małe wilczki chciały zjeść jego futro, a ty im nie pozwoliłeś? I jak ja mu dałam rybią głowę?*

Ból był tak dojmujący, że Wilk zapiszczał żałośnie. Oczywiście, że pamiętał ten słoneczny dzień, kiedy on i Wysoki Bezogon przyłączyli się do stada z Góry; kiedy razem pływali i byli szczęśliwi.

Ciemnofutra otarła się zadem o jego bark i połaskotała go w szyję. *Goniłam konie. Jest tam soczyste, małe źrebię. Prawie je*

złapałam, ale jego matka wierzgnęła. Chodźmy zapolować!

Wilk odwrócił pysk do wiatru i zwęszył zapach koni. Stado musiało się zatrzymać, kiedy Ciemnofutra przestała je gonić. Nie było tak daleko.

Wilczyca ruszyła między drzewa, machając ogonem. *Chodź!* I już biegła wilczymi skokami za końmi, szczupła, czarna, przeskakująca ponad pokrzywami.

W brzuchu Wilka obudził się głód. Zapomniał o bólu i pędem ruszył za nią.

Torak czuł, jak ziemia trzęsie się pod końskimi kopytami. Konie biegły w jego stronę. Coś musiało je przestraszyć, może ryś albo niedźwiedź. *Dobrze – pomyślał. Im szybciej, tym lepiej.*

Teraz już je słyszał. Kiedy się zbliżały, do jego uszu doszło prychanie, sapanie i trzask łamanych gałęzi. Zszedł im z drogi, przylgnął plecami do brzozy.

Chwilę później pojawiła się nagle klacz – przywódczyni stada. Głowę miała uniesioną wysoko, ogon w powietrzu. Przemknęła obok Toraka, a za nią stado; połyskliwa, czarna rzeka naprężonych końskich karków i mocnych zadów.

Kiedy konie przebiegły, Torak zaczął naśladować przenikliwy odgłos rżenia.

Usłyszał, jak zwierzęta wpadają na siebie, hamując gwałtownie. Rżenie w odpowiedzi.

Wyszedł na ścieżkę i czekał.

Coś poruszyło się w zaroślach. Usłyszał prychnięcie. Uderzenie kopyta. Szczupła, czarna głowa pojawiła się między liśćmi.

Przywódczyni stada stanęła dwadzieścia kroków od niego. Dyszała ciężko, nozdrza miała rozszerzone.

Zarzął cicho, żeby ją uspokoić.

Odrzuciła głowę w tył.

Zaczął przemawiać do niej łagodnym, niskim głosem: *Znasz mój zapach, pamiętasz? Pomogłem źrebięciu wrócić do stada. Wiesz, że nie chcę ci zrobić krzywdy.*

Uszy końskie poruszyły się, żeby złapać jego głos, ale klacz była niespokojna, głowę trzymała wysoko i odwróciła się do niego tyłem. *Trzymaj się z daleka. Potrafię kopnąć!*

Podszedł do niej powoli, nie spuszczając z niej wzroku, ale nie drażniąc jej patrzyeniem prosto w oczy.

Z końskich boków podnosiła się para. Olbrzymie, czarne oczy klaczy były szeroko otwarte, ale nie widział już białek. Przez chwilę wpatrywał się w nią, aż przepłynął między nimi strumień myśli. Jego dusze kryły się kiedyś w jej szpiku. Torak wiedział, co to znaczy być koniem. A ona wiedziała, że on wie.

–*Ja wiem* – powiedział, podchodząc bliżej. – *Ja wiem.*

Odeszła o krok, stając bokiem, i machnęła ogonem. Żadnemu człowiekowi nie udało się jeszcze podejść do niej tak blisko.

Torak czuł ciepło bijące od jej boków. Pochylił się, obwąchał jej

nozdrza, bo wiedział, że konie tak się witają, i pozwolił, by jej pachnący trawą oddech ogrzał mu twarz. Położył lekko rękę na jej karku, a później krótkimi palcami podrapał jej spoconą sierść, naśladując sposób, w jaki konie witają się, to znaczy delikatnie przygryzając sobie nawzajem skórę.

Koń zadrżał od uszu po ogon i prychnął z radości.

– Jestem twoim przyjacielem – powiedział Torak. – Wiesz, prawda?

Wciąż ją podszczypując, doszedł aż do karku, a klacz odwróciła głowę i delikatnie chwyciła wargami jego ramię, odwzajemniając pozdrowienie. Ręka Toraka zeszła do końskiego kłębu i chwyciła klacz mocno za grzywę.

Wtedy zrobił coś, czego nikt inny z klanów nigdy jeszcze nie dokonał.

Wskoczył na koński grzbiet.

Rozdział 33

Klacz wydała z siebie pełen oburzenia, piskliwy odgłos i ze wszystkich sił próbowała zrzucić Toraka z grzbietu. Trzymał się mocno jej grzywy i wbił pięty w jej boki.

Wierzgnęła tylnymi kopytami – liczyła, że to pozwoli jej się pozbyć doprowadzającego do wściekłości ciężaru, ale on rzucił się w przeciwną stronę i ścisnął ją mocno udami.

Puściła się galopem, niemal wrywając mu ramiona ze stawów. Ślizgał się na jej szerokim, spoconym grzbiecie, ledwo się na nim

utrzymując.

Klacz ruszyła w kierunku nisko zwisających gałęzi. Torak uchylił się. Poczul gałązki drapiące go po plecach. Trzymał się nisko, na wypadek gdyby znów spróbowała tej sztuczki.

Przedzierała się przez zarośla, łamiąc gałęzie, a stado, zaniepokojone jej paniką, galopowało za nimi. Między drzewami Torak ujrzał rzekę. Klacz pędziła w górę jej biegu, ku dolinie, gdzie czuła się bezpieczna.

Skóra końska była szorstka i drapała go w policzki, ciężki oddech klaczy wypełniał Las, a Torak miał poczucie winy. Była jego przyjaciółką, a on ją wystraszył. Trudno. Nic się teraz nie liczy oprócz uratowania Renn.

Klacz bez ostrzeżenia skoczyła w górę, jej kłęb uderzył Toraka w policzek i przez chwilę oboje lecieli nad zwalonym drzewem. Wylądowali z głośnym, głuchym uderzeniem, a Torak znów uderzył głową o kłęb.

Widział czerwone punkty przed oczami. Wyprostował się, kiedy pędzili w jaskrawość ognisk, w samo serce obozowiska Głębokiego Lasu. Tratując drewniane wiadra i bukłaki ze skóry, w których gotowano strawę, galopowali między szkarłatnymi drzewami, wokół nich ludzie rozbiegali się, chwyтали w ramiona dzieci i patrzyli na Toraka rozszerzonymi ze zdziwienia i strachu oczami.

Torak krzyknął przez ramię:

–Wasz Czarownik to Pożeracz Dusz w przebraniu! Przyjdźcie do

świętego gaju i sami zobaczcie! – Obozowisko było już za nim, teraz pędził w górę zbocza, w kierunku grani.

Dopiero wtedy zdał sobie sprawę, że nikt do nich nie strzelał. Nie było zatrutych lotek ani mierzenia z łuku. Nie odważyli się zaryzykować skrzywdzenia świętego stada. Woreczek z lekami uderzał o udo Toraka, a on, nie wiedząc dlaczego, podziękował duchowi matki za opiekę.

Jeszcze jedno zwalone drzewo pędziło w ich kierunku i Torak rzucił się na koński kark chwilę przed skokiem. Poczuł błoto na policzku, kiedy koń wylądował w bagnie, tonąc w nim po kolana. Klacz walczyła, żeby się uwolnić, i Torak pochylił się naprzód, żeby jej pomóc. Odepchnęła się potężnie tylnymi nogami i już byli na twardym gruncie, płosząc leśne ptaki, które odfruwały przestraszone.

Księżyc zachodził i cienie wylaniały się z Lasu, kiedy stado biegło w kierunku Rzeki Wiatrów. Torak zorientował się, że są dalej na wschód, niż prowadzi ścieżka, którą szedł wczoraj; tu było bardziej stromo, teren gęściej zarośnięty. Klacz знаła skrót do swojej doliny.

Gałęzie wplątywały mu się we włosy, płatki tarniny spadały jak śnieg. Nagle kobyła przeszła w trucht, później zatrzymała się w miejscu, pochyliła głowę, mało co nie zrzucając jeźdźca ze swego karku. Konie biegnące za nią w stadzie wpadały na siebie, po chwili otrząsnęły się i zaczęły się paść.

–Nie! – dyszał Torak, bijąc nogami i uderzając ją pięścią w kark.
– Nie zatrzymuj się, jeszcze tam nie dotarliśmy! – To na nic.
Kiedy Torak nie ustawał, wierzgnęła i świsnęła ogonem,

uderzając go boleśnie w policzek.

Była teraz na swoim terenie i nie dawała sobą zawładnąć.

Przynajmniej nie Torakowi.

Dobrze znane krakanie dobiegło znad drzew i pojawiły się Rip i Rek. Ich szpony niemal otarły się o koński zad, by po chwili oderwać się z powrotem ku niebu.

Zaskoczona klacz gwałtownie uniosła głowę do góry, a stado prychnęło zaniepokojone.

Kruki zrobiły jeszcze jedną pętlę. Klacz ustąpiła w bok i pokazała białka oczu. Ale nie chodziło tylko o kruki – teraz zdał sobie z tego sprawę również Torak. Chwyciła w nozdrza zapach, którego się bała.

Znów biegła truchtem i przedzierała się między wierzbami. Była już zmęczona, podobnie jak i on. Bolały go ręce i nogi, jechał na oklep wśród plątaniny czarnych gałęzi i skrzydeł kruków.

Rzeka Wiatrów znikła pod ziemią i wierzby ustąpiły świerkom. Torak zobaczył na wschodzie srebrną poświatę wstającego dnia, otwartą jak rozjątrzona rana.

Tętent kopyt rozsadzał ciszę, kiedy wjechali między święte drzewa. Torak czuł wokół siebie potęgę Thiazziego. Klaczy nie podobały się ostrokrzewy. A jednak, cokolwiek ją przeraziło, gnało ją wciąż naprzód.

Zwęszyła ognisko, zanim Torak je zobaczył. Czarny dym przecinający zakrwawione niebo. Lęk uderzył go prosto w splot

słoneczny. Czy jest już za późno?

Przyłożył dłoń do woreczka na pasku i dotknął rogu z lekami. Brakło mu powietrza w płucach i sił, żeby głośno się modlić, ale poprosił w myślach matkę, żeby ocaliła Renn. Modlił się do Ducha Świata, Wołał Wilka.

Kiedy razem z Ciemnofutrą gonili stado koni, Wilk wyczuł, że cel ich polowania się zmienia, chociaż jeszcze nie wiedział dlaczego. Zwolnił biegu i Ciemnofutrą zrobiła to samo. Nastawił uszu. Wiatr przyniósł mu niesłyszalne dla ludzkiego ucha, wysokie wołanie – ton był wyższy niż najwyższe wycie wilka i pisk nietoperza.

Ciemnofutrą też to usłyszała, ale nie rozpoznała tego, co Wilk. Był to pisk wydobywający się z jeleniej kości, którą Wysoki Bezogon nosił przy boku. Jeleniej kości, która długo milczała, a teraz zaczęła śpiewać.

Wraz z tym śpiewem Wilk pochwycił inny ton, ale tego Ciemnofutrą już nie słyszała, bo dźwięk rozlegał się jakby w głowie Wilka. Wysoki Bezogon wył ku niemu; tak jak Wilk wył na Wysokiego Bezogona dawno, dawno temu, w straszliwych czasach, kiedy złe bezogony zamknęły go w kamiennej Jamie. *Wilczy bracie! Biegnij do mnie! Wilcza siostra jest w niebezpieczeństwie!*

Chłodny nos trącił Wilka w bok. Ciemnofutrą nie wiedziała, co się dzieje. *Dlaczego zwalniasz? Wilk nie miał pojęcia, co zrobić. On nie jest wilkiem - powiedział.*

Spojrzenie Ciemnofutrej spoważniało. *Byliście braćmi ze stada. A żaden wilk nie opuszcza swoich braci.*

Wilk stał nieszczęśliwy na ścieżce, słuchając wycia w głowie, podczas gdy wielkie Jasne Oko wychylało się znad Gór, a z oddechem wiatru dochodził zapach Jasnej-Bestii-która-Kąsa-Gorąco.

Rozdział 34

Renn mdliło od smrodu przypalanego mięsa. – Następnym razem to będziesz ty – powiedział Thiazzi. Nie wydała z siebie żadnego dźwięku, ale on i tak się śmiał.

Po koszmarnej podróży w dłubance Thiazzi przerzucił ją sobie przez ramię i ruszył piechotą przez Las. Kołysała się jak worek, kiedy stawiał kroki, uderzała twarzą w plecy Czarownika.

Od razu wiedziała, że dotarli do świętego gaju, bo czuła, że drzewa są tu intensywnie *świadome*. Przyglądały się, ale nie pomagały. Dla nich znaczyła równie mało co pył. Pożeracz Dusz przeniósł ją przez ścianę ciernistych zarośli, minęli pełgające ogniki potężnego okrągłego ogniska. Wspiął się na pień sosny, w której były wycięte stopnie, opartej o olbrzymie drzewo. Renn zobaczyła łuszczącą się korę i poczuła w nozdrzach zapach cisów. Próbowwała nie myśleć o swoim łuku. Thiazzi już odgarniał gałęzie i rzucał ją w dół, a ona spadała w przepastne serce Wielkiego Cisu.

Kostki i nadgarstki pulsowały, ramiona bolały. Tak długo niósł ją jak worek. Usta drętwiały od knebla, ale nie potrafiła go przegryźć, bo Thiazzi mocno zaciągnął sznur. Najgorsze było to, że upadła na lewą nogę, która teraz była skrzycona i przy każdym ruchu ból rozsadzał jej kostkę.

Przez całą niekończącą się noc leżała skulona w ciemności, słuchając własnego przerażonego oddechu. By dodać sobie odwagi, powtarzała w myśli, że gdzieś tam, ponad nią, świeci księżyc w pełni. Później zdała sobie sprawę, że wkrótce jego moc osłabnie, złapie go niebiański niedźwiedź i zacznie po kawałku jeść.

Pierwszy raz w życiu nie przychodziły jej do głowy żadne życzenia. Nie mogła prosić losu, żeby zjawił się Torak, bo Thiazzi go zabije. A jednak, jeżeli Torak się nie zjawi, Thiazzi zabije ją.

Wokół wyrastały grube ściany Wielkiego Cisu – postrzępione i pobrużdżone rozstępami, łuszczące się, żywe. Przesunęła się trochę, żeby ulżyć zdrętwiałym rękóm i nogóm, kruszyła ciałem sobie szkielety i odchody, niektóre kości były duże, inne kruche i delikatne jak szron. Leżę na szczątkach tysięcy zim – pomyślała.

Daleko w górze, tak daleko, że nieosiągalnie, kawałek nieba powoli zmieniał kolor z szarego na czerwony, migotała jeszcze ostatnia gwiazda. Renn zadarła głowę, żeby ją zobaczyć, a tymczasem po kolanie dziewczyny jakiś pajęczek uciekał ku wolności. Żałowała, że nie wrócił. Nie byłaby wtedy taka samotna.

Tęskniła za swoim łukiem. Przez tyle wiosen nie rozstawała się z tym milczącym przyjacielem, który nigdy jej nie zawiódł. Do tej chwili brzmiał jej w uszach ohydny dźwięk łamiącego się drewna.

Teraz nie miała już nic. Ani noża, ani toporka, ani rogu z lekami. Nawet gwizdka, żeby przywołać Wilka, żadnego sposobu na zaalarmowanie Ripa i Rek. Umrze tu sama. Nikt jej nie pomści.

Upadła bez sił, oparła się o Cis i coś dźgnęło ją w przedramię. To

była osłona na nadgarstek. Przynajmniej to mi zostało – pomyślała.

Ozdoba była wykonana z polerowanego zielonego kamienia, bardzo gładka i piękna. Fin-Kedinn zrobił ją dla Renn, gdy dziewczynka nauczyła się strzelać z łuku. Myśl o nim była jak rozbłysk światła w ciemności. Na pewno nie umrze niepomszczona. Fin-Kedinn się dowie i wtedy niech Thiazzi ma się na baczności. Kiedy przywódca klanu Kruka się rozszłości, jest gorszy niż Pożeracz Dusz. Renn wyobraziła sobie zmarszczki na twarzy wuja, twardniejące i upodabniające jego rysy do rzeźbionego piaskowca; wyobraziła sobie jego niegasnące, błękitne, mrożące spojrzenie. Usiadła wyprostowana.

Fin-Kedinn mawiał, że najbardziej bezcennym ze wszystkiego, co może posiadać łowca, jest nie jego krzesiwo czy broń, ale wiedza, którą posiadał.

Myśl, powiedziała sobie Renn. Myśl.

Zapach dymu zawrócił jej w głowie. Trudno było zebrać myśli.

Dym.

Nie docierał z góry; widoczny skrawek nieba był czysty. Musiał dochodzić z innego miejsca.

Z bólem czołgała się wzdłuż ścian ogromnego drzewa i w końcu znalazła w nim kilka pęknięć – żadne nie było szersze niż palec, ale przynajmniej wiedziała, co się dzieje.

Poczuła się lepiej dzięki temu małemu zwycięstwu rozumu nad strachem. Wstała niepewnie, próbując obciążać tylko zdrową nogę, dotarła skokami do największego pęknięcia i wyjrzała na zewnątrz.

Zobaczyła ognisko i jego straszliwą ofiarę. Tuż za nim, bardzo blisko, widziała pień olbrzymiego dębu. Wykrzywiały się do niej twarze z kory, gałęzie drzewa były nagie i bezlistne.

Renn poczuła drżenie w sercu. O dąb oparto drabinę z pnia sosny. Thiazzi nie zostawił jej przy Cisie, jak przedtem sądziła. Nawet gdyby jakimś cudem udało jej się uwolnić dłonie i nadgarstki i wspiać ku temu skrawkowi nieba, prawdopodobnie złamałaby kark, próbując zejść.

A nawet gdyby nie złamała karku... Za dębem rozciągała się ściana cierni – gałęzie jałowca rosnące na wysokość piersi, otaczające kręgiem ognisko i święte drzewa. Thiazzi zamknął krąg, kiedy wniósł ją do środka. Jeżeli ktokolwiek się tu zjawi, nie będzie mógł do niej dotrzeć, a ona nie zdoła wyjść.

Gdy wyglądała przez szparę, w zasięgu jej wzroku pojawił się jakiś cień. Skuliła się, upadła na zranione kolano i pisnęła z bólu.

Thiazzi zaśmiał się w głos.

–Już niedługo.

Z ponurą determinacją podczołgała się do szczeliny.

Czarownik Dębu, krążąc wokół ogniska, to pojawiał się w zasięgu jej wzroku, to znikał. Wciąż miał na sobie płaszcz z liści, ale

kaptur odrzucił na ramiona, długie włosy spływały po nich kaskadą, na jego piersi widniał symbol klanu złożony z żołądź i jemiół. Jagody na amulecie miały mlecznobiały kolor, jak oczy ślepcy. W samym środku spoczywał mały czarny woreczek.

Opal ognia.

Wiedziała, że Thiazzi czuje na sobie jej wzrok i cieszy się z tego w duchu, ale nie potrafiła oderwać się od szczeliny. Przyglądała się, jak dokłada do ognia. Patrzyła na zwisające z rusztu zwęglone mięso.

Zmusiła się do spojrzenia w górę. Na niebie nie było już gwiazd. *Stąd nie spodziewaj się pomocy* - szydziło puste niebo.

Jej umysł pracował szybko, jak pajak naprędce tkający swą sieć. Gdzie są Rip i Rek? Gdzie jest Wilk? I gdzie jest Torak?

Nie. *Nie módl się*, żeby przyszedł, bo tego właśnie chce Thiazzi. Ty jesteś tylko przynętą. Jeśli on się zjawi, będziesz musiała patrzeć, jak umiera.

Thiazzi wygra, co do tego nie miała żadnych wątpliwości. Jest najsilniejszym mężczyzną w Lesie i ma spryt Czarownika.

Pulsowanie w głowie stawało się coraz silniejsze. Ze zdziwieniem zdała sobie sprawę, że już nie widzi własnych butów. Dym przedzierał się przez szczeliny i szpary, zbierał się wokół jej łydek.

Oczy zaczęły jej łzawić. Spróbowała kaszleć, ale zza knebla wydobyły się tylko stłumione mruknięcia.

–Już niedługo – powtórzył Thiazzi.

Znów wyjrzała przez szczelinę. Czarownik Dębu stał na szeroko rozstawionych nogach i przerzucał bicz z niewyprawionej skóry z jednej dłoni do drugiej. Jego surowa twarz była napięta. Czekał. Czy usłyszał coś, czego ona nie zdołała?

Rumor w jej głowie narastał.

To nie w jej głowie, to dobiegało z zewnątrz, spoza kręgu cierni.

Był to stukot potężnych końskich kopyt.

Rozdział 35

Dudnienie kopyt zbliżało się i narastało. Renn przycisnęła twarz do szpary w korze, próbując coś wypatrzeć.

Kątem oka zobaczyła cień; czarny koń płynął w długim skoku nad ciernistymi krzewami, a Torak – tak, Torak – siedział mu na grzbiecie. Jedną ręką trzymał konia za grzywę, w drugiej miał nóż z błękitnego łupku. Jego ciemne włosy powiewały na wietrze, na twarzy widniał wyraz determinacji. Wpatrywał się w Thiazzięgo.

Kopyta klaczy uderzały w ziemię, unosząc w górę chmury pyłu, ale Torak mocno trzymał się grzywy. Ani na chwilę nie spuszczał wzroku z Czarownika Dębu, który stał milczący i postukiwał ręką o swoje udo. Klacz prychnęła i odrzuciła grzywę do tyłu. Torak zeskoczył z jej grzbietu, zatoczył się, ale po chwili stanął pewnie na nogach. Klacz zarzuciła ogonem, wierzgnęła i przeskoczyła przez ostrokrzew. Po chwili uderzenia końskich

kopyt rozplynęły się w ciszy.

Renn usłyszała trzask drewna w ognisku i widziała, jak opada pył. Potarła policzkiem o twarde drewno. *Nie, Toraku, on cię zabije!* – wrywało jej się z gardła.

Thiazzi niespiesznie zrzucił z siebie płaszcz, pod którym miał kaftan ze skór wielu łowców – lisa, rysia, rosomaka, niedźwiedzia – ich siła była jego siłą, Czarownik nosił u pasa olbrzymi nóż, którego ostrze lśniło szkarłatem od zarzynania niewinnych istot. Był niezwykły – już nie stworzenie z liści i kości, już nie ktoś pochodzący z Lasu, ale jego władca.

Torak stał, piorunując go wzrokiem.

–Gdzie ona jest? – krzyknął.

–Gdzie ona jest? – ciężko dyszał Torak. Był wyczerpany. Drżały mu nogi i z trudem stał o własnych siłach.

Przed nim, za zasłoną dymu, wyrastał Czarownik Dębu – olbrzymi, milczący, panujący nad wszystkim. Torak nie widział Renn. Zobaczył tylko drabinę z wyciętego pnia sosny, ustawioną przy olbrzymim dębie i dowody okrucieństwa Thiazziego, zwisające ponad ogniskiem.

–Tego chciałeś, prawda? – pytał prowokacyjnie. – Chciałeś mnie. A więc jestem! Teraz ją wypuść!

–A czego ty chcesz, Chodzący z Duchami? – spytał Thiazzi. – Pomścić śmierć krewniaka? A więc jestem. Musisz tylko przyjść i wziąć to, czego pragniesz, a twoja przysięga się wypełni. –

Thiazzi odsłonił w uśmiechu żółte zęby, rozłożył ręce, ukazując potężną moc drzemiącą w ramionach i piersi.

Torak się zawahał.

–Jeżeli tylko mnie zadraśniesz, Chodzący z Duchami dziewczyna Kruków zginie. Ale jeżeli oddasz się w moją moc, puszczę ją wolno.

Ogień syczał. Ostrokrzew, Wielki Dąb i Wielki Cis czekały na decyzję Toraka.

Nie spuszczając wzroku z Thiazziego, zdjął z ramienia łuk i kołczan, a następnie wyrzucił je za krąg ciernistych krzewów. Następny był topór. W końcu uniósł w dłoni nóż z błękitnego łupku, który kiedyś należał do jego ojca. Ostrze również powędrowało za łukiem i toporem.

Stał teraz bezbronny przed Pożeraczem Dusz w drżącym od gorąca powietrzu.

–Łamię swoją przysięgę – powiedział. – Wycofuję obietnicę zemsty. Możesz mnie sobie wziąć na własność. Ale daruj jej życie.

Rozdział 36

Daruj jej życie – powtórzył Torak, ale jego głos był teraz błagalnym szeptem. Strach chwycił go w swoje szpony. Może Renn już nie żyje.

Thiazzi zobaczył to na jego twarzy i wydał usta.

–To wszystko na nic, krzywoprzysiężco. Nigdy już nie zobaczysz swojej dziewczyny.

Na moment Torak się poddał.

Później przypomniał sobie Renn – małą dziewczynkę o roziskrzonych oczach, stojącą u wejścia do jaskini, celującą ostatnimi strzałami do demona pod postacią niedźwiedzia. Wiedziała, że nie ma szans wygrać, ale walczyła do końca.

Uniósł dumnie głowę.

–Nie wierzę ci.

Pożeracz Dusz strzelił z bicia i z ogniska podniósł się snop iskier.

–Już po wszystkim, Chodzący z Duchami. Nie masz nade mną żadnej władzy.

–Jeszcze żyję – powiedział Torak.

Thiazzi wyciągnął nóż i przesunął się w jego kierunku.

Torak ruszył wzdłuż kręgu cierni, chcąc uciec. Czarownik Dębu zaśmiał się.

–Wyrwę ci kręgosłup. Zamierzam tak długo miażdżyć twoją czaszkę piętą, aż wycisnę z niej oczy. Nie będzie już Chodzącego z Duchami, który bzyczy koło mnie jak komar dookoła żubra. Ja jestem Czarownikiem Dębu! To *ja* rządę lasem! – na ustach pojawiła mu się piana. Jego głos odbijał się echem od skał.

Gdzieś zawył wilk. Dwa krótkie wycia.

- *Gdzie ty jesteś?*

Torak zawył w odpowiedzi.

- *Jestem tutaj. A gdzie wilcza siostra? Wilk jednak nie wiedział.*

Warcząc z wściekłości, Thiazzi potrząsnął dłonią o trzech palcach.

–Twój wilk wyrwał mi kiedyś kawałek ciała, ale tym razem tak nie będzie! – Schował nóż, chwycił płonącą gałąź z ogniska i przytknął ją do kręgu ciernistych krzewów. Jałowiec zapalił się z sykiem i po chwili zamienił się w ścianę ognia. Thiazzi tryumfował.

–Nawet ogień jest mi posłuszny!

Gdzieś zza płomieni Torak dosłyszał dźwięk rozrzuconych kamyczków, a później wściekłe powarkiwanie i szczeknięcie, które skończyło się piskiem. Płomienie strzelały za wysoko. Szczeknął ostrzegawczo. *Trzymaj się z daleka! Nie możesz mi pomóc!*

Położył dłoń na woreczku z lekami – na tym uszytym ze skóry stopy łabędzia, który podarowała mu Renn.

–Renn! – krzyknął. – Renn, gdzie jesteś?

Torak wołał ją głośno po imieniu, ale Renn udało się tylko pisnąć, a jej pisk zakończył się kaszlem. Wielkie drzewo było pełne dymu. Jeżeli szybko czegoś nie zrobi, spotka ją tu śmierć.

A jednak nie potrafiła się oderwać od szczeliny w korze. Czuła, że nie spuszczać wzroku z Toraka, utrzymuje go przy życiu, że jeżeli spojrzy w inną stronę, Thiazzi go zabije.

Jesteś głupia, bezgranicznie głupia, powtarzała sobie. Ale wciąż patrzyła na Toraka krążącego wokół ognia i na Thiazziego, który podążał za nim. Powoli, bez pośpiechu, raz po raz strzelał z bicia, bawiąc się z Torakiem jak ze zwierzyną łowną – tak jak ryś bawi się z lemingiem. Torak był wyczerpany. Włosy miał mokre od potu i co krok się potykał. Długo już nie wytrzyma.

Ogromnym wysiłkiem woli odwróciła wzrok. Kiedy się wycofywała, szurła butami po stosach liści i kości – bezużytecznych, łamiących się kości. Upadła i wylądowała na dłoniach. Poczowała ból. To nie miało sensu.

Pod palcami było coś mokrego i ciepłego. Odwróciła się, ale nie na tyle, by coś widzieć.

Przecięła sobie rękę kością albo korzeniem. Jeżeli uda jej się go znaleźć...

Dym był zbyt gęsty. Nie mogła oddychać, nic nie widziała. Macała za sobą na oślep. Gdzie to jest?

Znalazła. Cienkie, postrzępione ostrze. Może to krzemień? Nieważne, co to jest, ale na pewno mocno tkwi w drewnie.

Przesunęła się bliżej i zaczęła przecinać więzy na nadgarstkach.

Odgłosy dobiegające z zewnątrz były stłumione, jakby dochodziły z oddali. Czy to szczekanie Wilka? A może szpony kruka? W

charczącym oddechu usłyszała szyderczy ton Thiazziiego, ale nie mogła dosłyszeć Toraka.

Uparcie przecinała więzy.

Kruki zataczały kręgi i krakały. Thiazzi spojrzał w górę. Torak wykorzystał szansę – chwycił gałąź z ogniska i zaatakował.

Czarownik Dębu uchylił się bez trudu i Torak zobaczył, że gałąź wcale nie płonie – to był szary, martwy kikut.

–Ogniem ze mną nie powalczysz – droczył się z nim Thiazzi. – Jestem panem Lasu i ognia!

Jak gdyby w odpowiedzi na jego słowa powiew wiatru rozkołysał drzewa i dmuchnął Torakowi dymem w oczy.

Rip znów zatoczył krąg i uderzenie bicia Thiazziiego chwyciło go za skrzydło. Chociaż ptak się uwolnił i poszybował w niebo, w płonących węgielkach ogniska tliło się pióro.

Torak zakrztusił się dymem. Kaszlał. W końcu odzyskał oddech, jednak odgłos kaszlu nie ustawał.

Thiazzi dostrzegł jego wahanie, w oczach Czarownika pojawił się złośliwy błysk.

–Ten ogień nic mi nie robi – powiedział – ale dym zadusi twoją dziewczynę.

Torak gorączkowo rozglądał się dookoła. Skąd dochodzi ten kaszel? Wiatr jednak wzmagał się i trudno było to określić.

Thiazzi rzucił spojrzenie na Wielki Dąb.

Oczywiście. Drabina. Ten dąb musi być pusty w środku. *Renn jest wewnątrz dębu.*

Przemieszczając się krok za krokiem wokół ogniska, Torak zbliżył się do drabiny i puścił pędem w jej kierunku. Ku jego zaskoczeniu, Czarownik Dębu tylko się przyglądał. Kiedy Torak był już w połowie drogi, Thiazzi zawołał:

–Nie jesteś taki sprytny, jak ci się wydaje, Chodzący z Duchami. Teraz mam cię w garści, a ona dławi się dymem i zaraz umrze.

Torak uchwycił mocniej drabinę. Thiazzi go przechytrył. Kaszel nie był głośniejszy, był coraz słabszy. Odgłos dochodził nie z Dębu, ale z Cisu.

Roztrzęsiony ocierał pot z twarzy.

–Nie zwlekaj zbyt długo – dyszał, próbując nie okazywać lęku i zmęczenia. – Klany już tu idą... A ty nie masz na twarzy maski. Zobaczą, kim naprawdę jesteś.

–A więc biorę się do roboty – odparł Thiazzi. Podszedł do podnóża drabiny i zaczął się wspinać.

Rozdział 37

Więzy na nadgarstkach puściły. Renn przesunęła knebel pod brodę, wzięła do płuc porcję dymu i kaszlała tak długo, aż wymiotowała. Gorączkowo przecinała więzy na kostkach, później z trudem wstała i podskakując na jednej nodze, dotarła do szczeliny.

Nic nie widziała zza gęstego dymu, nie słyszała ani Wilka, ani kruków – nie słyszała też Toraka. Woląta o tym nie myśleć. Trzeba tylko wyjść, wydostać się na zewnątrz.

Poruszając się na ślepo w zadymionym powietrzu, szukała uchwytów, podparcia dla stóp, czegokolwiek, co pomoże jej wspiąć się na górę. Jej palce znalazły nad głową coś wystającego. Coś jakby drążek. To niemożliwe... A jednak. Podciągnęła się do góry, próbując się czegoś uczepić zdrową nogą. Znalazła wgłębienie, w które ledwo co mieściły się palce stopy. Wolną dłonią chwyciła drewno, jakby chciała wczepić w nie palce. Jeszcze *jeden* drążek. Ktoś je tam wbił młotem, ktoś wyższy od niej, więc musiała się mocno wyciągać, żeby ich dosięgnąć; a drzewo chyba pomagało jej, prowadząc ją od drążka do drążka. A może tylko chciało, żeby już sobie poszła.

U szczytu było najtrudniej, bo kończyły się podpórki, a górna część pnia zbutwiała. Renn chwyciła za gałąź, podciągnęła się i zawisała połową ciała w środku, a połową na zewnątrz. Otarła sobie palce do krwi, złamana gałąź wbijała jej się w brzuch, ale tu nie było dymu, chwyciła otwartymi ustami chłodny, zielony oddech Lasu.

Była tak wysoko, że kręciło jej się w głowie. Poniżej ani jednej gałęzi, za daleko, żeby skoczyć. Próbując nie zranić kolana, zaginała gałęzie na boki. Były sprężyste, więc odgięły się z powrotem i uderzyły ją w twarz, jak gdyby chciały powiedzieć: *Pomogłyśmy ci raz, ale nie próbuj więcej szczęścia. Wtedy zobaczyła Toraka.*

Był prawie na tej samej wysokości co ona, wspiął się na sam szczyt drabiny i stał na jednym z wystających konarów dębu. Nie

widział jej, z całych sił próbował odepchnąć drabinę, podczas gdy Thiazzi, który wciąż się wspinał, trzymał się mocno zarówno drabiny, jak i pnia drzewa.

Tej bitwy Torak nie mógł wygrać. Renn patrzyła, jak Thiazzi wspina się na rozgałęzienie i sięga ręką pnia drzewa. Torak zrobił unik i wtedy kątem oka dostrzegł Renn.

Bezgłośnie wypowiedział jej imię, a spojrzenie Renn powiedziało mu, że jest w pułapce – nie może zejść na dół.

Thiazzi przeskoczył na drugą stronę pnia, żeby go chwycić. Torak znów zrobił unik, złapał drabinę i popchnął ją. Renn zobaczyła, jak pień sosny przechylił się w jej kierunku i spada na jej drzewo, uderza i zatrzymuje się w połowie wysokości. Torak otworzył jej drogę na dół.

W ten sposób ryzykował życie. Kiedy sięgał do następnej gałęzi, Thiazzi skoczył. Rzucił się na niego, a Torak jednym skokiem umknął mu z drogi, ale chwilę za późno, i ostrze Thiazziowego przecięło mu udo. Syknął z bólu, uderzył Thiazziego stopą w nadgarstek i wysłał jego nóż w powietrze.

Na nic to zwycięstwo. Renn widziała, że Torak nie ma szans. Pożeracz Dusz nie potrzebował broni, wejdzie na drzewo za Torakiem, a gdy dotrze do najwyższej gałęzi...

Oderwała wzrok od sceny rozgrywającej się na drzewie. Stąd mu nie pomoże, będzie musiała zejść na dół.

Drabina z pnia sosny była za daleko, musi na nią zeskoczyć. Odwróciła się, opuściła na krawędzi drzewa, a kiedy już wisiała

na rękach, skoczyła. Sosna zatrzęsała się, gdy Renn uderzyła w nią zdrową stopą, ale ją utrzymała. Dziewczyna nie zawracała sobie głowy wycięciami w drewnie, po prostu ześliznęła się w dół, ocierając skórę na rękach i lądując na bolącym kolanie. Kiedy spojrzała w górę, Toraka już nie było.

Nie – jest, trzyma się wybrzuszenia na pniu dębu. Pożeracz Dusz niebezpiecznie się zbliżał. Renn zobaczyła, że Thiazzi wyciąga rękę, żeby chwycić Toraka za nogę. Był o włos. Torak dotarł już prawie do korony drzewa, tam gdzie rozgałęziała się po raz ostatni. Renn widziała go na tle burzowego nieba, odwracał głowę, zastanawiał się, co robić. W wyobraźni widziała, jak Czarownik Dębu chwyta go za kostkę i ściąga, krzyczącego z przerażenia, ku pewnej śmierci.

Doczołgała się do ogniska, zaciskając zęby, ciągnąc za sobą chorą nogę. Chwyciła grubą, sosnową gałąź pełną żywicy, płonąca żywym ogniem. Podczołgała się do dębu.

–Toraku! – ledwo co dobyła głosu ze zdartego gardła. – Toraku!
– wrzasnęła. – Łap! Odwrócił gwałtownie głowę.

Klękając na zdrowym kolanie, Renn odwiodła ramię i wycelowała. To musi być najlepszy rzut w jej życiu.

Płonący konar obracał się, lecąc w górę wprost w dłoń Toraka. Wisząc na wolnej ręce, zaatakował Thiazzięgo. Pożeracz Dusz uchylił się i schował za pień dębu, odparował wyciągniętą ręką i już by chwycił Toraka za stopę, gdyby naszyjnik zrobiony z symboli klanu nie zahaczył o gałąź drzewa i nie pociągnął go w tył. Czarownik zerwał go, wywołując deszcz żołądzi i jemioly, ale opal ognia trzymał kurczowo przy piersi.

Dzięki temu Torak zyskał chwilę i mógł się wspiać jeszcze wyżej. Dotarł do korony drzewa i powoli wszedł na najsolidniejszą gałąź. Ugięła się pod nim. Zamachnął się płonącym łuczywem. Czarownik Dębu uderzył w nie pięścią, a uderzenie niemal złamało Torakowi nadgarstek. Płonące łuczywo pofrunęło w powietrze. Czas się zatrzymał, kiedy Torak przyglądał się swojej ostatniej szansie, która wirując w pióropuszu iskier, spadała na ziemię.

Thiazzi tryumfował.

- *Ja jestem Mistrzem!* – ryczał.

Ale kiedy głośno oznajmiał swój tryumf, oddech Lasu dmuchnął iskrą w jego splątaną grzywę włosów. Torak zauważył, że iskra zamienia się w płomień. Czarownik Dębu jeszcze tego nie widział.

Torak próbował odwrócić jego uwagę.

–Nigdy nie będziesz Mistrzem – szydził. – Może mnie zabijesz, ale i tak nie dostaniesz tego, czego chcesz!

–A czegoż to ja chcę? – odgryzał się Czarownik Dębu, wspinając się coraz wyżej.

–Tego, co zdobyłeś, zabijając mojego krewniaka. Pragniesz mieć opal ognia.

–Ale przecież ja go mam! – potrząsał skórzanym woreczkiem w geście tryumfu.

Błyskawica czarnych piór spadła nagle z nieba i Rek próbowała wyrwać Thiazziemmu mieszek, ale ten odepchnął kruka potężnym uderzeniem ramienia.

Śmiech zamarł mu na ustach, kiedy ponad nim przesunął się cień. Z cichym uderzeniem skrzydeł powietrze przecinał puchacz, nadlatywał bezgłośnie, wyprostował nogi i szponami wyrwał Thiazziemmu mieszek z dłoni. Wyjąc z wściekłości, potężny mężczyzna sięgnął ręką w kierunku złodzieja, ale ptaka już tam nie było, leciał w kierunku Wysokich Gór.

Teraz wycie Thiazzięgo przerodziło się w okrzyk przerażenia, bo ogień, który się rozprzestrzenił, był bardzo głodny. Thiazzi chwycił się za włosy, brodę i ubranie, aż

w końcu zakochał się na gałęzi, stracił równowagę i spadł.

Stojący wysoko na dębie Torak zobaczył Pożeracza Dusz leżącego bez tchnienia na korzeniach drzewa. Dostrzegł grupę łowców z Głębokiego Lasu wyłaniających się spośród ostrokrzewu, przedzierających się przez ciernie i otaczających kręgiem ciało. Wtedy otworzyły się chmury i deszcz zaczął zmywać wszystko, gasił płomienie i uwalniał chmury gorzkiego dymu, a Las wydał z siebie potężne, wstrząsające westchnienie, oczyszczając się ze zła, które zagrażało jego zielonemu sercu.

Deszcz lał się strumieniami, spływał po policzkach Toraka, kiedy chłopak schodził ku wolności, ale on ledwo co to zauważał. Trząśnięcie się całym ze zmęczenia, był dziwnie zdrętwiały. Nie czuł nawet rany na udzie.

Zeskoczył na ziemię i podszedł chwiejnie do Renn, która leżała jak nieżywa przy resztkach ogniska. Ukląkł przy niej i chwycił ją za ramiona... – Jesteś ranna? Zrobił ci krzywdę?

Pokręciła głową, ale była biała jak śniegi północy, wokół oczu miała cienie. Otworzyła usta, żeby coś powiedzieć; jej twarz się poruszyła i Renn odwróciła od niego głowę. Miejsce, gdzie szyja przechodzi w plecy, było gładkie i bezbronne. Torak objął ją ramionami i przyciągnął do siebie.

Kiedy klęczeli przytuleni, na biodrze Toraka zaczął delikatnie drżeć róg z lekami. Torak uniósł głowę i zobaczył Wilka stojącego między Wielkim Cisem i Wielkim Dębem, w jego oczach było bursztynowe światło przewodnika stada. *Uważaj – powiedział Torakowi. Nadchodzi...*

Wiatr pojawił się znikąd, wiał dziko, szalejąc po świętym gaju, uderzając o gałęzie, lecz nie wydając przy tym dźwięku. Słońce przebiło się przez chmury i wielkie drzewa rozświetliły się taką zielenią, że od patrzenia na nią bolały oczy, ale Torak nie mógł oderwać wzroku. Delikatne mruczenie rogu rozlegało się gdzieś w jego wnętrzu, wprawiało w drżenie jego kości. Świat się rozdzielił i rozpadł. Torak nie słyszał syczących od kropeł wody węgielków ani odgłosu deszczu. Nie czuł dymu ani Renn w swoich ramionach.

W tańczącej mgielce między Dębem a Cisem pojawił się wysoki mężczyzna. Jego twarz przesłaniał cień, choć stał na tle rozświetlonego nieba, długie włosy unosiły się na bezgłośnym wietrze. Z jego głowy wyrastały rogi jelenia.

Torak wydał okrzyk i zakrył oczy dłonią.

Kiedy ośmielił się znów spojrzeć, wizja znikła, zobaczył przed sobą Wilka, swojego brata ze stada, który machał ogonem i pędził ku niemu przez strugi deszczu.

Kiedy Torak się obudził, nie mógł się zorientować, gdzie jest. Leżał pod ciepłym płaszczem z zajęczego futra. Zielonozłote światło słoneczne przenikało przez dach z gałęzi sosny. Poczł zapach ogniska, usłyszał zwykle odgłosy obozowiska – trzask ognia, uderzenia ostrzonego o kamień noża.

I wtedy wszystko zaczęło wracać. Klęczy z Renn w świętym gaju. Klany z Głębokiego Lasu otaczają ich gęstym tłumem, ktoś wciska mu jego nóż w dłoń. Podróż powrotna do obozowiska, piechotą, później w dłubance. Kobieta zszywająca mu ranę na udzie, inna usztywniająca kolano Renn. Napój z miodem, po którym chciało mu się spać, a później – już nic.

Zacisnął powieki i zwinął się w kłębek. Coś go pobołowało w piersiach, jak gdyby jakieś stworzenie chciało stamtąd uciec, czuł nieokreślony niepokój. Thiazzi nie żyje, ale Eostra ma opał ognia. A on i Renn są zdani na łaskę i niełaskę klanów Głębokiego Lasu.

Kiedy wyłonił się z szałas, zobaczył, że czeka na niego grupa ludzi. Pokłonili mu się nisko, do ziemi. Nie odpowiedział ukłonem. Dwa dni temu żądali jego krwi.

Ku swojemu zdziwieniu, dostrzegł wśród nich Durrain i ludzi z klanu Czerwonego Jelenia, było też kilku z klanu Wierzby i Dzika, ale nie było Kruków. Gdzie jest Renn? Już miał o to zapytać, kiedy przywódczyni klanu Leśnego Konia skłoniła się jeszcze głębiej i poprosiła go gestem dłoni, żeby podszedł do szkarłatnego drzewa i poczekał.

Na co mam czekać? – zastanawiał się. Przedstawiciele klanów Głębokiego Lasu, stojący obok niego, wpatrywali się w Toraka w irytującej ciszy.

Poczł olbrzymią ulgę, kiedy wreszcie pojawiła się Renn. Kuśtykała ku niemu, opierając się o kule.

–Wiesz – powiedziała półgłosem – że spałeś cały dzień i całą noc? Musiałam cię dźgać pod żebra, by się upewnić, że jeszcze żyjesz. – Głos miała ożywiony, ale Torak widział, że coś jest nie tak, chociaż ona jeszcze nie była gotowa, by mu o tym opowiedzieć.

–Wszyscy się kłaniają – powiedział bezgłośnie.

–Na to nic nie poradzisz – odparła. – Jechałeś na świętej klaczy i walczyłeś z Pożeraczem Dusz. Poza tym Wielki Dąb wypuścił liście. Wszyscy mówią, że to dzięki tobie.

Nie chciał o tym rozmawiać, więc zapytał ją o kolano. Renn wzruszyła ramionami i powiedziała, że mogło być gorzej. Spytał, czemu jest tu Durrain, a Renn opowiedziała mu o tym, że klany Głębokiego Lasu odrzuciły Drogę tak gwałtownie, jak ją przyjęły, i

że już nie są w konflikcie z Czerwonymi Jeleniami, które nigdy nawet nie rozważały przyjęcia Drogi. A Tury są tak zawstydzone, że dały się omamić Pożeraczowi Dusz, iż postanowiły się ukarać, jeszcze mocniej nacinając sobie skórę. I nikt nie zamierza zaatakować Otwartego Lasu.

–Dlatego są tu Dziki i Wierzby? Uniosła ramiona i dźgnęła kijem w ziemię.

–Przysłał ich Fin-Kedinn – powiedziała głosem, w którym pobrzmiwało napięcie. – Bał się, że Gaup i jego klan zechcą nas zaatakować, ale w końcu przekonał ich, żeby wysłali swoich przywódców na rozmowę, zamiast szykować się do walki. Wierzby i Dziki przyszły, żeby ich wesprzeć.

–A Fin-Kedinn? – spytał pospiesznie Torak. Renn zagryzła wargi.

–Gorączka. Jest zbyt chory, żeby ruszyć w podróż. To wiadomość sprzed paru dni. Nikt od tego czasu niczego więcej się nie dowiedział.

Nie przychodziło mu na myśl nic, co mógłby powiedzieć, żeby ją jakoś pocieszyć, ale chciał spróbować. W tym momencie tłum się rozstał i podeszło do nich dwóch łowców z klanu Tura, ciągnąc za sobą kobietę o popielatych włosach.

Puścili ją, a ona stała, kołysząc się z boku na bok i spoglądając na Toraka oczami bez rzęs.

Przywódczyni klanu Leśnego Konia zmusiła ją ostrzem włóczni do uklęknienia i zwróciła się do zgromadzonych.

–Oto grzesznica, którą złapaliśmy niedaleko naszego obozowiska! – mówiła donośnym głosem. – Przyznała się. To ona roznieciła wielki pożar. – Przywódczyni klanu ukloniła się Torakowi, a jej koński ogon zamiótł w ukłonie ziemię. – Ty podejmiesz decyzję, jak ją ukarać.

–Ja? – spytał zdumiony Torak. – Ale... Przecież to Durrain powinna zdecydować. – Skierował wzrok na Szamankę klanu Czerwonego Jelenia, jednak z jej twarzy nie dało się niczego wyczytać.

–Durrain mówi, że ty musisz to zrobić – odparła przywódczyni klanu. – Wszystkie klany są zgodne. Ty ocaliłeś Las. Ty zdecydujesz o losie grzesznicy.

Torak spojrział na jeńca. Kobieta wpatrywała się w niego żarliwie. To ona próbowała spalić go żywcem. A jednak czuł tylko żal.

–Twój Mistrz nie żyje – powiedział – wiesz, prawda?

–Tak mu zazdroszczę – odparła kobieta z nutą tęsknoty w głosie. – W końcu zaznał

ognia. – Nagle uśmiechnęła się do Toraka, odsłaniając połamane zęby. – Ale ty... Ty jesteś błogosławiony! Ogień pozwolił ci żyć! Poddam się twoim wyrokom.

Stojąca przy nim Renn ruszyła się i powiedziała:

–To ty. To ty zatrułaś im wodę środkiem nasennym.

Kobieta wykręciła suche, czerwone dłonie.

–Ogień pozwolił mu żyć! Nie mieli prawa go zabijać.

Wśród tłumu rozległy się gniewne pomruki, a przywódczyni klanu Leśnego Konia potrząsnęła włócznią.

–Powiedz tylko słowo – rzekła Torakowi – a ona umrze.

Torak przeniósł spojrzenie z zielonej twarzy, na której malowała się chęć zemsty, na oblicze kobiety o popielatych włosach.

–Zostawcie ją – powiedział. Burza protestów.

–Ale ona nas zatruła! – krzyknęła przywódczyni klanu Leśnego Konia. – Roznieciła wielki pożar! *Musi* zostać ukarana.

–Jesteś mądrzejsza niż Las? – Torak zwrócił się do niej.

–Oczywiście, że nie! Ale...

–Więc stanie się właśnie tak, jak mówię! Klan Czerwonego Jelenia będzie ją obserwował, a ona przyrzeknie, że nigdy więcej nie roznieci ognia. – Spojrzał przywódczyni w oczy i nie spuszczał z niej wzroku, aż opuściła włócznię.

–Będzie, jak każesz – mruknęła.

–Oooch – rozległo się wśród tłumu.

Durrain stała bez ruchu, obserwując Toraka.

Nagle zapragnął pozbyć się ich wszystkich, tych ludzi o dzikim spojrzeniu, o głowach oblepionych gliną, razem z ich szkarłatnymi drzewami.

Kiedy przedzierał się przez tłum, Renn, kuśtykając, szła za nim.

–Toraku, zaczekaj! Odwrócił się.

–Postąpiłeś słusznie – powiedziała.

–Ale oni o tym nie wiedzą – powiedział zażenowany. – Pozwolą jej żyć, bo im kazałem. Nie dlatego, że to jest słuszne.

–Dla niej to będzie bez znaczenia.

–Cóż, dla mnie to ma znaczenie.

Zostawił ją samą i wyszedł z obozowiska. Nie obchodziło go, gdzie go nogi poniosą, chciał tylko być jak najdalej od klanów Głębokiego Lasu.

Daleko nie zaszedł, bo zaczęła go boleć rana w udzie, więc rzucił się na trawę przy brzegu rzeki i patrzył, jak Czarna Woda przesuwa się bezgłośnie. Ból w piersiach był dojmujący, Torak pragnął obecności Wilka, ale ten nie przychodził, a on nie miał serca na niego wyć.

Wyczuł, że ktoś jest za jego plecami, odwrócił się i zobaczył Durrain.

–Odejdź – warknął. Podeszła bliżej i usiadła.

Torak oderwał listek od gałązki i zaczął go rozdzierać na strzępy.

–Podjąłeś mądrą decyzję – powiedziała. – Będziemy ją bacznie obserwować. – Zamilkła. – Nie wiedzieliśmy, do jakiego stopnia straciła rozum. Popełniliśmy błąd, dając jej tyle wolności. My... my popełniliśmy błąd.

Torak żałował, że Renn tego nie słyszy.

–Zgrzeszyłam – mówiła dalej Durrain – ale to mądre zostawić zemstę Lasowi. – Odwróciła się do Toraka, który poczuł siłę jej spojrzenia. – Teraz to rozumiesz. To było coś, o czym twoja matka wiedziała od początku.

Torak zamarł.

–Moja matka? Ale... Mówiłaś, że nic więcej nie możesz mi o niej opowiedzieć.

–Za wszelką cenę pragnęłaś zemsty. Nie byłeś gotowy, żeby to usłyszeć. – Uśmiechnęła się do niego lekko.

Przechyliła głowę na bok i przyglądała się przesuwającym się nad nią liściom.

–Urodziłeś się wewnątrz Wielkiego Cisu – powiedziała. – Kiedy twoja matka poczuła, że nadchodzi czas, poszła do świętego gaju szukać ochrony dla swojego dziecka w Lesie. Weszła do Wielkiego Cisu. Tam właśnie przyszedłeś na świat. Zakopała twoją pępowinę w jego wnętrzu. Po tym ona i Czarownik klanu Wilka uciekli na południe. Jeszcze później, kiedy już wiedziała, że śmierć jest blisko, wysłała go, żeby mnie odnalazł, bo chciała mi powiedzieć pewne rzeczy, o których nie mogła mówić jemu.

Durraïn wyciągnęła dłoń, na której po chwili usiadła cętkowana ćma.

–W noc, kiedy się urodziłeś, twoja matka miała wizję Ducha Świata. Oznajmił jej, że będziesz musiał całe życie walczyć, aby naprawić zło, do którego powstania przyczynił się Czarownik klanu Wilka. Była przerażona. Błagała Ducha Świata, żeby pomógł jej dziecku wypełnić tak ciężkie przeznaczenie. Duch Świata odparł, że zrobi z ciebie Chodzącego z Duchami, ale że musisz być bezklanowcem, by żaden klan nie był silniejszy od innego. – Durraïn patrzyła, jak ćma odlatuje, trzepocząc skrzydłami. – Oznajmił, że za ten dar twoja matka musi oddać życie.

Torak wpatrywał się w resztki liścia na dłoni.

–Aby przypieczętować pakt, Duch Świata oderwał i podarował jej kawałek swojego rogu. Zrobiła z tego róg na leki. Później umarła.

Kopciuszek zatrzepotał skrzydłami i wylądował na olszy, otarł dziobek o gałąź i odfrunął.

–Twój ojciec – powiedziała Durraïn – zostawił cię w wilczej jamie i poszedł zbudować jej Postument Śmierci. Trzy miesiące później przyniósł jej kości do świętego gaju i zostawił je na wieczny spoczynek w Wielkim Cisie.

Torak rzucił resztki liścia na wodę i patrzył, jak zabiera je prąd. Wielki Cis. Drzewo, w którym się urodził. Drzewo, w którym umarła jego matka.

Pomyślał o ojcu, który wbijał kołki w wiekową korę drzewa, żeby pomóc swojej towarzyszce życia wejść do środka, kiedy będzie gotowa urodzić; wyobraził go sobie, jak przynosi jej kości i składa je na spoczynek razem z jej nożem – nożem, który wiele wiosen później ocalił życie Renn.

Stado gęsich piskląt szło nieporadnie za matką po drugiej stronie rzeki. Torak patrzył na nie, ale jakby ich nie widział. Był bez klanu *dłatego*, że jest Chodzącym z Duchami. Jego matka dokonała tego wyboru i oddała za to życie.

Czuł, że rodzi się w nim ból i gniew. Mogła żyć, jednak wybrała śmierć. Zrobiła to dla niego; ale zostawiła go samego jak palec.

Wstał niepewnie.

–Nie chciałem, żeby tak było. – Durraïn otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale uciszył ją gestem dłoni. – Nigdy nie chciałem, żeby tak było! – krzyknął na całe gardło.

Pobiegł na ślepo przez Las. Biegł i biegł, a udo bolało go tak bardzo, że musiał przystanąć.

Znalazł się na zielonej łące rozświetlonej promieniami słońca, nad którą jaskółki zataczały kręgi, a motyle trzepotały skrzydłami nad leśnymi kwiatami. To piękne – pomyślał.

Jego najbliżsi, którzy już umarli, nigdy tego nie zobaczą.

Upadł w trawie na kolana i pomyślał o swojej matce, ojcu i Bale'u. Ból w piersi narastał, był ostry jak krzemień. Tak długo, rozpaczliwie i kurczowo trzymał się myśli o zemście. Teraz ten cel rozplynął się, nie zostało nic oprócz żalu i smutku. Miał wrażenie, że za jego mostkiem coś boleśnie się odrywa. Rozplakał się. Płakał i płakał, szloch rozrywał mu piersi. Płakał za swoimi zmarłymi, którzy zostawili go samego na świecie.

Renn leżała w śpiworze, wpatrując się w ciemność. Natrętne myśli krążyły beznadziejnie ponad jej głową. Fin-Kedinn zrobił jej łuk. Thiazzi go złamał. Fin-Kedinn jest chory. Ten łuk to omen. Fin-Kedinn nie żyje.

Nie mogła tego dłużej znieść. Wstała i kulejąc, wyszła z szałas.

Była północ, w obozowisku panowała cisza. Podeszła do ognia i usiadła na pniu, wpatrując się w iskry strzelające ku niebu i umierające w locie.

Gdzie jest Torak? Jak on tak może? Gdzieś popędzić, nie mówiąc jej dokąd, kiedy ona tak bardzo chce wrócić do Otwartego Lasu?

Jakiś czas później Torak, również kulejąc, dotarł do obozowiska. Zobaczył ją i usiadł obok przy ogniu. Wyglądał na pozbawionego sił, oczy miał zaczerwienione, jakby płakał. Renn postanowiła być stanowcza.

–Gdzie byłeś? – spytała oskarżycielskim tonem. Torak intensywnie wpatrywał się w ogień.

–Chcę się stąd wyrwać. Chcę wracać do Otwartego Lasu.

–Ja też! Gdybyś tak nie zniknął, bylibyśmy już w drodze.

Dźgnął patykiem płonące węgielki.

–Nie znoszę być Chodzącym z Duchami. To jak przekleństwo.

–Jesteś, kim jesteś – powiedziała bez cienia współczucia. – Poza tym od czasu do czasu wychodzi to ludziom na dobre.

–Na dobre? Powiedz mi, kiedy cokolwiek dobrego z tego wynikło?

Zjeżyła się.

–Kiedy byłeś małym dzieckiem, w wilczej jamie. To dzięki temu, że jesteś Chodzącym z Duchami, nauczyłeś się wilczej mowy. I dzięki temu właśnie jesteś przyjacielem Wilka. A to nie jest złe, prawda?

Torak wciąż wpatrywał się w ogień. Na twarzy miał wyraz niechęci.

–Ale to nie chodzi o wilczą mowę. Tylko o coś innego. Kiedy chodzisz z duchami, to zostawia znaki na twoich własnych duszach.

Renn zadrżała. Myślała już o tym. Wściekłość śnieżnego niedźwiedzia, bezwzględność żmii... Niekiedy widziała ich ślady w Toraku. A jednak... Te zielone kropeczki w jego oczach. Na pewno były dobre – kropeczki mądrości Lasu, która w niego wniknęła, jak mech w gałąź.

Czuła jednak zbyt duże poirytowanie, żeby mu teraz o tym mówić, więc zamiast tego powiedziała:

–Może to i zostawia ślady, ale nie zawsze. Chodziłeś z duchami w ciele kruka i nie stałeś się przez to mądrzejszy.

Zaśmiał się głośno.

Za pomocą kul stanęła na nogi.

–Prześpię się. Chcę ruszać, jak tylko wzejdzie słońce. Torak wrzucił kij do ognia i wstał, a następnie sięgnął za siebie i dał jej coś do ręki.

–Masz. Pomyślałem, że się ucieszysz. To były fragmenty jej łuku.

–Teraz możesz złożyć je na spoczynek – powiedział. Wahał się, mówiąc te słowa, nie był pewien, czy postąpił słusznie.

Renn nie potrafiła wypowiedzieć ani słowa. Kiedy zaciskała palce na ukochanym kawałku drewna, wydawało jej się, że widzi rzeźbiącego ten łuk Fin-Kedinna. *To na pewno był znak. To musi być znak.*

–Renn – powiedział Torak cicho. – To nie jest żaden omen. Fin-Kedinn jest silny. Na pewno wyzdrowieje.

Wzięła głęboki oddech.

–Skąd wiedziałeś, o czym myślę?

–No wiesz... Znam cię.

Renn wyobraziła sobie Toraka, jak kulejąc, idzie przez Las. Może chodzenie z

duchami zostawia ślady – pomyślała. Ale to... To po prostu cały Torak.

–Dziękuję ci – powiedziała.

–To nic takiego.

–Nie tylko za to. Za to, co zrobiłeś. Za to, że złamałeś przysięgę. – Położyła mu rękę na ramieniu, wstała i pocałowała go w policzek, a później szybko, lekko kulejąc, poszła do szałas.

Wilk przyglądał się Wysokiemu Bezogonowi, który mrugał oczami i przestępował z nogi na nogę, kiedy wilcza siostra już sobie poszła, i wyczuł, że jego uczucia są rozproszone jak zeschnięte, jesienne liście.

Bezogony są takie skomplikowane. Wysoki Bezogon lubi swoją siostrę i ona lubi jego, ale zamiast ocierać się o siebie bokami i lizać po mordach, zawsze od siebie uciekają. To jest niezwykle dziwne.

Z tą myślą Wilk odbiegł truchtem, żeby znaleźć Ciemnofutrą. Chwilę później była już przy nim, pysk miała mokry od krwi po polowaniu, a kiedy się trochę pobawili w gryzienie i ocieranie futrem o futro, pobiegli razem w górę Mokrego. Wilk cieszył się dotykiem chłodnych paproci głaszczących jego futro i odgłosem łap Ciemnofutrej, która biegła za nim. W nozdrzach miał upojny zapach świeżej krwi młodego jelonka i woń przyjaznego wilka.

Las był znów spokojny, lecz coś kazało Wilkowi wyruszyć do miejsca, gdzie Wysoki Bezogon walczył z Ugryzionym. Kiedy tam dotarli, zwolnili do truchtu. Jasne Białe Oko patrzyło na nich sponad czujnych drzew, a lęk, który wzbudzał Gromowładny, wciąż unosił się w powietrzu.

Gromowładny stanowił wielką tajemnicę. Kiedy Wilk był małym wilczkiem, Gromowładny kazał mu odejść od Wysokiego Bezogona i iść na Górę. Później Wilk uciekł, a Gromowładny był wściekły. Następnie przebaczył Wilkowi, chociaż nie pozwolił wracać na Górę. To wszystko było bardzo dziwne; ale z drugiej strony Gromowładny był jednocześnie kobietą i mężczyzną, myśliwym i zwierzyną łowną. Żaden wilk nie potrafi zrozumieć takiego stworzenia.

Wilk kiedyś nie znośił czegoś nie rozumieć, ale teraz wiedział, że niektórych rzeczy po prostu nie może pojąć. Jedną z nich był Gromowładny, a drugą – Wysoki Bezogon. Wysoki Bezogon nie był wilkiem. A jednak – był bratem Wilka. Tak się rzeczy miały.

Nos Wilka musnął ledwie rozpoznawalny zapach, a Wilk skoczył na równe nogi. W oczach Ciemnofutrej zobaczył iskrę. *Demony.*

Wilk zniżył pysk i zaczął węszyć po ziemi, wdychając głęboko powietrze, kiedy szedł za tropem. Prowadził on za pradawne drzewa, a później w górę zbocza.

Jama była prawie całkiem zastawiona wielkim kamieniem, szczelina zaś za wąska, żeby Wilk mógł wejść. Poszerzył ją, kopiąc ziemię przednimi łapami, a Ciemnofutra pomagała. W końcu Wilk prześliznął się do środka.

Wewnątrz złapał woń demona, ale ten zapach był bardzo stary. Tu nie ma żadnych demonów. Tylko bardzo chude, małe wilcze szczenię bezogonów.

Wilk zapiszczał cicho i polizał dziecko po nosie. Nawet nie mrugnęło. Coś jest nie tak. Wilk wycofał się z Jamy i puścił się pędem, żeby przyprowadzić tu Wysokiego Bezogona.

Nadeszło już Światło i kiedy zbliżał się do Jam bezogonów, zrozumiał od razu, że będzie musiał poczekać. Na krawędzi Szybkiego Mokrego przywiązano wiele pływających skór. Wilk przyglądał się przywódcy stada Kruków, który wchodził na brzeg Mokrego, później jego wilcza siostra odrzuciła patyki i skacząc, podbiegła do niego, a przywódca stada śmiał się i obejmował ją przednimi łapami.

Rozdział 39

Jak daleko jeszcze do Otwartego Lasu? – spytał Torak.

–Powinniśmy dotrzeć tam o zmroku – odpowiedział Fin-Kedinn, zwijając swój śpiwór.

–Nareszcie! – westchnęła Renn.

Wetknęła kawałek mięsa dzika w rozgałęzienie brzozy, ale Rip szybko to ukradł. Torak próbował składać ofiary Lasowi w taki sposób, żeby kruki nie zdołały ich zeżreć, na przykład wciskał mięso w szczeliny. Po chwili Fin-Kedinn powiedział Renn, żeby zgasła ogień. Tymczasem on i Torak zanieśli rzeczy do kajaka. Dwa dni temu wyjechali z obozowiska w Głębokim Lesie. Nie spieszyli się, bo żebra Fin-Kedinna wciąż się zrastały. Przywódca klanu Kruka przyplłynął sam, reszta klanu była zajęta odławianiem płynących w górę rzeki łososi. Dobrze było być znowu we trójkę.

Wszędzie dookoła Torak wyczuwał gojące się rany. Nawet klany Głębokiego Lasu zbierały się, ożywione potrzebą uzdrowienia wykradzionych dzieci.

Pięcioro uwolniono z ziemianek wykopanych w zboczach wzgórza za świętym gajem. Wszystkie były chude jak patyk, zęby miały spiłowane na kształt kłów, zupełnie wyprane umysły. Kiedy jednak Renn spojrzała im wszystkim w oczy, stwierdziła, że Thiazzi jeszcze nie wpędził demonów w ich szpik, więc nadal były dziećmi, nie tokorogami, a miała w tej kwestii więcej doświadczenia niż ktokolwiek

inny, i nawet Durrain przyznała jej pierwszeństwo w ocenie. Kiedy Torak po raz ostatni widział klany Głębokiego Lasu, te debatowały zażarcie nad rytuałami, które najlepiej pomogą dzieciom wrócić do normalności.

Las również zaczynał leczyć rany. Wszystko zarastało. Cały dzień wiosłowali obok wypalanej ziemi, a Torak zauważał już gdzieś skrawki zieleni, widział też kilka odważnych jeleni podgryzających młode gałązki drzew. Na brzegu Jeziora Czarnej Wody zobaczył świętą klacz. Zarżała ku niemu, a on jej odpowiedział. Miał wrażenie, że wybaczyła mu to, iż cwałował na jej grzbiecie.

A jednak, pomyślał, pakując do kajaka bukłaki z wodą, niektóre rany nigdy się nie zagoją. Klan Tura zawsze będzie nosił szramy na skórze. Gaup będzie okaleczony na całe życie. Pewna mała dziewczynka, którą znaleziono pośród innych, była niemową. A co najgorsze, jedno z ukradzionych dzieci zostało stracone na zawsze. *Demon* – powiedział Wilk, kiedy szedł za tropem, zanim stracił go u podnóża Gór. Torak widział w wyobraźni tokoroga objającego się o kamienie w drodze do legowiska Eostry.

–Lepiej wszystko porządnie zawiąź – powiedział Fin-Kedinn tak niespodziewanie, że Torak aż podskoczył. – Przed nami przełomy rzeki.

Torak był zdziwiony, bo nie pamiętał żadnych wodospadów. Później zdał sobie sprawę z tego, że on i Renn przebyli tę część trasy piechotą, na południe od rzeki. Jaka ulga, że od teraz Fin-Kedinn jest za wszystko odpowiedzialny.

Ruszyli, przepływając pod rozmawiającymi ze sobą olchami i przecinając leżące na wodzie dywany trzciny, po których buszowały świstunki. W końcu, kiedy światło dnia złagodniało i nabrało koloru starego złota, przed ich oczami rozciągnął się widok na Szczęki Głębokiego Lasu.

Oglądając się przez ramię, Fin-Kedinn zapytał Toraka, czy nie żałuje, że odjeżdża tak daleko od miejsca, w którym się urodził.

–Nie – odparł Torak, chociaż przykro mu było to przyznać. – To nie jest mój świat. Klan Czerwonego Jelenia pozwoliłby Czarownikowi Dębu przejąć władzę nad lasem, zamiast walczyć. A inni... Chcieli zabijać wszystkich, którzy nie przestrzegają nakazów Drogi. Sądzę, że teraz zabiliby każdego, kto ich przestrzega. Jak można ufać takim ludziom?

Fin-Kedinn patrzył, jak jaskółka łapie w locie muchę.

–Im potrzeba pewności, Toraku. Pewności bluszczu wpijającego się w korę dębu.

–A ty? Potrzebujesz takiej pewności? Fin-Kedinn położył wiosło w poprzek łodzi na burtach i odwrócił się, żeby na niego spojrzeć.

–Kiedy byłem młody, wybrałem się na Daleką Północ i polowałem z klanem Białego Lisa. Pewnej nocy zobaczyliśmy światło na niebie i powiedziałem: „Patrzcie, to Pierwsze Drzewo”. Białe Lisy tylko się śmiały. „To nie drzewo – mówiły. – To ognie, które palą nasi zmarli, żeby im nie było zimno”. Później, kiedy byłem na Jeziorze Rękojeści Topora, klan Wydry powiedział mi, że te światła to olbrzymia połać szuwarów, która jest domem ich przodków. – Fin-Kedinn zamilkł. – Kto ma rację?

Torak pokręcił głową.

Fin-Kedinn znów ujął wiosło w dłoń.

–Nie ma żadnej pewności, Toraku. Prędzej czy później, jeśli wystarczy ci odwagi, będziesz musiał się z tym zmierzyć.

Torak przypomniał sobie klany Tura i Leśnego Konia, które malowały drzewa na czerwono.

–Sądzę, że niektórzy ludzie nigdy nie będą w stanie spojrzeć prawdzie w oczy.

–To prawda, ale nie wszyscy w Głębokim Lesie są tacy jak oni. Twoja matka była inna. Miała więcej odwagi.

Torak położył dłoń na woreczku z lekami. Jeszcze nie powiedział Fin-Kedinnowi, czego się dowiedział o rogu, ale już podzielił się tym z Renn. A jej, jak to jej, przyszło do głowy coś, o czym on nie pomyślał.

–Może róg pomagał ci cały czas? Zawsze się zastanawiałam, dlaczego Pożeracze Dusz nigdy nie wyczuli, że chodzisz z duchami. A ten brzęczący odgłos w świętym gaju? Może sprowadził Ducha Świata? Chociaż tego nigdy nie dowiemy się na pewno.

Nie ma żadnej pewności, pomyślał Torak. Ta świadomość przemknęła przez jego głowę jak czysty, chłodny wiatr.

Kiedy prześlizgiwali się wśród cieni rzucanych przez Szczęki, Torak spojrzał wstecz. Słońce, które teraz nisko świeciło nad horyzontem, rozświetlało omszałe świerki i Torak miał wrażenie, że drzewa szepczą do niego słowa pożegnania. Przypomniał sobie ukrytą dolinę, gdzie klany Głębokiego Lasu zabrały ciało Thiaziego, żeby dokonać w sekrecie rytuałów pogrzebowych. Pomyślał o świętym gaju, w którym olbrzymie drzewa stoją tak, jak stały tysiące wiosen temu, przyglądając się stworzeniom Lasu, przeżywającym swoje krótkie, wypełnione walką życie. Czy dla tych drzew znaczy coś fakt, że złamał przysięgę? A może całkiem o tym zapomniały?

Nie minął nawet miesiąc od śmierci Bale’a, a wydawało się, że to znacznie więcej niż kilka wiosen.

–Poprzysięgłem, że go pomszczę. – powiedział Torak do Fin-Kedinna. – Ale nie mogłem.

Przywódca klanu Kruka odwrócił się i spojrział mu w oczy.

–Złamałeś przysięgę, żeby ocalić życie Renn – wyjaśnił. – Czy nie uważasz, że gdyby wszystko potoczyło się inaczej, gdybyś to właśnie ty zginął, a on przysięgłby, że cię pomści – czy nie sądzisz, że Bale zrobiłby to samo?

Torak otworzył usta, a później znów je zamknął. Fin-Kedinn ma rację. Bale nie zawahałby się ani chwili.

–Postąpiłeś słusznie, Toraku – uznał Fin-Kedinn. – Uważam, że jego duch będzie odpoczywał w spokoju.

Torak przełknął ślinę. Patrząc, jak jego przybrany ojciec lekko ciągnie wiosłem wzdłuż burty, poczuł przyływ miłości. Chciał mu podziękować za to, że zdjął mu z barków ciężar, za to, że się nim opiekuje, za to, że jest Fin-Kedinnem. Przywódca Kruków był jednak zbyt zajęty omijaniem na wpół zatopionego drzewa i ostrzeganiem Renn, żeby uważała w drugiej łodzi. Wypłynęli już za Szczęki, byli teraz w Otwartym Lesie, a Renn uśmiechała się od ucha do ucha i z radości uderzała pięściami w powietrze, po chwili Torak robił to samo.

Tego wieczoru, kiedy rozbili obóz przy Czarnej Wodzie, Bale przyszedł do niego po raz ostatni.

Torak wie, że śni, ale wie również, że to, co się dzieje, jest prawdą. Stoi na wysypanej kamyczkami plaży Zatoki Fok i patrzy, jak Bale niesie swoją obciążoną foczą skórą łódź do Morza. Bale znów jest silny, balansuje łodzią, niosąc ją na ramieniu lekko i z łatwością. Kiedy dociera do płycizny, kładzie łódź na wodzie, wskakuje i chwyta za wiosło.

Torak biegnie do niego, bardzo chce go dogonić, ale Bale jest już daleko, płynie po powierzchni wody jak kormoran muskający fale i zostawia go daleko za sobą.

Próbuje go zawołać, ale udaje mu się tylko wyszeptać niepewnie:

–Poczekaj!

Na połyskującym Morzu Bale odwraca łódź dziobem do brzegu.

–Niech opiekun klanu płynie z tobą! – krzyczy Torak.

Bale macha wiosłem i uśmiecha się szeroko.

–I niech biegnie z tobą, krewniaku! – woła.

Później zawraca i po chwili widać tylko złote włosy opadające na ramiona chłopaka, kiedy sunie na zachód, tam, gdzie słońce kładzie się do Morza na nocny spoczynek.

–A dlaczego nie? – powiedziała Renn zadziornie trzy miesiące później. – Tęsknisz za nim. Ja też. Więc chodźmy go poszukać.

Torak nie odpowiedział. Jego twarz wyrażała upór i Renn wiedziała, że nie ma sensu mówić, żeby po prostu zawył i przywołał Wilka. Nie będzie chciał ryzykować takiego rozczarowania, bo ostatnimi czasy Wilk często nie odpowiadał na wycie. Odwiedzał ich od czasu do czasu przez całe lato, lecz chociaż był pełen czułości i chęci do zabawy, tak jak niegdyś, i już przyzwyczał się do myśli, że Torak nie jest wilkiem, Renn wyczuwała w nim jakieś oddalenie, jak gdyby myślami był gdzie indziej. Torak o tym nie rozmawiał, ale również to czuł i w najgorszych momentach obawiał się, że to może oznaczać koniec ich przyjaźni.

Dlaczego on się nie ruszy i nie pójdzie go poszukać? – pytała sama siebie w myślach, poirytowana.

–Toraku – powiedziała głośno. – Jesteś najlepszym tropicielem śladów w Lesie. A więc szukaj tropów!

Musiała przyznać, że dziwnie było szukać tropów i śladów Wilka. Z drugiej strony wszystko tego lata wydawało się trochę niezwykle. Wciąż przyzwyczała się do myśli, że jest Szamanką i chociaż Saeunn pozostawała Szamanką klanu, ludzie traktowali ją jeszcze bardziej nieufnie niż dawniej.

Jej rzeczy były również jakby trochę nie jej – nowy woreczek i róg na leki (to nieoczekiwany podarunek od Durrain), nowe krzesiwo, nowy toporek i nowy nóż. A przede wszystkim – nowy łuk. Zostawiła szczątki swojego wiernego przyjaciela na cmentarzu Kruków, a stary człowiek z klanu Tura, który, jak się okazuje, znał Fin-Kedinna i uczył go sztuki składania łuków, zrobił jej nowy, naprawdę wspaniały.

Ten wykonany był z powalonego w świetle księżyca cisu, delikatnie dopasowany do jej leworęczności. Nie mogła się jednak do niego przyzwycząić i dziś zostawiła go w obozowisku, chociaż zaczynała się martwić, że łuk będzie się czuł osamotniony, więc może następnym razem jednak go zabierze.

Był już Księżyc Zielonych Nasion Jesiona, a wierzbownice wyrosły na wysokość ramienia. Zrobiło się tak gorąco, że Rip i Rek latały z otwartymi dziobami, żeby się schłodzić. To bardzo dobre lato, wokół dużo zwierzyny łownej i nikt poważnie nie zachorował. Jeżeli Renn czasami budziła się w nocy ze snów o puchaczach i tokorogach, to zaraz bez problemów zasypiała.

Patrzyła, jak Torak nachyla się i przygląda bruździe, którą wydarł w ziemi wilk, kiedy ją znaczył.

–To nie Wilk – westchnął ciężko.

Jakiś czas później Torak znalazł kępkę czarnych wilczych włosów na jarzębinie.

–Wilk ma trochę czarnych włosów w futrze – powiedziała Renn z nadzieją. – I w ogonie, trochę na barkach.

–Jego włosy są czarne tylko na końcówkach – powiedział Torak. – Nie takie jak te.

Przez dłuższą chwilę był w stanie, który Renn nazywała transem tropiciela, szedł za śladem, którego ona nie widziała. Nagle przykucnął tak gwałtownie, że mało co, a Renn by się przez niego przewróciła.

Tuż przy kolanie Toraka zobaczyła słaby ślad łapy.

–Czy to Wilk? – spytała szeptem.

Skinął głową. Twarz miał napiętą i pełną nadziei, a Renn mu współczuła, była zła na Wilka, że nie chciał spotkania ze swoim bratem.

Jednak kiedy szli dalej, zapomniała o gniewie i zaczęła zbierać orzechy laskowe, by podarować je Wilkowi. Poprzedniej wiosny Wilk patrzył, jak Renn rozprawia się z krzakiem leszczyny, i później zrobił to samo, chociaż, nie zważając na dojrzałe orzechy, miażdżył zębami tylko zielone.

Myślała o tym, kiedy z odległej doliny usłyszeli wycie wilka.

Popatrzyła na Toraka.

–To Wilk? – spytała bezgłośnie. Torak skinął głową.

–Prosi nas, żebyśmy do niego przyszli. – Zmarszczył brwi. – Ale nigdy nie słyszałem, żeby wołał mnie w ten sposób.

Doszli do wzniesienia nad Rzeką Wiatrów i nagle Wilk przewrócił Toraka na ziemię w wielkim wilczym przywitaniu, pomieszanym z gorączkowymi przeprosinami. *Jestem taki szczęśliwy, że przyszliście! Przepraszam, przepraszam, ja też za wami tęskniłem! Szczęśliwy! Nie gniewaj się!*

W końcu zeskoczył z Toraka i rzucił się na Renn, żeby to wszystko jeszcze raz powiedzieć, a Torak miał chwilę, żeby się rozejrzeć.

Przestrzeń dookoła Jamy była pełna dobrze przeżutych kawałków kości i skór,

ziemia ubita wieloma łapami. Torak zauważył, że Wilk jest chudszy, prawdopodobnie dlatego, że musiał sporo polować. Torak zaczynał się uśmiechać.

–Powinienem być zgadnąć – mruknął.

–Ja też – powiedziała Renn, odtrącając nos Wilka. Oczy jej błyszcząły, a Torak czuł się tak samo szczęśliwy jak ona.

Wspaniała, czarna wilczyca z bursztynowozielonymi oczami wyłoniła się z Jamy i podbiegła do nich truchtem, machała ogonem i kładła po sobie uszy w pokornym powitaniu.

Tak, oczywiście, pomyślał Torak. Wszystko się zgadza.

Odwrócił się do Renn i powiedział jej, że wilczyca należała do stada, z którym zaprzyjaźnił się zeszłego lata. Razem patrzyli, jak kładzie się na brzuchu i zamiata ogonem ziemię, podczas gdy Wilk zniknął w Jamie.

–Chyba powinniśmy się trochę odsunąć – powiedział Torak, tracąc nagle pewność, jak należy się zachować. Odszedł wraz z Renn od wejścia do Jamy i oboje usiedli na ziemi ze skrzyżowanymi nogami.

Długo nie trzeba było czekać. Wilk wycofywał się tyłem z Jamy, niosąc w zębach małą, wierzącą się, włochatą kulkę. Machał energicznie ogonem, gdy podbiegał do Toraka, stawiając przed nim kłębek.

Torak próbował się uśmiechnąć, ale czuł, że jego serce jest zbyt przepelnione wzruszeniem.

Wilczek miał mniej więcej miesiąc. Był grubutki i puchaty, stał niepewnie na krótkich nóżkach. Jego uszka wciąż jeszcze opadały, oczy miały kolor błękitnego łupku, troszkę rozbiegane. Kiwając się z boku na bok, wilczek podszedł radośnie do Toraka. Był równie ciekawski i odważny, co jego ojciec, kiedy był szczenięciem.

Torak cicho zapiszczał i wyciągnął dłoń, żeby mały mógł ją powąchać, wilczek zaszczekał cienkim głosem, pomachał grubym ogonkiem i próbował zjeść jego kciuk. Torak podniósł szczenię i podrapał je po brzuszku. Mały uderzał go drobnymi, czyściutkimi łapkami i zahaczał o jego włosy pazurkami delikatnymi jak ciernie ostu. Kiedy Torak postawił go na ziemi, mały wrócił do ojca.

Wilczyca uniosła pysk i zapiszczała, a z Jamy wyłoniły się jeszcze trzy wilczki i podeszły grupką w jej kierunku, gryzły i delikatnie kąsały jej szczęki. Jeden z nich, cały czarny, miał zielonkawe oczy matki, podczas gdy pozostałe były szare, tak jak Wilk, jeden miał białą łapę, a drugi czerwonobrazowe uszy. Wszystkie drżały z radości i zaciekawienia, widząc wokół siebie zadziwiający, nowy świat.

Na łące wylądowały Rip i Rek. Dwa wilczki uciekły, podczas gdy ich siostry zaczęły podchodzić do kruków, jakby próbowały na nie polować. Ptaki kroczyły sztywno po trawie, trochę niepewne, co się dzieje. Pozwalały wilczkom przyczołgać się niemal na odległość skoku, po czym odlatywały z łobuzerską uciechą.

Torak przyglądał się, jak Renn, leżąc na boku, bawi się patykiem, za którym gonił jeden z wilczków, podczas gdy – o czym nie wiedziała – ten z białą łapą podczołgał się od tyłu i gryzł jej buty.

Torak popatrzył na Wilka, który stał dumnie, machając ogonem. *Dziękuję* - powiedział w wilczej mowie. Później zwrócił się do Renn.

–Zdajesz sobie sprawę z tego, co to znaczy? Dziewczyna uśmiechnęła się szeroko.

–No, to *chyba* znaczy, że Wilk *znalazł* partnerkę. Torak zaśmiał się.

–Tak, ale jest coś więcej. To pierwszy dzień wilczków poza Jamą. Najważniejszy dzień ze wszystkich, ponieważ właśnie w tym dniu poznają resztę stada.

Szerokim gestem dłoni ogarnął Wilka, jego partnerkę i wilczki oraz Renn i siebie.

–Resztę stada – powtórzył. – To znaczy nas.

Posłowie Autorki

Świat Toraka to świat sprzed sześciu tysięcy lat – istniał po epoce lodowcowej, ale przed rozpowszechnieniem w tej części świata rolnictwa, w czasach, gdy obszar północno-zachodniej Europy był ogromną Puszczą.

Ludzie ze świata Toraka wyglądali jak ty czy ja, ale żyli zupełnie inaczej. Nie znali pisma, metalu i koła, ale wcale ich nie potrzebowali. Potrafili przeżyć w każdych warunkach. Wiedzieli wszystko o zwierzętach, drzewach, roślinach i skałach Lasu. Kiedy czegoś potrzebowali, wiedzieli, gdzie to znaleźć albo jak to wykonać.

Żyli w małych grupach klanowych, wiele klanów często się przemieszczało – niektórzy rozbijali obóz zaledwie na kilka dni, jak klan Wilka, inni zostawali na miejscu przez cały księżyc albo całą porę roku, jak klany Kruka czy Wierzby, podczas gdy inni nie ruszali w drogę przez cały rok, jak klan Foki. Dlatego też od czasu wydarzeń opisywanych w *Pożeraczach dusz*, niektóre klany zdążyły się przenieść w inne miejsca, jak widać na poprawionej mapie.

Kiedy zbierałam materiały do *Złamanej przysięgi*, widziałam wiele pradawnych drzew, w które obfituje Anglia. Spędziłam również sporo czasu w Białowieskim Parku Narodowym na wschodzie Polski, gdzie znajduje się ostatni na obszarach niżu Europy las naturalny o charakterze pierwotnym – największa europejska puszcza. Widziałam żubronie (krzyżówkę domowego bydła i żubra), dziki, tarpany (dzikie leśne koniki), drzewa powalone lub uderzone piorunem i więcej odmian dzięcioła niż gdziekolwiek indziej. Właśnie Białowieża zainspirowała mnie do opisów różnych części Głębokiego Lasu i jego mieszkańców, a białowieskie ostępy zrobiły na mnie szczególne wrażenie podczas długich wypraw w serce puszczy, na obszary objęte ścisłą ochroną. Miałam również okazję przyjrzeć się z bliska dwóm wspaniałym zaporom zrobionym przez bobry i ich żeremiom, co zainspirowało mnie do opisu kryjówki Toraka.

Nie muszę dodawać, że więzi mojej przyjaźni z brytyjskim Powiernictwem Ochrony Wilka nie słabną. Obserwacja dorastania młodych wilczków i rozmowy z ich pełnymi poświęcenia opiekunami to dla mnie niewyczerpane źródło natchnienia.

Chciałabym podziękować wszystkim osobom w brytyjskim Powiernictwie Ochrony Wilka za to, że pozwolili mi się zbliżyć do wspaniałych wilków; Powiernictwu Obszarów Leśnych za pomoc w dotarciu do pradawnych drzew, które badałam przed rozpoczęciem pisania książki, panu Derrickowi Coyle'owi, Mistrzowi Kruków w londyńskiej Tower, za podzielenie się swoją rozległą wiedzą o krukach, z czego również czerpałam inspirację do książki; przyjaznym i bardzo pomocnym pracownikom Białowieskiego Parku Narodowego i Zakładu Lasów Naturalnych Instytutu Badawczego Leśnictwa; przewodnikom z Biura Usług Przewodnickich

**Puszcza Białowieża i pracownikom Biura Turystycznego PTTK, zwłaszcza
wielebnemu Mieczysławowi Piotrowskiemu, szefowi przewodników PTTK, który – za
przyzwoleniem nadleśniczego z leśnictwa w Druszkach w Puszczy Białowieskiej –
umożliwił mi oglądanie żeremia bobrów.**

**Jak zawsze, chciałabym też podziękować mojemu agentowi, Peterowi Cocksowi, za
jego niesłabnący entuzjizm i wsparcie; oraz mojej wspaniałej redaktorce i wydawcy,
Fionie Kennedy, za głębię i wyobraźnię, poświęcenie i zrozumienie.**

This file was created with BookDesigner program

bookdesigner@the-ebook.org

2011-02-22

LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/